tygodnikprzegląd.pl

Przegląd

Nr 22 (1168)
23-29.05.2022
Cena 8,90 zł
(w tym 8% VAT)

PROF. BRONISŁAW ŁAGOWSKI NA DYPLOMACJĘ BYŁ CZAS PO MAJDANIE

JERZY TRELA
ARTYSTA GIGANTYCZNEGO TALENTU

IGNACY GOGOLEWSKI
WIĘCEJ NIŻ AKTOR

Polacy zaciskają pasa

STOP DLA PAŁACU SASKIEGO

ISSN: 1509-3115 Indeks: 353299
ISSN 1509-3115
9 771509 311201 22

prasa.pl bc8ef8ba4f

Czytajcie książki ISKIER

ISKRY

POWIDOKI CODZIENNOŚCI
– Roch Sulima

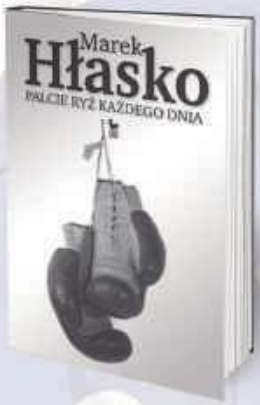

PALCIE RYŻ KAŻDEGO DNIA
– Marek Hłasko

TO JEST ZJAWISKO, I NA TO NIE MA RADY
– Antoni Kroh

DOM POD WIECZNYM PIÓREM
– Jan Polewka

ANTONI PATEK. ZEGARMISTRZ KRÓLÓW. ŚLADAMI ŻYCIA
– Beniamin Czapla

ZAPRASZAMY NA TARGI KSIĄŻKI W WARSZAWIE

w dniach 26-29 maja 2022 r. do stoiska 7/A przed Pałacem Kultury i Nauki

ZAJRZYJ NA: www.iskry.com.pl Wydawnictwoiskry wydawnictwoiskry

eprasa.pl bc8ef8ba4f

Jerzy Domański

Pałac Saski do zamrażarki

Przyszło nam żyć pod rządami ekipy, dla której wydanie kolejnego miliarda złotych to bułka nawet bez masła. Bardzo lekko wydaje się cudze pieniądze. Chociaż cudze to one nie są. Są nasze. Wspólne, budżetowe. Pieniądze bardzo potrzebne zwłaszcza teraz, gdy wojna w Ukrainie grozi głębokim kryzysem i drożyzną. Trzeba pilnie liczyć każdą złotówkę. I szybciutko rezygnować z megalomańskich fanaberii. Na czele których jest uruchomiona specustawą budowa pałacu Saskiego. Za niemal 2,5 mld zł. W cenach na dziś. Co oznacza, że spokojnie możemy mówić o ponad 3 mld. Żeby uzmysłowić czytelnikom, co oznacza ta gigantyczna kwota, powołam się na opinie wybitnych konserwatorów. Fachowcy uważają, że za 2,5 mld zł można by odbudować przynajmniej tysiąc autentycznych zabytków, które niszczeją w całym kraju. Takich, które można by odbudować, bo jest jeszcze co. W przeciwieństwie do pałacu Saskiego, który trzeba zbudować od nowa. Tu nie ma czego odbudowywać. Niemcy w grudniu 1944 r. wysadzili tę budowlę w powietrze. Ocalał tylko Grób Nieznanego Żołnierza. I doczekał rządów, które ten symbol chcą zmarginalizować. Zamiast być porażającym wymową znakiem miasta wymordowanego i zniszczonego przez Niemców, Grób będzie wtopiony w jakiś koszmar architektoniczny.

Nazywanie tego nowego obiektu pałacem Saskim też jest nieuprawnione. Bo prawdziwy pałac Saski został rozebrany po powstaniu listopadowym. A na jego miejscu wybudowano obiekt użytkowy, w którym rosyjski kupiec Iwan Skwarcow wynajmował lokale na sklepy i dom publiczny. A później władze carskie ulokowały tam zarząd rosyjskiego okręgu wojskowego. I do 1915 r. była tam jego siedziba.

Dla architektów i konserwatorów zabytków sprawa jest jasna. Nie odbudowuje się tego, co nie istnieje. A już zupełną paranoją jest podejmowanie decyzji o najbardziej symbolicznym miejscu w Polsce przez ignorantów i dyletantów. Bez szerokich konsultacji z ekspertami, których akurat w tej dziedzinie mamy na bardzo wysokim, międzynarodowym poziomie. Nie konsultowano tego z nimi, bo odpowiedź była oczywista. Nie ma aprobaty dla budowli tak wątpliwej jakości architektonicznej. I dla fałszowania historii.

Astronomicznych kosztów budowy pałacu, w czasie gdy Polacy będą musieli bardzo mocno zacisnąć pasa, nie da się logicznie wytłumaczyć. PiS ma wielką praktykę wkładania niewygodnych dla siebie projektów opozycji do sejmowej zamrażarki. Tam też jest miejsce na ten ekstrawagancki pomysł z niby-saskim pałacem.

BĄKOWSKI

Bądź z nami na Targach Książki w Warszawie
26-29 maja 2022 r.
(czwartek-niedziela)

PRZEGLĄD serdecznie zaprasza na nasze stoisko nr 12/F w namiocie przed PKiN

Czekamy z promocyjnymi cenami

Spotkaj się z autorami naszych książek

Do zobaczenia!
Wstęp wolny

Więcej informacji na s. 11

eprasa.pl bc8ef8ba4f

W NUMERZE

KRAJ

8 **STOP dla pałacu Saskiego**
PiS chce wyrzucić w błoto 2,5 mld zł

16 **Na dyplomację był czas po Majdanie**
– rozmowa
z prof. Bronisławem Łagowskim

20 **Wojny zbożowe**
700 dol. za tonę pszenicy

52 **Supermeni za trzy tysiące netto**
– rozmowa z Jarosławem Sowizdraniukiem

OPINIE

13 **Małgorzata Żuber-Zielicz**
Dwie dekady nowej matury

42 **Andrzej Romanowski**
Polski Imre Nagy.
O Wojciechu Jaruzelskim

ZAGRANICA

24 **Bałtyckie jezioro NATO**
Szwecja i Finlandia w drodze do Sojuszu

26 **Taniej ropy już nie będzie**
– rozmowa z Krzysztofem Płomińskim

30 **Zawód wysokiego ryzyka**
Śmierć dziennikarki Al Dżaziry

KULTURA

32 **Kieruj się nosem**
Jerzy Trela 1942-2022

36 **Konrad XX wieku**
Ignacy Gogolewski 1931-2022

40 **Qulturalia**

66 **Zofia Błażko. Malarstwo**

HISTORIA

46 **Ukarać Polskę**
Sankcje Zachodu uderzyły
w zwykłych ludzi

49 **Matkom tamtych lat**
Wdowy po ofiarach „wyklętych"

NAUKA

56 **Cisowe tajemnice**
Drzewo pomocne w walce z rakiem

OBSERWACJE

58 **Europejska turystyka liczy na Polskę**
Wakacje w cieniu wojny

FELIETONY I KOMENTARZE

3 **Jerzy Domański**
Pałac Saski do zamrażarki

23 **Andrzej Romanowski**
O dawności

29 **Roman Kurkiewicz**
Kołacze bez pracy

35 **Jan Widacki**
Conradus obiit

39 **Tomasz Jastrun**
But, który uwiera

41 **Wojciech Kuczok**
Nienapisany felieton

30
ZAGRANICA

ZAWÓD WYSOKIEGO RYZYKA
Śmierć dziennikarki Al Dżaziry

52
KRAJ

SUPERMENI ZA TRZY TYSIĄCE NETTO
– rozmowa z Jarosławem Sowizdraniukiem

56
NAUKA

CISOWE TAJEMNICE
Drzewo pomocne w walce z rakiem

Projekt okładki: Iza Mierzejewska

FOT. WIKIPEDIA/DOMENA PUBLICZNA, JACEK DOMIŃSKI/REPORTER

eprasa.pl bc8ef8ba4f

Dlaczego lewica nie prowadzi własnej polityki historycznej?

August Grabski precyzyjnie wyliczył prawie wszystkie moje pretensje do polskiej lewicy po zmianie ustroju. Głównym moim zarzutem jest bezideowość i tchórzostwo. Wielekroć stawiałam sobie pytanie, dlaczego. Dlaczego nie broniła wielkiego dorobku przemysłowego, kulturalnego, edukacyjnego, urbanizacyjnego

Dlaczego lewica nie prowadzi własnej polityki historycznej?

Polski Ludowej, Polski moich rodziców, sąsiadów, ludzi spotykanych na co dzień i mojej? Dlaczego wzięła udział w wyprzedawaniu czy wrogim przejęciu tego dorobku? Dlaczego, skoro podobno Solidarność wywalczyła wolność, nie zadbała o rozwijanie tej wolności i nie zapobiegła przekształcaniu jej w samowolę i odbieraniu krok po kroku praw obywatelskich, idąc tu ręka w rękę z Kościołem katolickim (prawa kobiet, prawa pracownicze, prawa lokatorów, którym bezczelnie odbiera się mieszkania)? Dlaczego nawet PRZEGLĄD pisywał o tamtej Polsce jako „słusznie minionej"? Mija wszystko, bo takie są i prawa natury, i prawa historii. Ale to była moja Polska, w której się urodziłam, wyrosłam i pracowałam. Nieprawda, że moja Polska była szara i smutna, a w końcu żywiła się octem i musztardą – jak przedstawiają to media, a wreszcie szkoła i rodzice obecnych dzieci. Moja Polska była kolorowa, umiała śpiewać i tańczyć, czytała, chodziła do teatrów i kin, do opery i filharmonii, również na masowe koncerty polskich i obcych artystów. Miała swoją szkołę filmową, plakat światowej rangi, takichż kompozytorów i malarzy, uczonych. Nigdy nie byliśmy krajem bogatym, ale polska lewica wyprowadziła nas z nędzy. Może jakimś usprawiedliwieniem dwukrotnych rządów lewicy skręcających ku liberalizmowi jest fakt, że obejmowała władzę po kryzysie transformacji ustrojowej i po nieszczęsnych „reformach" AWS. Nie były to operacje bezbolesne, ale skuteczne, zostawiały kraj następcom ze stabilną gospodarką i silnym pieniądzem. Lewica ma argumenty, żeby się bronić, miała też elity intelektualne i naukowe, czyli miała i narzędzia. Dlaczego z nich nie skorzystała?! Z przyjemnością przeczytałam także przytoczenia w tym artykule znanych mi poglądów Trockiego, a wraz z fragmentami dziennika prof. Walickiego mamy odpowiedź na tytułowe „dlaczego". Dlatego czytam PRZEGLĄD – niech trwa i wytrwa.

Ewa Wesołowska

Prezent dla rosyjskiej propagandy

Prof. Jan Widacki pisze, że oblanie rosyjskiego ambasadora farbą było prezentem dla rosyjskiej propagandy. Bandy fanatyków utrudniające składanie kwiatów na cmentarzach i pod pomnikami w Dniu Zwycięstwa również były atrakcyjnymi podarkami.

Prezent dla rosyjskiej propagandy

Maria Łakomy

•

Dzisiaj w garmażerce zobaczyłem pierogi ukraińskie. Kiedy zapytałem, co to za dziwo, sprzedawczyni odparła: „Wie pan, te, no, tylko teraz nie wolno tego słowa używać". Czy polskim psychiatrom naprawdę nie wstyd, że tak siedzą bezczynnie? Już nie mówię o niektórych politykach, ale tu całemu narodowi padło na umysł.

Krzysztof Grabczak

ZDJĘCIE TYGODNIA

A mój dyplom kiedy? 39-letnia Julia Pontes, absolwentka sztuk pięknych, z ośmiomiesięczną córką Stellą Lyrą. Uniwersytet Columbia, Nowy Jork, 18 maja 2022 r.

FOT. REUTERS/FORUM

eprasa.pl bc8ef8ba4f

Pandemia opóźniła krakowskie obchody jubileuszu **90-lecia Andrzeja Kurza**, człowieka lewicy, działacza partyjnego, byłego prezesa Stowarzyszenia „Kuźnica". Niezwykle zasłużonego dla kultury polskiej. Jako wieloletni dyrektor Wydawnictwa Literackiego doprowadził do pierwszego oficjalnego wydania dzieł Witolda Gombrowicza czy Sławomira Mrożka. Ad multos annos, Drogi Andrzeju!

Nagrody Historyczne „Polityki" za rok 2021 otrzymali: **Marcin Stasiak** „Polio w Polsce 1945-1989. Studium z historii niepełnosprawności", **Maciej Górny** „Polska bez cudów. Historia dla dorosłych", **Maria Ferenc** „»Każdy pyta, co z nami będzie«. Mieszkańcy getta warszawskiego wobec wiadomości o wojnie i Zagładzie", **Stefan Kieniewicz** „Pamiętniki" i **Lili Fuchsberg** „Listy do mojej siostry 1947-1973".

Rodzinne ogrody działkowe (ROD) otrzymają 50 mln zł wsparcia z Unii Europejskiej na zwiększenie terenów zielonych, ochronę zwierząt oraz ograniczanie hałasu i zanieczyszczenia powietrza. Pomoc od 10 tys. do 100 tys. zł trafi do prawie 5 tys. ogrodów gospodarujących na 44 tys. ha.

Wojewódzki Sąd Administracyjny w Lublinie unieważnił uchwałę Rady Powiatu w Rykach o „powstrzymywaniu ideologii gender i LGBT" i podobne stanowisko Sejmiku Województwa Lubelskiego.

Julia Tymoszenko, była premier Ukrainy, urządziła istny festiwal wywiadów udzielanych polskim mediom. Ukraińcy pogonili ją, bo za jej rządów była nieprawdopodobna korupcja, a oligarchowie rozkradali państwo na potęgę. W Polsce wróciła do warkoczyków. Bezwstydnie wykorzystując uchodźców i naiwne media.

O 22% wzrosły w kwietniu br. ceny żywności. W porównaniu z 2021 r. olej podrożał o 54,9%, masło o 51,2%, drób o 45%, pieczywo o 28% itd., bo podrożało wszystko, co jest do jedzenia.

Szymon Hołownia, lider Polski 2050, zaczyna gonić w piętkę. Żeby jakoś się wyróżnić, serwuje w mediach **prościutkie recepty na poważne problemy.** I dla mądrzejszych wyborców przestaje być alternatywą.

Co roku gorzej i dłużej. Takie są **efekty reformy Zbigniewa Ziobry w sądownictwie.** Na rozstrzygnięcie w sprawach cywilnych i handlowych trzeba czekać 317 dni. Skuteczność ochrony konsumentów jest najgorsza w UE.

Gdzie świętował **Jan Dziedziczak, poseł PiS, pełnomocnik rządu ds. Polonii i Polaków za granicą?** Łączył się z Polonią… na Islandii. Gorące źródła, msza po polsku i koncert w ambasadzie. Kilku panów miało fajną wycieczkę.

PRZEBŁYSKI

Kraśko z zarzutami

Minął rok od tego skandalu. Mogło się wydawać, że teflonowy Kraśko jest ponad prawem. Że jako gość z TVN może jeździć bez prawa jazdy. Bo prawko zabrano mu 22 kwietnia 2014 r. Kwiecień jest dla Kraśki wyjątkowo pechowy. Bo drogówka zatrzymała go w kwietniu 2021 r. Ile razy Kraśko jeździł po Polsce bez prawa jazdy? Prokuratura zbiera dowody. Nie może to być zbyt trudne, bo celebryci kochają focie. Coś więc znaleziono i Piotr Kraśko usłyszał zarzuty. Grozi mu grzywna, a nawet do dwóch lat pozbawienia wolności. Skończy się pewno grzywną. Jeżdżący bez prawa jazdy będą mieli kogo naśladować.

Jak zabijają nietykalni?

Czy można śmiertelnie potrącić kobietę na przejściu dla pieszych i nie ponieść żadnej kary? Pytanie takie zadaje tygodnik „Nie" i od razu odpowiada, niestety twierdząco. W Polsce można. Ale trzeba być blisko Zbigniewa Ziobry. Tak jak płk Artur Dziadosz, wiceszef więziennictwa. Choć 4 listopada 2019 r. w Kozienicach zabił kobietę, prokuratura nie zdążyła mu nawet postawić zarzutów. Najpierw Prokuratura Rejonowa w Kozienicach, później Prokuratura Okręgowa w Radomiu, a w końcu Prokuratura Okręgowa w Lublinie. Zadbał o to Jerzy Ziarkiewicz, wierny żołnierz Ziobry. A płk Dziadosz? Po wypadku wrócił do więziennictwa, ale nie do celi. Przychodził nawet do Sejmu. A gdy odszedł na emeryturę, Ziobro zrobił go dyrektorem Mazowieckiej Instytucji Gospodarki Budżetowej Mazovia. Za jeszcze większą kasę.

Jak zabijają nietykalni

W państwie PiS można śmiertelnie potrącić człowieka i nie ponieść żadnych konsekwencji, jeśli jest się podwładnym Zbigniewa Ziobry

Z celi do adwokatury

Jeśli znacie kogoś, kto po odsiedzeniu wyroku sądowego za korupcję i wymuszenia szuka dobrze płatnej roboty, to zapraszamy do Siedlec. Wystarczy zmienić nazwisko i wpiszą was na listę okręgowej rady adwokackiej. Gdyby marudzili, powołajcie się na Urszulę Ch. z Lublina. Byłą prokurator, która zmieniła nazwisko z S. na Ch. Długo była związana z gangsterem, któremu pomagała. Dostała dwa lata za korupcję, wymuszenia i fałszywe oskarżenia. Odsiedziała i teraz pani prokurator jest panią adwokat.

Rzepecki – Kulasek prezydenta Dudy

Doradca prezydenta Dudy to nawet jak na PiS wyjątkowa miernota. Ale żyje sobie bogato. W puchowej pościeli. Przez cztery lata był dyrektorem biura Marcina Mastalerka. Ale skończyło się. Kto jeszcze pamięta, jak prezes widowiskowo pogonił Mastalerka z PiS? Przytulił go Duda, a przytulony Mastalerek przytulił Łukasza Rzepeckiego. Czyli dał mu robotę w kancelarii. Taka odmiana polityki miłości. Rzepecki zajmuje się młodymi, knuje i marzy o wielkiej karierze. Od czasu do czasu wysyłają go do telewizji. Jako reprezentanta Dudy. I wtedy są prawdziwe jaja. Wypisz wymaluj Marcin Kulasek, były gensek SLD, tylko młodszy. Widać, że z jakichś powodów natura chce ludziom powiedzieć: nie martwcie się, popatrzcie na nich, jesteście mądrzejsi. Też możecie być posłami i ministrami.

FOT. ARCHIWUM (2), YOUTUBE

eprasa.pl bc8ef8ba4f

Z GALERII ANDRZEJA MLECZKI

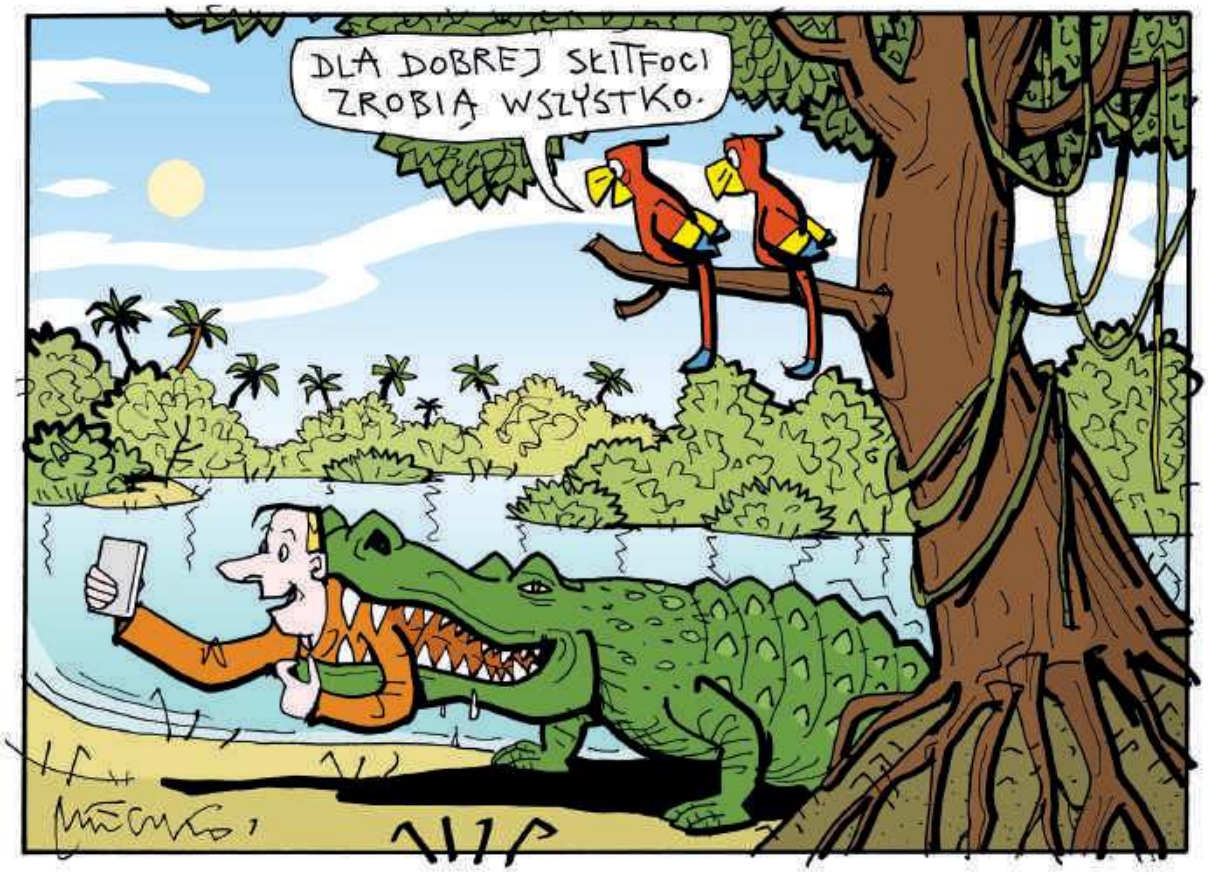

mleczko.pl

sklep.mleczko.pl

PYTANIE TYGODNIA | Od jakiego poziomu dochodów nie powinno przysługiwać 500+?

DR JOANNA GRZYMAŁA-MOSZCZYŃSKA,
psycholożka, UJ, działaczka Razem

Przyznawanie świadczenia 500+ nie powinno być różnicowane ze względu na poziom dochodów. Przede wszystkim, jeśli jakieś świadczenie jest bezwarunkowe i nie trzeba nic udowadniać, ubiegając się o nie, wiąże się ono z mniejszą stygmatyzacją. Potwierdzają to badania poświęcone bezwarunkowemu dochodowi podstawowemu. Dodatkowo sądzę, że koszty (zarówno finansowe, jak i społeczne) weryfikacji tego, kto spełnia kryteria dochodowe, a kto nie, znacząco przewyższyłyby korzyści z odebrania tego świadczenia zamożnym rodzinom. Sprawę komplikuje jeszcze fakt, że dochód nie jest najlepszym kryterium różnicującym sytuację materialną, ponieważ nie uwzględniamy wtedy majątku posiadanego przez daną osobę.

DR HAB. RYSZARD SZARFENBERG,
politolog, badacz polityki społecznej, UW

System świadczeń na dzieci powinien być powszechny. Nie należy z niego wyłączać żadnych rodzin. Z badań na świecie wynika, że ubóstwo dzieci najlepiej ograniczają świadczenia powszechne, które są wyższe dla uboższych rodzin. W Polsce mamy właśnie taki system, czyli powszechne świadczenie wychowawcze i zasiłki rodzinne dla uboższych rodzin. Oba rodzaje świadczeń można łączyć bez ograniczeń. System ten można poprawiać, ale nie poprzez czynienie go selektywnym.

PIOTR SZUMLEWICZ,
lider Związku Zawodowego Związkowa Alternatywa, redaktor Resetu Obywatelskiego

Opozycja, szczególnie lewicowa, powinna na nowo przemyśleć cały system świadczeń społecznych i zaproponować alternatywę wobec pisowskiej polityki obsypywania elektoratu gotówką przy coraz niższej jakości usług publicznych. Moim zdaniem część środków z programu Rodzina 500+ należałoby przenieść choćby na sfinansowanie pełnowartościowych posiłków w szkołach czy na instytucjonalną opiekę senioralną. W związku z tym 500+ powinno stracić powszechny charakter i stać się częścią systemu pomocy społecznej, a więc przysługiwać wyłącznie do pewnego poziomu dochodów (do jakiego – to kwestia do dyskusji). Jestem zwolennikiem systemu socjaldemokratycznego, a on zakłada uniwersalność nie świadczeń finansowych, ale usług publicznych. Na przykład zasiłek dla bezrobotnych dostają tylko osoby bez pracy, a identyczny posiłek w szkolnej stołówce wszystkie dzieci, dzięki czemu te niezamożne nie doświadczają stygmatyzacji. Głównym obowiązkiem państwa w ramach polityki społecznej jest zorganizowanie wysokiej jakości usług publicznych, a świadczenia pieniężne powinny otrzymywać tylko osoby znajdujące się w szczególnie trudnej sytuacji.

Not. Michał Sobczyk

eprasa.pl bc8ef8ba4f

Grób Nieznanego Żołnierza zniknie w bryle pałacu Saskiego i straci swój silny przekaz symboliczny.

STOP dla pałacu Saskiego

Polacy zaciskają pasa, a pisowska władza chce wyrzucić w błoto 2,5 mld zł

Jacek Cezary Kamiński

Wieńce na Grobie Nieznanego Żołnierza w Warszawie to motyw, który chyba najbardziej kojarzy się z obchodami Dnia Zwycięstwa w naszym kraju, niezależnie od tego, czy świętujemy 8, czy 9 maja. Żołnierski grób w cieniu zrujnowanych arkad to silny przekaz symboliczny. Wygląda na to, że za jakiś czas go utracimy.

Będzie to skutkiem podjętej przez władze RP kontrowersyjnej decyzji o odbudowie pałacu Saskiego wraz z otaczającymi go budynkami. Ustawę O przygotowaniu i realizacji inwestycji w zakresie odbudowy pałacu Saskiego, pałacu Brühla oraz kamienic przy ulicy Królewskiej w Warszawie Sejm uchwalił w ekspresowym trybie 11 sierpnia 2021 r., a już cztery dni później podpisał ją prezydent Andrzej Duda. Towarzyszyła temu pełna patosu akcja propagandowa. Po podpisaniu ustawy prezydent stwierdził wręcz, że odbudowany pałac Saski będzie dowodem siły Polski, która „teraz dopiero, śmiało możemy powiedzieć, staje się państwem, które rzeczywiście wchodzi do ligi państw zamożnych". Minister kultury i dziedzictwa narodowego prof. Piotr Gliński podczas uroczystości powołania Spółki Celowej Pałac Saski 1 grudnia 2021 r. przekonywał, że decyzja o odbudowie „jest ważna dla tożsamości polskiej wspólnoty, dla polskiego dziedzictwa historycznego, ale i dla przyszłości. To jest akt symboliczny, bardzo ważny i użyteczny dla nas wszystkich, dla Polski".

Inwestycja ma być formą uczczenia... stulecia odzyskania przez Polskę niepodległości, którego obchody odbyły się prawie cztery lata temu. Deklarację o restytucji pałacu Saskiego w Warszawie prezydent Andrzej Duda podpisał 11 listopada 2018 r. „Pałac Saski ma być formą trwałego upamiętnienia roku jubileuszowego, pomnikiem niepodległości", ogłosił wówczas podsekretarz stanu w Kancelarii Prezydenta Wojciech Kolarski.

Ekipa rządząca wykazała dużą determinację w forsowaniu tego pomysłu. Wszystkie decyzje podejmowane były arbitralnie przez centralne władze państwowe, nie zainicjowano żadnej debaty publicznej. Na mocy ustawy podlegającą zabudowie działkę przy placu Marszałka Józefa Piłsudskiego odebrano

eprasa.pl bc8ef8ba4f

miastu stołecznemu Warszawa, którego samorząd został pozbawiony wpływu na kształt inwestycji. Taki tryb postępowania wywołał liczne głosy sprzeciwu nie tylko w kręgach politycznych, ale również eksperckich i społecznikowskich. Kwestionowana była sama idea odbudowy. Ubiegłoroczne dyskusje toczyły się w dość gorącej atmosferze głównie ze względu na formę podjęcia decyzji, dziś, gdy emocje przycichły, możemy przyjrzeć się sprawie z pewnym dystansem i powrócić do fundamentalnego pytania: po co ta odbudowa?

Symbol mniemany

Podczas uroczystości podpisania ustawy prezydent Andrzej Duda postawił śmiałą tezę, że „obok Zamku Królewskiego, obok Łazienek (Królewskich) to właśnie ten zespół budynków był symbolem Warszawy". Ta wartość symboliczna ma być jednym z argumentów na rzecz jego odbudowy. Tymczasem jest to ocena czysto uznaniowa. Z przeprowadzanych w latach 1980, 1990 i 2000 badań wynika, że warszawiacy od dawna o pałacu Saskim i otaczających go budynkach nie pamiętali. Zniknęły one ze świadomości mieszkańców. „Symbolem miasta jest niewątpliwie Pałac Kultury i Nauki, który zachowuje swoją wysoką pozycję od 20 lat, jedynie w badaniach z 1990 r. zajął drugie miejsce za Starówką", konstatował w 2000 r. socjolog prof. Bohdan Jałowiecki. Warszawiacy w pierwszej dziesiątce symboli miasta lokowali wtedy kolejno: Pałac Kultury (niezauważony przez prezydenta Dudę), Zamek Królewski, kolumnę Zygmunta, Starówkę, pomnik Syreny, pałac w Łazienkach, pomnik Nike, Grób Nieznanego Żołnierza, pałac w Wilanowie i Belweder.

Warto zwrócić uwagę na wysokie miejsce, które od lat na liście symboli Warszawy zajmował Grób Nieznanego Żołnierza, bo to w ten realny symbol ingeruje projekt odbudowy symbolu mniemanego – pałacu Saskiego. Grób Nieznanego Żołnierza mieści się bowiem w zachowanej jako trwała ruina pozostałości arkad pałacu Saskiego. Znany varsavianista Grzegorz Piątek uważa, że największą stratą, jaką poniesiemy w wyniku odbudowy pałacu Saskiego, będzie właśnie zmiana wymowy ideowej tego pomnika. – W formie półruiny Grób Nieznanego Żołnierza nabrał po wojnie o wiele większej symbolicznej wagi. I nie jest przypadkiem, że został zachowany w takiej okaleczonej formie, bo dzięki temu stał się nie tylko tym, czym był przed wojną, czyli pomnikiem żołnierzy walczących o niepodległość na przeróżnych frontach i w powstaniach, ale też pomnikiem bohaterów i ofiar II wojny światowej. Jest również ostatnią trwałą ruiną w centrum miasta, przypominającą o tym, że Warszawa była zniszczona. Myślę, że nie należy tego przypudrowywać kolejną odbudową – przekonuje autor głośnej książki „Najlepsze miasto świata. Warszawa w odbudowie 1944-1949".

Andrzej Duda: Pałac Saski będzie dowodem siły Polski, która teraz dopiero wchodzi do ligi państw zamożnych.

Rosyjskie dziedzictwo

Skoro argumenty na rzecz odbudowy pałacu Saskiego odnoszą się głównie do warstwy symbolicznej, to już ten jeden, podnoszący straty w wymiarze symboliki narodowej związanej z Grobem Nieznanego Żołnierza, powinien skłaniać do głębszego przemyślenia idei odbudowy, a być może rezygnacji z tego planu. Jednak w samym obszarze symbolicznym takich argumentów jest więcej. Wicepremier Piotr Gliński podczas wspomnianej uroczystości powołania spółki celowej stwierdził, że podjęta decyzja „kontynuuje, a zarazem kończy, proces odbudowy Warszawy po zniszczeniach wojennych". Pogląd ten kwestionuje liczne grono ekspertów, którzy podpisali się pod listem otwartym z lipca 2021 r. „Odbudowa zabytków stolicy zamknęła się w ciągu czterech dekad. Zwieńczeniem tego dzieła był Zamek Królewski, który odtworzono, korzystając nie tylko z dostępnej dokumentacji, ale też z wiedzy architektów, konserwatorów, artystów, rzemieślników, którzy doskonale pamiętali te zabytki sprzed wojny, a niejednokrotnie uczestniczyli w ich ratowaniu podczas okupacji. Ich pamięci towarzyszyła fenomenalna znajomość tradycyjnych technik konserwatorskich i budowlanych. To wszystko sprawiło, że warszawskie dzieło odbudowy zostało uwieńczone w 1980 r. wpisem Starego Miasta na listę światowego dziedzictwa UNESCO. Wyjątkowość tego wpisu, wbrew obowiązującym doktrynom konserwatorskim, uzasadniała autentyczna potrzeba

Pseudozabytkowa makieta i plac Na Okaziciela

PROF. MARTA LEŚNIAKOWSKA,
historyczka sztuki, powołana przez Lecha Kaczyńskiego do Społecznej Rady Ochrony Dziedzictwa Kulturowego przy Prezydencie Warszawy

Nie odbudowuje się tego, co nie istnieje. Budowa pseudozabytkowych makiet jest działaniem nieetycznym, posługuje się falsyfikacją, prowadzi do fałszywych wyobrażeń o przeszłości i implantuje nową formę realizmu socjalistycznego (narodowe w formie, patriotyczne w treści). (…) Pałac od momentu przebudowy pod zaborem rosyjskim nie był „pomnikiem niepodległości" (…), tylko symbolem rosyjskiego panowania, a nawet zdrady narodowej, gdy w 11. rocznicę powstania listopadowego władze zaborcze odsłoniły tu pomnik poległych Polaków ku czci siedmiu generałów, przeciwnych powstaniu. Tak naznaczony historycznie obiekt jest sprzeczny z ideą „pomnika niepodległości" i takiej funkcji wypełniać nie może. (…) Każde pokolenie ma swoją architekturę, dlatego mówię „nie" makietom; nie ma powrotu do przeszłości, historia jest konstruktem. A plac Piłsudskiego nazywam placem Na Okaziciela: kto ma władzę, ten ma plac. To jest sedno sprawy.

Polityka, nr 32 (3324), 4-10.08.2021

eprasa.pl bc8ef8ba4f

Zarząd Spółki Celowej Pałac Saski: Jan Edmund Kowalski – prezes, Robert Cicirko – wiceprezes, Robert Bernisz – członek zarządu.

społeczna przywrócenia zniszczonego miasta jego mieszkańcom. Dziś, w trzeciej dekadzie XXI w., potrzeby społeczne są zgoła inne", przekonują sygnatariusze listu, wśród których są historyk sztuki Waldemar Baraniewski, architekt Andrzej Bulanda, pisarka Sylwia Chutnik, historyczka sztuki Anna Cymer, architekt Maciej Czarnecki, historyk sztuki Tomasz Fudala, pisarz Mikołaj Grynberg, reżyserka Agnieszka Holland, historyczka architektury Lidia Klein, reżyser Jan Komasa, historyczka sztuki Małgorzata Omilanowska, historyczka i krytyczka sztuki Anda Rottenberg, historyk sztuki Piotr Rypson, pisarz Filip Springer, reżyser Krzysztof Warlikowski czy scenografka Krystyna Zachwatowicz-Wajda.

W planach odbudowy tkwi też pewien paradoks. Ustawa zakłada odbudowę obiektów przy placu Piłsudskiego w kształcie z 1939 r., jednak budynek, który przed wojną nosił zwyczajową nazwę pałacu Saskiego, w istocie nie był dawną rezydencją Sasów (zresztą niezbyt chlubnie zapisanych w historii Polski). W latach 1839-1842 XVII-wieczny barokowy pałac został gruntownie przebudowany na zlecenie ówczesnego właściciela, rosyjskiego kupca Iwana Skwarcowa, i przekształcony w dom dochodowy. Główny budynek pałacowy zburzono, a na jego miejscu wybudowano kolumnadę w porządku korynckim. Bocznym skrzydłom nadano zupełnie nowe, klasycystyczne oblicze. Po powstaniu styczniowym w gmachu Skwarcowa ulokowały się rosyjskie władze wojskowe, po których siedzibę w okresie II RP „odziedziczył" polski Sztab Generalny. Wówczas też plac Piłsudskiego stał się areną defilad Wojska Polskiego. – Być może dzięki temu w okresie międzywojennym miejsce to miało patriotyczną symbolikę, ale sama architektura, którą chcemy odtworzyć, jest dziedzictwem czasów rosyjskich, okresu zaborów – komentuje Grzegorz Piątek. Odtworzenie rosyjskiej budowli (co prawda zaprojektowanej przez polskiego architekta Adama Idźkowskiego) z saską przeszłością to dosyć karkołomny pomysł jak na hiperpatriotyczną deklaratywnie formację, jaką jest PiS. Aż dziwne, że przy takim zapale ekipa Prawa i Sprawiedliwości nie przeforsowała za jednym zamachem również odbudowy stojącego swego czasu naprzeciwko pałacu Saskiego prawosławnego soboru św. Aleksandra Newskiego. Sobór zniknął z tego miejsca dopiero w 1926 r., a więc zaledwie 18 lat wcześniej niż zabudowania, które mają być odtworzone.

Martwy plac

Oprócz warstwy symbolicznej nie można pominąć zastrzeżeń natury urbanistycznej i architektonicznej. Wprawdzie sam „pałac Saski" Skwarcowa nie był obiektem o szczególnej wartości architektonicznej, ale plac, przy którym stał, należy do najważniejszych punktów stolicy. Dlatego wszelkie inwestycje w takim miejscu powinny być gruntownie przemyślane i zaplanowane w skali całego placu i jego otoczenia. Tymczasem w tym przypadku mamy do czynienia z oderwanym od kontekstu pomysłem odtworzenia brył kilku dawno nieistniejących budynków na jednej pierzei. Taki jest punkt widzenia warszawskich urbanistów. W 2020 r. Zarząd Oddziału Towarzystwa Urbanistów Polskich w Warszawie przeprowadził wśród członków stowarzyszenia ankietę na ten temat. „Zdecydowana większość respondentów uznała, że przestrzeń placu Marszałka Józefa Piłsudskiego nie uzyskała jeszcze ostatecznej formy urbanistycznej i wymaga dalszych inwestycji budowlanych. Odpowiedź na następne pytanie »Czy należy odtworzyć przedwojenną formę placu – odbudować kamienicę Jana (Iwana) Skwarcowa (tzw. pałac Saski) i pałac Brühla«, jest w większości negatywna", czytamy w podsumowaniu.

Z takim stanowiskiem zgadza się Grzegorz Piątek. – To prawda, że plac jest w zasadzie martwy, od dziesięcioleci jest gigantycznym problemem

Pałac od momentu przebudowy był symbolem rosyjskiego panowania, a nawet zdrady narodowej.

Dobre posady

Prezesem Spółki Celowej Pałac Saski wicepremier Piotr Gliński w grudniu 2021 r. mianował Jana Edmunda Kowalskiego – dyrektora rządowego Biura Programu „Niepodległa", funkcję wiceprezesa ds. finansowych objął Robert Cicirko, a członka zarządu Robert Bernisz. Zgodnie z ustawą pensje zarządu nie mogą przekroczyć „pięciokrotności wysokości przeciętnego miesięcznego wynagrodzenia w sektorze przedsiębiorstw bez wypłat nagród z zysku w czwartym kwartale roku poprzedniego". To oznacza, że mogą wynieść 28 275 zł miesięcznie, nie wliczając nagród i dodatków.

W radzie nadzorczej znaleźli się: Grzegorz Kłoczko, Michał Olszewski, Michał Pelczarski, Małgorzata Podrecka, Robert Chmielarczyk, Rafał Wiśniewski.

FOT. PALACSASKI.PL

eprasa.pl bc8ef8ba4f

ZAPRASZAMY

Po raz pierwszy **PRZEGLĄD** na **Targach Książki w Warszawie**

26-29 maja 2022 r. PKiN i plac Defilad
stoisko nr 12/F (namiot F przy Teatrze Studio)

Czekamy z promocyjnymi cenami

Spotkaj się z autorami naszych książek:

czwartek, 26 maja

- godz. 16.00-17.00 – **Paweł Dybicz**, „Zakłamana historia powstania" t. I-V

piątek, 27 maja

- godz. 13.00-15.00 – **Leszek Konarski**, „Nowa Huta – wyjście z raju"
- godz. 16.00-18.00 – **Piotr Ciszewski**, „Dąbrowszczacy"

sobota, 28 maja

- godz. 12.00-13.00 – **Robert Walenciak**, „Modzelewski. Buntownik"
- godz. 14.00-15.00 – **Ewa Nowakowska**, „Cierń szansy"
- godz. 16.00-18.00 – **Tomasz Turowski** „Oko smoka"

niedziela, 29 maja

- godz. 12.00-14.00 – **Robert Walenciak**, „Gambit Jaruzelskiego"
- godz. 14.00-15.00 – **Paweł Dybicz**, „PRL i skok do neoliberalizmu" t. I-III

Bądź z nami!

Wstęp na targi jest bezpłatny

eprasa.pl bc8ef8ba4f

urbanistycznym Warszawy. Także przed wojną szukano nowego pomysłu na plac Piłsudskiego – zauważa. Ocenia jednak, że efekt planowanej inwestycji może być jeszcze gorszy niż w przypadku innej „późnej" odbudowy – zrekonstruowanego w latach 1995-1997 pałacu Jabłonowskich przy placu Teatralnym. – Ten budynek razi swoją sztucznością. Co prawda, jakoś się opatrzył i wpisał w otoczenie, ale tylko dlatego, że to otoczenie w porównaniu z okresem przedwojennym właściwie radykalnie się nie zmieniło. Tymczasem z placem Piłsudskiego sytuacja jest zupełnie inna. Stanęły przy nim nowe budynki: hotel Victoria, biurowiec Metropolitan, nawet Teatr Wielki i Hotel Europejski są wyższe niż przed wojną. Może się okazać, że odbudowana atrapa pałacu Saskiego, w dawnym otoczeniu robiącego wrażenie monumentalności, teraz stanie się czymś w rodzaju niewielkiej, dwupiętrowej kamienicy – mówi autor „Najlepszego miasta świata".

Synekury dla swoich

Argumenty przeciwników nie przekonują zwolenników odbudowy. Należy do nich prezes Fundacji Nasza Warszawa Jarosław Popiołek, który przypomina, że obecna próba realizacji inwestycji na placu Piłsudskiego nie jest pierwszym podejściem do tego tematu. – Jako wykonawca podpisujący tego samego dnia umowę na modernizację Krakowskiego Przedmieścia, 21 czerwca 2006 r. byłem naocznym świadkiem ceremonii złożenia podpisów przez pana prezydenta Lecha Kaczyńskiego i pana prezesa Budimeksu Stefana Assanowicza na porozumieniu uruchamiającym odbudowę tego naszego narodowego panteonu – wspomina. Prace przygotowawcze zostały jednak wówczas szybko przerwane po odkryciu oryginalnych pałacowych fundamentów i piwnic, które wpisano później do rejestru zabytków. Ostatecznie sprawa upadła w związku z kryzysem ekonomicznym w 2008 r. – umowa pomiędzy miastem a generalnym wykonawcą została rozwiązana za porozumieniem stron.

Jarosław Popiołek opowiada się za przywróceniem dawnych zabudowań ze względów symbolicznych, ale podkreśla także praktyczny wymiar tego przedsięwzięcia. – Jeżeli odbudowywać, to na pewno w wersji najbardziej „współczesnej", zważywszy, że przecież po odbudowie pałace i kamienice mają mieć funkcje użytkowe – przekonuje. To poważny argument, na który powołuje się również strona rządowa. „Obiekty powstałe w wyniku realizacji inwestycji zostaną przeznaczone na potrzeby Kancelarii Senatu i Mazowieckiego Urzędu Wojewódzkiego w Warszawie oraz innych podmiotów, prowadzących działalność kulturalną, edukacyjną lub społeczną", czytamy w jednym z komunikatów kancelarii premiera. Pojawia się jednak pytanie, czy tak mgliście zarysowane zadania nowych obiektów uzasadniają wydanie z budżetu państwa astronomicznej kwoty 2,5 mld zł w sytuacji, kiedy kraj wchodzi w stan recesji. Warszawa ma wiele pilniejszych, konkretnych potrzeb. Jak zwraca uwagę Grzegorz Piątek, za tę kwotę można by wybudować kilka kilometrów linii metra. A gdyby rząd wolał wznieść w stolicy jakiś monumentalny obiekt służący nie tylko potrzebom warszawiaków, ale o wymiarze ogólnopolskim, to może rozsądniej byłoby np. wrócić do tematu Areny Narodowej, która miała powstać na błoniach Stadionu Narodowego? Akurat ten teren należy do skarbu państwa, więc to jak najbardziej pole do popisu dla rządu. A w Warszawie zdecydowanie brakuje hali widowiskowo-sportowej z prawdziwego zdarzenia – to jedyna europejska stolica bez takiego obiektu.

Były prezydent Warszawy Wojciech Kozak zwraca uwagę na jeszcze inny problem związany z planowaną inwestycją: – W czasie mojej pracy w Urzędzie m.st. Warszawy byłem zwolennikiem odbudowy kompleksu złożonego z pałacu Saskiego, pałacu Brühla oraz kamienic wzdłuż ulicy Królewskiej w ich kształcie z sierpnia 1939 r. z lekkimi modyfikacjami. Nadal jestem zwolennikiem odbudowy całej zachodniej pierzei placu Piłsudskiego, natomiast duże wątpliwości budzi forma organizacyjna odbudowy. Spółka na specjalnych prawach, z kolosalnymi wynagrodzeniami i uprawnieniami planistyczno-budowlanymi bez żadnej kontroli. I bez udziału samorządu, bo przecież według obecnej władzy samorząd to samo zło.

Największe emocje społeczne budzą oczywiście horrendalne zarobki kierownictwa Spółki Celowej Pałac Saski, które mają sięgać 28 tys. zł miesięcznie na osobę. Biorąc pod uwagę, że działalność spółki planowana jest aż do 2030 r., rodzą się podejrzenia, że tak naprawdę chodzi nie o realizację kontrowersyjnej inwestycji, lecz o synekury. Takim spekulacjom sprzyja fakt, że choć spółka istnieje już prawie pół roku, na razie brakuje oznak jej pracy. Na oficjalnej stronie internetowej palacsaski.pl nie pojawiają się nowości, nie ma nawet danych teleadresowych, a na zapytania przesyłane za pośrednictwem specjalnego formularza nikt nie odpowiada.

Może w sytuacji, gdy planowana inwestycja na placu Piłsudskiego budzi tak wiele zastrzeżeń, ograniczenie jej zakresu do samego faktu powstania spółki celowej nie byłoby najgorszym wyjściem? Bo wszystko wskazuje, że nie istnieje żadna możliwość prawna zablokowania budowy. – Specustawa została tak skonstruowana, że nie ma na to sposobu. Nie wiemy nawet, czy zostanie rozpisany jakikolwiek konkurs na projekt architektoniczny, o co wnioskowały władze SARP – ubolewa Grzegorz Piątek. Pozostaje nam tylko czekać, czy zostaniemy obdarowani przez rząd i prezydenta RP niechcianym przez wielu warszawiaków prezentem, czy inicjatywa załamie się pod wpływem niemocy wykonawców lub zostanie zaniechana z braku środków. Jak wiele szumnych zapowiedzi rządowych w ostatnich latach.

Jacek Cezary Kamiński

Zarobki kierownictwa Spółki Celowej Pałac Saski mają sięgać 28 tys. zł miesięcznie na osobę.

eprasa.pl bc8ef8ba4f

Dwie dekady nowej matury

Polską maturę coraz łatwiej zdać, na tle krajów rozwiniętych jest wręcz banalna

Małgorzata Żuber-Zielicz

Pisanie na temat trudności egzaminów maturalnych w maju roku 2022 jest wyważaniem otwartych drzwi, przynajmniej jeśli chodzi o aktualnie zdający rocznik. Zdawanie matury ułatwiono mu maksymalnie. Zniknęły egzaminy ustne z polskiego i języka obcego – skądinąd zbędne ze względu na ich nieporównywalność oraz fakt, że Centralna Komisja Egzaminacyjna przez 20 lat nie wypracowała sprawiedliwego systemu losowania pytań egzaminacyjnych. Szkoda, że akurat te egzaminy – o nieporównywalnych wynikach i destrukcyjne dla edukacji polonistycznej i językowej pozostałych roczników liceum – nie znikają na zawsze. Tegoroczne arkusze egzaminacyjne są zaś na razie oceniane przez większość maturzystów jako łatwe i bardzo łatwe. Trudno się dziwić – obecny ich rocznik prawie połowę swojej edukacji spędził na wielkiej improwizacji zdalnego nauczania. Na dodatek jest w znacznym stopniu obciążony różnymi problemami psychicznymi związanymi z wielomiesięcznym zamknięciem w domach z pracującymi zdalnie rodzicami oraz rodzeństwem. Niemniej jednak osoby dobrze zorganizowane i zmotywowane często były zadowolone z lockdownów – zyskiwały czas marnowany zwykle na dojazdy do i ze szkoły, mogły więcej czasu i uwagi poświęcać przedmiotom priorytetowym kosztem pozostałych, w przypadku których realne wymagania zmalały. Dlatego np. poziom czołówki olimpijczyków z przedmiotów ścisłych bynajmniej się nie obniżył.

Natomiast dość powszechne społeczne odczucie dotyczące pewnej tendencji dobrze wyraża seria kawałów, w których ewolucja zadań maturalnych z matematyki kończy się, po pewnej fabule o drwalu, poleceniem „pokoloruj drwala!". Z drugiej strony umyka uwadze to, że trudność samego zdania matury niekoniecznie przekłada się na wysoki poziom kwalifikacji intelektualnych zdających. Wystarczy sobie wyobrazić skrajne sytuacje, w których do zdania matury niezbędna byłaby pamięciowa znajomość warszawskiej książki telefonicznej oraz np. 5 tys. pierwszych cyfr dziesiętnego rozwinięcia liczby pi. Taką maturę byłoby piekielnie trudno zdać, ale z faktu jej zdania niewiele by wynikało dla oceny intelektu zdających. Piszę o tym, bo nieco zbliżony trend obserwujemy w przypadku polskiej matury, szczególnie w perspektywie roku przyszłego i kolejnych. Ostatnio na łamach „Dziennika Gazety Prawnej"

FOT. PIOTR HUKAŁO/EAST NEWS

eprasa.pl bc8ef8ba4f

(12.05.2022) minister Przemysław Czarnek jako jedyny (!) powód chęci przywrócenia, po pandemicznej przerwie, egzaminów ustnych na maturze podał… dążenie do tego, by matura była trudniejsza.

Skądinąd akurat jest odpowiednia chwila na takie rozważania, właśnie mija okrągła, 20. rocznica przeprowadzenia w Polsce pierwszych egzaminów zewnętrznych – pogimnazjalnego i matury (w roku 2002 dla chętnych).

Miało być nowocześnie i tanio

Zapowiedzi były piękne – miał to być nowoczesny egzamin zewnętrzny, taki jak w krajach rozwiniętych. Sprawdzać miał przede wszystkim opanowanie potrzebnych na dalszych etapach kształcenia oraz w dorosłym życiu umiejętności i kompetencji, dając się wykazać maturzyście jego mocnymi i ważnymi dla uczelni stronami. Miał też być, jako zewnętrzny, krystalicznie uczciwy. Przed wprowadzeniem „reformy" Mirosława Handkego i Ireny Dzierzgowskiej usilnie akcentowano pamięciowy charakter ówczesnej szkoły i matur. Jednocześnie podkoloryzowywano opowieści o nieuczciwości dotychczasowej matury – podpowiadaniu przez nauczycieli i rodziców (ściągi w kanapkach), braku obiektywizmu itp. Zapominano przy tym, że poza maturą trzeba było zdawać na studia egzaminy wstępne, a one bezlitośnie zweryfikowałyby takie oszukiwanie. O ile oczywiście te historyjki byłyby tak masowe, jak twierdzono. W każdym razie nowy egzamin miał być wolny od wspomnianych wad – sprawdzać prawie wyłącznie umiejętności i kompetencje oraz być do bólu uczciwy. Miał także zastąpić jednocześnie i starą maturę, i egzaminy wstępne, stając się jedynym (poza drobnymi wyjątkami) narzędziem rekrutacji na uczelnie. Nowy egzamin miał również być tani – III RP wiele brakowało (i nadal brakuje) do poziomu zamożności europejskich krajów rozwiniętych. Wszystkie te czynniki razem wytworzyły splot sprzeczności, z których polska matura nie może się wyzwolić do dziś.

Na dodatek do przygotowania egzaminów zewnętrznych minister Dzierzgowska wydelegowała – rządzące de facto polskim systemem egzaminacyjnym do dziś – grono urzędników, zwykle kuratoryjnych. Widzieli oni w tym systemie głównie kwestie proceduralno-biurokratyczne i gadżety typu koperty jednorazowego użytku do pakowania arkuszy po maturze. Roztaczali wizje maturzystów masowo (!) sądzących się ze szkołami i systemem egzaminacyjnym za jakiekolwiek naruszenie procedur i inne podobne grzechy. Kwestie merytoryczne były dla nich marginalne. Nie wykorzystano też doświadczeń grup/szkół przeprowadzających wtedy już od kilku lat czy to matury międzynarodowe (IB), czy matury niektórych krajów europejskich i przygotowujących do nich polskich uczniów. Politycy zaś szybko dostrzegli w maturze i – generalnie – egzaminach zewnętrznych, ze względu na ich masowość, narzędzie autopromocji.

W cieniu Giertychowskiej amnestii

Pierwsza powszechna zewnętrzna matura w roku 2005, jeszcze za rządów Marka Belki, przeszła jakoś bezboleśnie. Już przy drugiej, w roku 2006 – za rządów PiS i Romana Giertycha w MEN – ujawniły się skutki sprzeczności. Czołowe, najbardziej oblegane uczelnie i kierunki domagały się możliwie wysokiego poziomu matury, by przyjąć jak najlepiej przygotowanych do studiów kandydatów. Inna grupa uczelni, szczególnie prywatnych, nowo powstałych na fali likwidacji szkolnictwa zawodowego, chciała mieć kandydatów jakichkolwiek, byleby zdolnych do płacenia czesnego. Ponieważ w 2006 r. matura poszła kiepsko, pod naciskiem słabszych i mniej popularnych uczelni (no i oczywiście samych oblanych oraz ich rodzin) minister Giertych zmienił reguły w trakcie gry, wprowadzając już po niej osławioną „amnestię maturalną". Objęła ona ponad 50 tys. niedoszłych maturzystów – tak jednorazowo zmieniono progi zdania matury, że mogli oni otrzymać świadectwo maturalne i podjąć studia. Czołowe uczelnie zrzeszone w Konferencji Rektorów Akademickich Szkół Polskich, przewidując, że jest to droga do obniżenia wyników wszystkich maturzystów w przyszłości, protestowały, ale bez skutku. Matura 2007 r. odbyła się w cieniu Giertychowskiej amnestii. W MEN i CKE dobrze zrozumiano sygnał – matura musiała być taka, żeby odsetek niezdanych egzaminów był stosunkowo mały. Do tego momentu starano się chociaż spełniać obietnicę matury jako egzaminu sprawdzającego przede wszystkim umiejętności. Z możliwością pokazania przez maturzystę, szczególnie tego najlepszego, mocnych stron intelektu (czym były zainteresowane czołowe uczelnie) było już gorzej. Po pierwsze, przez brak doświadczenia i idący za nim brak profesjonalizmu tworzących arkusze egzaminacyjne. Po drugie, dlatego że matura miała być tania. Oznaczało to, że nie oferowała zdającym (ani uczelniom w kontekście wymagań rekrutacyjnych) praktycznie żadnego wyboru poziomu egzaminu. I najlepsi, i przeciętni, niezależnie od planowanego kierunku studiów, musieli pisać identyczny egzamin. Dla tych pierwszych był on za łatwy, dla drugich za trudny. Poza propedeutycznym poziomem podstawowym (który powinien wieńczyć ukończenie gimnazjum, ale tam nie przewidziano żadnych progów na egzaminie) był i jest tylko jeden poziom, zwany dumnie rozszerzonym. Wyjątek stanowią języki obce, gdzie mamy jeszcze poziom nazwany nieco na wyrost dwujęzycznym. Tymczasem w wielu krajach rozwiniętych czy na maturze międzynarodowej mamy po kilka poziomów egzaminacyjnych choćby takiego kluczowego obecnie przedmiotu jak matematyka. Pozwala to zdecydowanie lepiej skalibrować wymagania rekrutacyjne uczelni w stosunku do kandydatów.

Za Legutki i Hall lektura na blachę

W roku 2007 przez trzy miesiące rządził edukacją oderwany od szkolnych realiów i zapatrzony w model przedwojennego maturzysty, i to po klasie klasycznej, prof. Ryszard Legutko – jedna z dwóch (obok zbliżonego intelektualnie prof. Andrzeja Waśki) „szarych eminencji" PiS od edukacji. Na trzy lata wyeliminował on z matury i polskiego liceum resztki rachunku różniczkowego. Miał też niestety jeszcze bardziej zabójczy

eprasa.pl bc8ef8ba4f

dla matury i edukacji pomysł – wymuszania za pomocą egzaminów zewnętrznych szczegółowej, pamięciowej znajomości lektur szkolnych. Przed ministrem Legutką lektury miały wyrabiać u ucznia umiejętność analizowania utworów literackich, by mógł on mierzyć się z kolejnymi, które przeczyta już w dorosłym życiu. Te właśnie umiejętności były sprawdzane na maturze. Swój pomysł minister Legutko wdrożył w przygotowywanych jesienią arkuszach na egzamin pogimnazjalny oraz maturalny i, wraz z PiS, po wyborach stracił władzę.

Maturę roku 2008 przeprowadzono już za minister Katarzyny Hall, która jednak okazała się niesłychanie kompatybilna ze swoim poprzednikiem i z PiS w upodobaniu do szkoły i egzaminów zewnętrznych opartych na przymusie. Okazało się wówczas, że za ministra Legutki przygotowano dla gimnazjalistów na egzamin zadania wymagające dość szczegółowej znajomości „Kamieni na szaniec" Aleksandra Kamińskiego. Tymczasem w gimnazjach egzaminy były w kwietniu, a rok szkolny trwał do czerwca. W wielu szkołach tej lektury jeszcze do egzaminu nie przerobiono, zostawiając ją na ostatnie dwa miesiące roku szkolnego. Wybuchła awantura, w której Katarzyna Hall wzięła stronę swojego poprzednika i jego pomysłu, jednocześnie zapowiadając kontrole mające znaleźć „opieszałych" w przerabianiu lektur nauczycieli. Od tego momentu pomysł wymuszania szczegółowej znajomości lektur za pomocą egzaminów zewnętrznych, w tym matury, na stałe zadomowił się w polskim systemie edukacyjnym. Nie tylko zresztą lektur – na czele CKE stanął prof. Krzysztof Konarzewski, który miał także zaakceptowany przez minister Hall pomysł bardzo szczegółowej (10-krotnie obszerniejszej od poprzedniej) podstawy programowej. Jej detaliczne „przerobienie" miałoby oczywiście, poza wpisami w dzienniku, być egzekwowane na maturze. I tak polska matura, zamiast sprawdzać umiejętności ucznia oraz dać mu możliwość zaprezentowania mocnych stron, stała się narzędziem wymuszania realizacji paznokciowo szczegółowej podstawy programowej.

Pozorny gest Kluzik-Rostkowskiej

Czołowe uczelnie, którym minimalistyczne podejście do wymagań maturalnych utrudniało życie, naciskały na podniesienie ich poziomu. Minister Joanna Kluzik-Rostkowska wykonała więc w ich kierunku pewien pozorny gest. W 2015 r. wprowadziła obowiązek zdawania przez maturzystę, poza trzema dotychczas obowiązującymi przedmiotami na poziomie podstawowym, jednego na poziomie rozszerzonym. Nic, tylko bić brawo, gdyby nie fakt, że na tym poziomie nie ma żadnego progu punktowego. By spełnić to wymaganie, uczeń musiał po prostu przyjść na egzamin i oddać pusty, choć podpisany arkusz. Gigantyczne marnotrawstwo energii i środków bez żadnego pozytywnego efektu.

Polską maturę jest więc łatwo i coraz łatwiej zdać, na tle krajów rozwiniętych jest ona wręcz banalna. Tyle że czasem wymusza zupełnie nieracjonalne i nieużyteczne z edukacyjnego punktu widzenia rzeczy – np. szczegółową pamięciową znajomość lektur, sztukę „wstrzeliwania się w klucz" albo umiejętność mistrzowskiego posługiwania się „kalkulatorem gospodyni domowej na zakupach" (cztery działania plus pierwiastek kwadratowy) na matematyce i przedmiotach przyrodniczych.

Matura a kalendarz polityczny

Proces ułatwiania i trywializowania polskiej matury w ramach tak ważnych dziś przedmiotów przyrodniczych można prześledzić również na przykładzie ewolucji arkuszy maturalnych z bliskiej mi fizyki. Początkowo, wzorem egzaminów z krajów rozwiniętych, arkusz zawierał kilka sytuacji fizycznych – do każdej był zestaw szczegółowych zadań-poleceń. Maturzysta musiał się wykazać umiejętnością analizy tych sytuacji, wykorzystując znaczny obszar swoich umiejętności i wiedzy. Pytań zamkniętych (z wyborem odpowiedzi do zaznaczenia, co umożliwia „strzelanie") nie było. W ostatnich latach na maturze z fizyki jest często ponad 15 zadań. Znaczna ich część to zadania zamknięte, a sporo innych – za 1 pkt lub 2 pkt, wymaga po prostu sprawnego zastosowania odpowiedniego wzoru z posiadanego zestawu. CKE stara się też unikać na maturze z fizyki zadań wymagających kluczowej w tej dyscyplinie (ale i np. w chemii) umiejętności wykorzystania znanego z lekcji matematyki aparatu matematycznego do rozwiązywania problemów fizycznych. Powiada się, że nie powinno być tak, że z powodu słabej znajomości matematyki komuś źle pójdzie matura z fizyki. W ten sposób, zamiast integrować wiedzę o świecie, matura sztucznie ją separuje na osobne fragmenty.

W roku 2023 maturę ma zdawać pierwszy rocznik licealistów po „reformie" minister Anny Zalewskiej. Ma być trudniej, ale jest to trudność, o jakiej pisałam – więcej pamięciowej, szczegółowej wiedzy, egzaminy ustne. Z umiejętnościami i potencjałem intelektualnym maturzysty będzie to miało niewiele wspólnego. Ale za rok są także wybory, więc stawiam dolary przeciw kasztanom, że pod jakimś pretekstem, choćby pandemii, akurat te zapowiedzi nie zostaną zrealizowane.

W cywilizowanym świecie w ustalonych cyklach, np. pięcioletnich, po konsultacjach z nauczycielami i innymi specjalistami, dokonuje się systematycznej modernizacji matur oraz programów. Przy czym początek i koniec cyklu dla poszczególnych przedmiotów nie wypadają w tych samych momentach. W III RP jest to nadal kwestia przypadku, kalendarza politycznego, widzimisię ministra i innych równie doniosłych czynników. Co niestety widać, słychać i czuć…

Centralna Komisja Egzaminacyjna przez 20 lat nie wypracowała sprawiedliwego systemu losowania pytań egzaminacyjnych.

Małgorzata Żuber-Zielicz – była dyrektor LO im. Batorego i wicedyrektor LO im. Kopernika w Warszawie; w latach 2006-2018 przewodnicząca Komisji Edukacji Rady m.st. Warszawy; w latach 2004-2006 wprowadziła w LO im. Batorego program międzynarodowej matury (IB)

eprasa.pl bc8ef8ba4f

Na dyplomację był czas po Majdanie

W miarę jak Ukraińcy żyli w niepodległości i wolności, stawali się coraz bardziej antyrosyjscy, aż wreszcie doszło do wojny

Rozmawia Eliza Olczyk

BRONISŁAW ŁAGOWSKI
– filozof, historyk idei, publicysta

Jak taki realista i racjonalista jak pan postrzega wojnę w Ukrainie? Niektórym się wydawało, że już nigdy takich wojen pełnych mordów, gwałtów i grabieży nie będzie, a jednak znowu to przerabiamy.

– Ta wojna jest nie tylko wielkim nieszczęściem, jak wszystkie wojny, ale jest też niesamowicie dziwna i niespodziewana. Wszyscy przyzwyczaili się do pokojowego rozwiązywania problemów, a tymczasem argumenty w postaci rakiet i bomb znowu okazały się pożądane. Zastanawiam się też, do jakiego myślenia skłania Polaków obecna wojna, bo widzę dużo lekkomyślności w podejściu do tego, co się dzieje.

Na czym polega ta lekkomyślność?

– Gdy wybuchła wojna, w kręgach opiniotwórczych i rządowych pojawiła się euforia, że zdarzyło się coś szalenie ciekawego i po naszej myśli. Nie było z czego się cieszyć, a tymczasem różne środowiska się cieszyły.

Co pan ma na myśli?

– Demonstracyjne zadowolenie z faktu, że potwierdziło się przekonanie większości, iż Rosja jest krajem agresywnym i imperialistycznym. Ci, którzy tak myśleli, poczuli się usatysfakcjonowani tym, że dobrze przewidywali.

A w czym się to zadowolenie demonstrowało?

– W wypowiedziach i śmiałym uczestnictwie w tym, co się dzieje. Polski rząd przyjął postawę czynnego uczestnika wojny, zatem zupełnie nieostrożną, i w tej postawie ciągle tkwi. Ludność uciekająca z Ukrainy do Polski, którą przyjmujemy jako ludzie mający serce – to jest rzecz naturalna. Natomiast udział naszego państwa w wojnie – wysyłanie broni, udostępnianie terytorium – to nie są rzeczy, które powinno się robić z wielką łatwością i bez namysłu. A można odnieść wrażenie, że uznano, iż w tej wojnie, która potwierdziła nasze przekonania, należy wziąć udział. Także głosy szyderstwa pod adresem zachodnich polityków, nie tak przewidujących jak polscy, były przejawem tego zadowolenia. Widzieliśmy te publikacje i wypowiedzi, np. pod adresem Niemców, że nie przewidzieli, nie spodziewali się, że się ociągają z pomocą i wysyłaniem broni. A Polska zawsze jest pierwsza, jeżeli chodzi o udział w niebezpiecznych rzeczach. Balzak napisał: pokaż Polakowi przepaść, a od razu w nią skoczy.

Czy wybór rządu, żeby aktywnie uczestniczyć w konflikcie, nie był racjonalny? Gdyby Ukraina padła w ciągu kilku dni, kto wie, czy za jakiś czas sami nie stalibyśmy się obiektem ataku Rosji.

– Przed wojną to było absolutnie wykluczone. Rosja nie miała żadnego interesu, żeby rozpoczynać wojnę z państwem NATO, boby ją przegrała. Ale teraz, po tym jak zaangażowaliśmy się w tę wojnę, jak różni ludzie chcieliby, ażeby NATO również się w nią zaangażowało – nie tylko w dostawy broni, ale nawet, żeby brało udział w starciach zbrojnych – nie ma już pewności, że starcie Rosji z NATO jest niemożliwe. Co więcej, Polska prowadzi taką politykę, jak gdyby pragnęła tego starcia. Dla dziennikarzy, ale też dla rządzących, sankcje nakładane na Rosję zawsze są za małe, za słabe. Realizujemy masowe dostawy broni do Ukrainy. Nie można mieć pewności, że to nie wywoła prawdziwej wojny. Rzecz jasna, Polska ma swoje interesy w tej wojnie.

Jakie to są interesy?

– Chciałbym to wiedzieć. Mówi się, że tym interesem jest niepodległość Ukrainy, bo bez niepodległej Ukrainy nie ma niepodległej Polski. To jest absolutnie fałszywe postawienie sprawy, bo przecież nasza niepodległość byłaby zależna od bardzo niepewnego warunku, jakim jest niepodległość Ukrainy. Ale nawet gdybyśmy uznali, że Polska nie ma innego wyjścia, jak związać

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

eprasa.pl bc8ef8ba4f

swój los z losem Ukrainy, należałoby zapytać, co Polska zrobiła, żeby nie dopuścić do obecnej wojny. Nie widziałem ze strony polskiego rządu działań dyplomatycznych zmierzających do zapobieżenia najgorszemu scenariuszowi w sprawach Ukrainy. Raczej wyżywano się w przewidywaniu najgorszego wariantu.

Można czynić zabiegi dyplomatyczne, ale do tego potrzebne są dwie strony. Tymczasem władze Rosji nie były zainteresowane takim rozwiązaniem. Mówił o tym prezydent USA Joe Biden, że Rosja do końca kłamała, iż nie zamierza napadać na Ukrainę.

– Na pewno tuż przed wybuchem wojny Rosja nie była zainteresowana rozwiązaniami dyplomatycznymi. Ale okres przedwojenny jest dość długi. Wojna de facto zaczęła się po drugim Majdanie. To był czas na rozwinięcie akcji dyplomatycznej. I na pewno niektórzy czynili takie starania, ale Polska nie. Przynajmniej ja tego nie widziałem. Moim zdaniem Polska nie powinna była ułatwiać objęcia władzy elementom skrajnie prawicowym, nacjonalistycznym w Ukrainie. A przemiana wewnętrzna Ukrainy spowodowana była silnymi, właściwie decydującymi, działaniami tych ugrupowań nacjonalistycznych, które były bardzo bojowe i szukające pretekstu do wojny. (…) Na przełomie 2004 i 2005 r. dokonano oszustwa wyborczego, zarządzając trzecią turę wyborów na rzecz nacjonalistycznego Wiktora Juszczenki.

Zarządzono tę trzecią turę, bo drugą zagraniczni obserwatorzy i sami Ukraińcy uznali za sfałszowaną.

– Moim zdaniem fałszerstwem było przeprowadzenie trzeciej tury wyborów prezydenckich, którą wygrał Juszczenko. A zorganizowano ją, bo nie było zgody na wynik drugiej tury, czyli na zwycięstwo Wiktora Janukowycza. W czasie drugiego Majdanu Polska, już oficjalnie, wzięła udział w obalaniu legalnie wybranej władzy w Ukrainie. Po czym władzę przejęli przedstawiciele ideologii banderowskiej, która zepchnęła ze sceny politycznej reprezentantów wschodniej Ukrainy. Ustanowiono państwowy kult banderyzmu. Prezydent Poroszenko w wywiadzie dla „Gazety Wyborczej" powiedział, że cały naród ukraiński jest banderowski, zaś państwo uchwaliło, że nie można krytykować UPA. Tutaj dotykamy problemu, na który ślepy okazał się Putin.

Czyli jakiego?

– On nie wziął pod uwagę, jak głęboko sięgnęły wpływy banderowców. Uważał, że ta ideologia jest powierzchownym stanem umysłów mniejszości Ukraińców. I gdy ta mniejszość zostanie odsunięta od władzy, to większość odetchnie z ulgą. Tymczasem Ukraińcy zaczęli uważać się za naród wybrany. I dlatego domagają się od Zachodu rozmaitych świadczeń – moralnych, politycznych i materialnych. Ambasador ukraiński w Niemczech zachowuje się tak jak ambasador amerykański w Ukrainie. W Niemczech już powstał ruch domagający się usunięcia tego ambasadora. Ukraińcy przyjęli wobec Niemiec wybitnie roszczeniową postawę. Prezydent Wołodymyr Zełenski uważa się za uprawnionego do wygłaszania poglądów niebywałych w tej sytuacji.

Dlaczego niebywałych? Zełenski jest w sytuacji człowieka, któremu bomby lecą na głowę.

– Ale to nie uprawnia go do stawiania żądań innym państwom. Część profesorów, z którymi rozmawiam, uważa, że w Ukrainie rozwija się ideologia mesjanistyczna, bardzo podobna do mesjanizmu polskiego z XIX w – nasz naród jest wybrany, ma misję wobec świata i dlatego przysługują mu wyjątkowe uprawnienia, do których inne narody nie mają prawa. W tym mesjanizmie ukraińskim Rosja i Rosjanie zostali zdyskwalifikowani moralnie i pod każdym innym względem. W Ukrainie pojawiają się pomysły uchwał, by zamiast „Rosjanie" mówić „Moskale", bo to

Nie ma już pewności, że starcie Rosji z NATO jest niemożliwe. Co więcej, Polska prowadzi taką politykę, jak gdyby pragnęła tego starcia.

Szkice antyspołeczne?

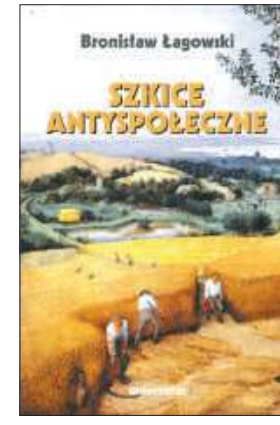

Bronisław Łagowski, *Szkice antyspołeczne*, Wydawnictwo Universitas, Kraków 2022

Krakowski Universitas zdecydował się wznowić teksty prof. Bronisława Łagowskiego, prowokująco zatytułowane „Szkice antyspołeczne". Poglądy autora bowiem w żadnym razie antyspołeczne nie są. W tekstach pisanych w latach 90. Łagowski staje w obronie interesów społecznych, więcej nawet – społeczeństwa. Wyraźnie przeciwstawia się solidarnościowej kontrrewolucji, pokazując, że tworząca się wówczas, a dziś rządząca Polską elita rodem z Solidarności uznała się za crème de la crème polskiego narodu i myśli, że to, co robi, jest wiekopomne i wielce korzystne dla Polaków. „Szkice antyspołeczne" są tak naprawdę oskarżeniem o zmarnowanie szansy na to, by Polska stała się krajem w pełni demokratycznym, z cywilizowanymi zasadami, o społecznym obliczu. W przedmowie do II wydania prof. Łagowski napisał, że dzisiejszą rzeczywistość postrzega jeszcze ostrzej, jeszcze bardziej krytycznie niż tę z lat 90., a „teksty pomieszczone w książce nie dają pełnego wyrazu mojemu rozczarowaniu, kiedy je pisałem, nie było jeszcze przesądzone, że liberalna kontrrewolucja wykolei się". Jeszcze nie do końca, Panie Profesorze! I warto o tym pisać, oczywiście w PRZEGLĄDZIE.

Paweł Dybicz

eprasa.pl bc8ef8ba4f

bardziej odpowiada historycznemu stanowi rzeczy. Ten stan mesjanizmu jest zarazem stanem pasjonarnym.

Co to oznacza?

– Pojęcie pasjonarności oznacza emocjonalną gotowość do działania i do ponoszenia ofiar. Walka jest czynem uświęconym. Ukrainiec w obliczu wojny nie może myśleć: „Cofam się, bo mogę zginąć", on ma myśleć: „Nie cofnę się, a gdy zginę, zostanę bohaterem". Taką filozofią kieruje się pułk Azow. Ukraińcy pasjonarni, mesjanistyczni są nie do pokonania dla Rosji. Putin myślał bardzo powierzchownie i nie wziął pod uwagę stanu umysłu Ukraińców. To jest zasadnicze przeoczenie, które zadecyduje o wyniku tej wojny. Ona nie może się skończyć zwycięstwem Rosjan, bo Ukraińcy się nie cofną. Dlatego – jak powiedział prezydent Joe Biden – ta wojna będzie trwała latami. Nawet jeżeli Rosjanom uda się opanować Donbas i tereny łączące Rosję z Krymem, to reszta Ukrainy będzie wystarczająco uzbrojona przez Zachód i wystarczająco zmotywowana, żeby nie dać Rosji spokoju. To jest sytuacja tragiczna dla obu tych narodów, ale również dla Europy, bo zbliżamy się do momentu, kiedy publicznie rozmawia się o użyciu bomb nuklearnych. To jest rzecz nowa i szalenie niebezpieczna.

Przejmuje się pan tą wojną?

– Prawdę mówiąc, sprawy ukraińskie nie poruszają mnie tak bardzo jak innych Polaków. Pochodzę z terenów, gdzie rozwijała się partyzantka banderowska i gdzie doszło do masowych mordów. Gdy patrzę na uciekających przed wojną Ukraińców, to przypominam sobie ucieczkę mojej rodziny przed Ukraińcami. My, którzy przeżyliśmy wydarzenia lat 40., trochę inaczej patrzymy na sprawy ukraińskie. Po ludzku widzę obecne nieszczęście Ukraińców, ale kiedy zaczynam więcej o tym myśleć, to, chcąc nie chcąc, wracam myślami do wydarzeń, które przeżyłem. Mogę powiedzieć, że ja i moja rodzina uciekliśmy spod ukraińskiej siekiery.

Czy zgodzi się pan z poglądem, że Ukraińcy walczą dziś w obronie pokoju w całej Europie?

– Absolutnie nie. To przekonanie jest przejawem ich mesjanizmu. W ich interesie jest wciągnąć jak najwięcej narodów w tę wojnę, stąd narracja, że walczą w obronie Europy, a nawet świata. To jest mitomania. Oni starają się ratować samych siebie. Mają do tego prawo.

Czy Ukraina zwycięska w wojnie z Rosją byłaby dla nas dobrym sąsiadem?

– Myślę, że Ukraina dla nikogo bardzo długo nie będzie dobrym sąsiadem, dlatego że tam panują brutalne obyczaje. Ukraińcy w sytuacji konfliktu odwołują się do rozwiązań najbardziej drastycznych. Ich stosunki z Rosją były absolutnie irracjonalne. To jest naród pod pewnym względem do nas podobny, ale my mieliśmy świadomość kultury państwowej, a w Ukrainie ta kultura dopiero się rodzi. Polska miała małe możliwości oddziaływania na Ukrainę. Ale mogła przeciągnąć Białoruś na stronę Zachodu. Inteligencja białoruska była coraz bardziej zainteresowana tradycją Księstwa Litewskiego, Rzeczypospolitej, zatem świadomość białoruska była dla Polski sprzyjająca. To zaś dawało ciekawą perspektywę na przyszłość. Polska miała szansę, żeby w pewnym sensie „polonizować", czyli przyciągać do Polski Białoruś.

> Wobec Białorusi popełniono wiele błędów, a była na wyciągnięcie ręki dla Polski. Tylko że tej ręki nigdy nie wyciągnięto.

Przecież były podejmowane takie próby.

– Nie widziałem tych prób. Przeciwnie, cały czas ze strony polskiej widziałem działania typu dywersyjnego. Oddziaływanie na Polonię na Białorusi w taki sposób, by uczynić z niej środowisko opozycyjne. Tak działała telewizja Biełsat i część polskiej klasy politycznej, która się wywodziła z opozycji demokratycznej z czasów PRL. Oni rozumowali w następujący sposób: „Będziemy tworzyć opozycję na Białorusi, taką, jaka była w PRL". Nie brali pod uwagę faktu, że funkcjonowanie w Polsce opozycji było poprzedzone kilkunastoma latami ewolucji aparatu władzy i partii rządzącej. Jeżeli chciało się oddziaływać na Białoruś, to należało utrzymywać stosunki z aparatem władzy, z nomenklaturą i starać się ją cywilizować. Ona była na to podatna. Ale tego nie zrobiono. Brzydzono się białoruskim aparatem władzy. Jeżeli ktoś powiedział coś sympatycznego o Łukaszence, np. jeden z senatorów stwierdził, że to jest ciepły człowiek, od razu był za to besztany przez środowiska opiniotwórcze. Wobec Białorusi popełniono wiele błędów, a była na wyciągnięcie ręki dla Polski. Tylko że tej ręki nigdy nie wyciągnięto.

Polska ponosi duże koszta wojny ukraińsko-rosyjskiej. Utrzymanie uchodźców będzie nas kosztowało krocie. Czy to leży w naszym interesie?

– Moim zdaniem pomoc ludziom jest czymś ogromnie ważnym, niezależnie od kosztów. Jestem pod ogromnym wrażeniem działacza politycznego z czasów II wojny światowej, hrabiego Adama Ronikiera, który jako przewodniczący Rady Głównej Opiekuńczej pomógł milionowi Polaków, a setki tysięcy uratował przed śmiercią głodową. Wydaje mi się jednak, że w Polsce istnieje przewrotna etyka polityczna – postępowanie z gruntu złe uchodzi za dobre, a dobre uchodzi za złe. Przykład Ronikiera tego dowodzi. Etyka nakazuje zmniejszanie bólu i zakazuje podnoszenia do rangi ideałów czynów sprawiających ludziom ból. Tymczasem czcimy bohaterów państwa podziemnego i ich konspiracyjne czyny, te głośne akcje, które z reguły pociągały za sobą ofiary, a Ronikier poszedł w zapomnienie. W wielkiej wojnie zginęło 6 mln polskich obywateli, a doświadczenie tej wojny nie zostało przepracowane. Moje pokolenie, które pamięta II wojnę światową, ze zdziwieniem patrzy, jak łatwo ludzie się godzą na czyny, działania i sytuacje, które grożą prawdziwą wojną.

Chodzi panu o zaangażowanie państw NATO po stronie Ukrainy?

– Dokładnie. W Ukrainie nie ma jeszcze takiej pełnowymiarowej wojny, ale może do niej dojść, jeżeli państwa NATO będą się zachowywały prowokacyjnie.

Ma pan podobne poglądy do papieża Franciszka, który uważa, że

eprasa.pl bc8ef8ba4f

nie powinno się dostarczać broni Ukrainie, bo to eskaluje konflikt.

– Ja uważam tak samo.

To mamy skazać Ukrainę na pacyfikację ze strony Rosjan?

– Nie doszłoby do tego, gdyby nie wtrącanie się Amerykanów. Byłyby możliwe jakaś umowa i ugoda. Wskazywała na to idea, którą Putin głosił na początku wojny, że Ukraińcy i Rosjanie to jeden naród, co zresztą wpłynęło na jego taktykę wojenną. A teraz, gdy się okazało, że ta identyfikacja Rosjan i Ukraińców jest nieważna, zaostrzają się sposoby prowadzenia wojny.

W Polsce też widzę wiele nieodpowiedzialnego myślenia – np. że NATO powinno wystąpić zbrojnie przeciwko Moskwie, bo wygrałoby wojnę z Rosją. I to prawda, NATO wygrałoby tę wojnę, ale zanimby do tego doszło, Polska zostałaby zniszczona jako kraj frontowy. Taka byłaby kolejność. Tymczasem większość, w tym rząd, jest dumna z tego, że jesteśmy krajem frontowym. Tak samo myślą Estończycy, Litwini, Łotysze. Te małe kraje są strasznie wojownicze.

Może są przerażone, że mogą podzielić los Ukrainy, a nie wojownicze?

– Nie są przerażone. Gdyby były, toby nie prezentowały ostentacyjnie postawy antyrosyjskiej w każdej sytuacji. Gdybyśmy się zastanowili, kto o co walczy w tej wojnie, to wydaje się oczywiste, że Rosja chce odebrać Ukrainie tzw. Małą Rosję, a Amerykanie, którzy już byli pewni, że Ukraina jest ich, nie chcą pozwolić, żeby ten kraj wymknął im się z rąk. Ameryka włożyła w Ukrainę miliardy dolarów, co otwarcie mówią sami politycy amerykańscy, a teraz daje armaty. Ukraina zaś daje mięso armatnie.

Jakie było wyjście z tej sytuacji, skoro Ukraińcy zostali napadnięci?

– Zostali napadnięci, ponieważ też wyrządzili Rosji niemało szkód – gospodarczych, wizerunkowych itd. Ostatni Majdan to była długotrwała manifestacja wrogości wobec Rosji. Putin nie od razu zorientował się, co tam się święci, ale gdy się zorientował, to zadziałał na Krymie.

Czyli to Ukraina poniosła straty.

– Też, choć uważam, że Rosja została sprowokowana. Dla mnie pewną ciekawostką jest zachowanie Putina. Zastanawiałem się, jak to możliwe, że polityk, który miał na koncie wiele osiągnięć taktycznych, w przypadku Ukrainy popełnił tak niesamowicie wielki błąd. Bo wojna przez niego wszczęta jest błędem. Doszedłem do wniosku, że chodzi o optymizm w myśleniu. Trzech kolejnych przywódców Rosji było wielkimi optymistami. Michaił Gorbaczow rozumował następująco: jeżeli odrzucimy komunizm, zniknie przyczyna wrogości między Rosją a Zachodem. Było to wybitnie optymistyczne. Komunizm zniknął, a wrogość pozostała, a nawet się zaostrzyła. Borys Jelcyn, też wielki optymista, uważał, że jeśli uwolni się narody trzymane pod władzą Rosji, to one Rosję pokochają. Nie pokochały. W Ukrainie referendum wykazało, że Ukraińcy chcieli zachowania Związku Radzieckiego. Ale w miarę jak żyli w niepodległości i wolności, stawali się coraz bardziej antyrosyjscy, aż wreszcie doszło do wojny. Putin też jest optymistą. Uważał, że Ukraińcy, zrozpaczeni skutkami Majdanu, bo byli zrozpaczeni, powitają Rosjan radośnie. Tymczasem Ukraińcy się zmienili. Boję się, żeby Polacy nie byli nadmiernie optymistyczni.

Na czym miałby polegać ten optymizm?

– Na myśleniu, iż możemy dostarczać do Ukrainy broń, przepuszczać wielkie transporty z zachodnią bronią i że to wszystko ujdzie nam płazem. A gdy otrzymamy cios ze strony Rosji, to będziemy krzyczeli, że Rosja jest agresywna. Nie pomyślimy, że swoim działaniem dopraszaliśmy się reakcji Rosji.

Dlaczego pan uważa, że Rosja ma prawo wymuszać sympatie prorosyjskie albo określone działania na odrębnych narodach?

– Tak nie uważam. Nie ma takiego prawa. Tej wojny nie da się usprawiedliwić i jej nie usprawiedliwiamy. Rozważamy tylko przyczyny tej wojny. A przyczyny i wina to są dwie różne sprawy.

Eliza Olczyk

Wydaje się oczywiste, że Rosja chce odebrać Ukrainie tzw. Małą Rosję, a Amerykanie, którzy już byli pewni, że Ukraina jest ich, nie chcą pozwolić, żeby ten kraj wymknął im się z rąk.

Tekst ukazał się w dodatku „Plus Minus" do „Rzeczpospolitej" 30 kwietnia-1 maja 2022 r.

eprasa.pl bc8ef8ba4f

Wojny zbożowe

Marek Czarkowski

700 dol. za tonę pszenicy i głód w Afryce. Taki może być efekt uboczny wojny w Ukrainie, jeśli Europa sobie nie poradzi

„Prawie 25 mln ton zboża utknęło obecnie w Ukrainie i nie może opuścić kraju z powodu blokady portów morskich i problemów infrastrukturalnych", twierdzi Josef Schmidhuber, cytowany przez magazyn „Fortune" ekonomista Organizacji Narodów Zjednoczonych ds. Wyżywienia i Rolnictwa (FAO). Od początku konfliktu ostrzegają również inni eksperci.

Już na początku marca główne ukraińskie porty na Morzu Czarnym – Odessa, Mariupol i Berdiańsk – zostały zablokowane przez marynarki wojenne Rosji i Ukrainy. W czasach pokoju eksportowano tą drogą 75% miejscowej pszenicy do krajów Bliskiego Wschodu i Afryki.

Do tych problemów dodać należy wstrzymanie eksportu pszenicy przez Indie, ograniczenia nałożone na Federację Rosyjską oraz przyjęty przez Chiny zakaz eksportu tego zboża. W efekcie mieszkańcom wielu afrykańskich krajów głód zajrzał w oczy.

Dramat jest tym większy, że w ubiegłym roku zbiory głównych zbóż na świecie były niezłe, a w ukraińskich, rosyjskich, chińskich, indyjskich i europejskich magazynach jest pszenica. Tymczasem na skutek wojny w Ukrainie i sankcji wprowadzonych przez kraje zachodnie wobec Kremla milionom ludzi grożą głód, wojny domowe i migracje.

Mykoła Solski, minister polityki rolnej i żywności w obecnym rządzie Ukrainy, przewiduje, że późną jesienią za tonę pszenicy trzeba będzie zapłacić 700 dol. Dziś jej cena na Chicago Mercantile Exchange wynosi ok. 430 dol. To świetna wiadomość dla spekulantów i fatalna dla mieszkańców Libanu, Libii, Tunezji, Somalii oraz innych państw afrykańskich. Zachód, który zapowiada pomoc i szuka pieniędzy, musi też znaleźć sposób, by wywieźć pszenicę z Ukrainy. A coraz więcej polityków, ekonomistów i dziennikarzy powtarza, że „czasy taniej żywności minęły". Zaczęły się prawdziwe „wojny zbożowe".

41 dni w kolejce na granicy

Komisja Europejska świetnie zdaje sobie sprawę z zagrożeń, które pojawiły się w związku z kryzysem na rynku zbóż, Josep Borrell, wysoki przedstawiciel Unii ds. zagranicznych i polityki bezpieczeństwa, oświadczył, że Unia powinna pomóc Ukrainie opróżnić magazyny ze zbożem. Dlatego KE zabrała się do opracowania planu ratunkowego, lecz musi minąć trochę czasu, nim zacznie on być realizowany. Na razie sytuacja jest fatalna.

11 maja ukraiński portal Rail.insider opublikował informację, że na przejściu granicznym z Rumunią Vadul-Siret-Dorneşti w obwodzie czerniowieckim tiry na odprawę czekają 41 dni. W kolejce stało 4719 pojazdów, z których 3282 były wyładowane pszenicą.

Na granicy ze Słowacją jest lepiej – na przejściach Czop-Čierna nad Tisou oraz Użhorod-Maťovce trzeba stać 16-17 dni. Podobna sytuacja jest na granicy z Polską. Różnice wynikają z tego, że z Humania w centralnej Ukrainie do rumuńskiego portu w Konstancy ciężarówki mają do pokonania ok. 1 tys. km po względnie bezpiecznej trasie, podczas gdy do portu w Gdyni – 1,5 tys. km.

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl bc8ef8ba4f

Przez porty w Odessie (na zdjęciu), Mariupolu i Berdiańsku wysyłano 75% ukraińskiego zboża do krajów Bliskiego Wschodu i Afryki.

Łącznie w połowie maja w kolejkach na zachodnich granicach Ukrainy stało ponad 31 tys. tirów i dla wszystkich jest jasne, że transport drogowy nie rozwiąże problemu eksportu ukraińskiej pszenicy. Potrzebne są inne rozwiązania.

Niemiecki minister rolnictwa Cem Özdemir powiedział w jednym z wywiadów, że kraje unijne szukają sposobów, by wywieźć pszenicę drogą kolejową i rzeczną – Dunajem. Nie będzie to łatwe, gdyż rozstaw torów w Ukrainie jest inny niż w krajach europejskich. Poza tym część ukraińskich linii kolejowych została zniszczona przez rosyjskie lotnictwo i ostrzał rakietowy. Nie wspominając o tym, że pierwszeństwo należy się transportom paliwa, amunicji i uzbrojenia. Wagony z pszenicą szybciej dojadą do granicy, jeśli skład ma specjalną przepustkę.

A gdy już znajdą się na stacji końcowej, ziarno musi zostać przeładowane do wagonów z europejskim rozstawem kół. Wojna ujawniła, że na stacjach granicznych po ukraińskiej stronie brakuje urządzeń, które mogłyby przyśpieszyć ten proces. Trudno temu się dziwić, w przeszłości koleją wywożono z Ukrainy śladowe ilości pszenicy, więc nikt nie sądził, że jakieś urządzenia przeładunkowe będą potrzebne.

Komisja Europejska wyasygnowała już środki na zakup specjalnych ładowarek i taśmociągów, które mają poprawić sytuację na zachodnich przejściach granicznych Ukrainy. Na razie bez odpowiedzi jest pytanie, czy najpierw PKP Cargo poradzi sobie z koniecznością przewiezienia znacznie większych niż dotychczas ilości pszenicy. A potem, czy polskie porty sprostają wyzwaniu. Wszak nie są z gumy.

Opróżnić magazyny przed żniwami

Już pojawiły się oferty z Kłajpedy i Rygi, która po rezygnacji Rosji z usług przeładunkowych ma sporo wolnych mocy. Podobnie jak koleje łotewskie, które także muszą sobie radzić z rosyjskim bojkotem. Niestety, oznacza to wzrost kosztów i wydłużenie terminów dostaw.

W przypadku skorzystania z oferty Litwy i Łotwy ukraińscy pośrednicy będą musieli zaoferować znaczne upusty w cenach, by wszyscy mogli na handlu zbożem zarobić.

Poszukiwane są też inne rozwiązania. W zachodnich mediach pojawiły się spekulacje o poufnych rozmowach z Rosją na temat zdjęcia blokady morskiej portu w Odessie. W zamian Zachód miałby zaoferować złagodzenie sankcji. Gdyby tak się stało, z pewnością udałoby się opróżnić ukraińskie magazyny przed tegorocznymi zbiorami.

Lecz jeśli nawet Kreml zgodziłby się na takie warunki, nie wiadomo, jak by zareagował na wiadomość, że amerykańskie, brytyjskie lub tureckie trałowce mają się zająć rozminowaniem podejść do odeskiego portu. O oczyszczenie z min Morza Czarnego już w kwietniu do obu stron bezskutecznie apelowała Międzynarodowa Federacja Pracowników Transportu.

W ocenie Moskwy nie ma żadnych powodów, by pomagać Ukrainie i jej zachodnim sojusznikom. Zwłaszcza że oskarżają oni Rosjan o wszystkie możliwe zbrodnie, w tym o rabunek 500 tys. ton zbóż z silosów, które znajdowały się na zajętych przez nich terenach obwodów chersońskiego, zaporoskiego i mikołajewskiego.

W połowie maja CNN informowała o rosyjskim masowcu „Matros Pozynich", który miał transportować ukradzione w Ukrainie zboże do Egiptu. Władze tego kraju nie wpuściły statku do portu w Aleksandrii, więc popłynął do Bejrutu, ale i tam mu podziękowano. Ostatecznie zawinął do syryjskiego portu Latakia. Amerykanie podejrzewają, że zboże z „Matrosa Pozynicha" zostanie w nim przeładowane na inne jednostki i sprzedane.

Ukrainę jako kraj spoza Unii Europejskiej obowiązują surowsze zasady, jeśli chodzi o normy fitosanitarne i dokumentację wymaganą na granicach z Polską, Słowacją, Węgrami i Rumunią. 16 maja br. odbyły się w Warszawie czterostronne rozmowy z udziałem wicepremiera, ministra rolnictwa i rozwoju wsi Henryka Kowalczyka, ministra polityki rolnej i żywności Ukrainy Mykoły Solskiego, sekretarza rolnictwa USA Toma Vilsacka oraz komisarza UE ds. rolnictwa Janusza Wojciechowskiego. Na zakończenie ministrowie Kowalczyk i Solski podpisali wspólne oświadczenie o ułatwieniach w eksporcie ukraińskiego zboża. – Przewidziane w oświadczeniu działania znacznie przyśpieszą i zwiększą eksport zboża, co w tej chwili jest dla nas priorytetem – oświadczył minister Solski.

Strona polska zobowiązała się do rewizji (czytaj: zmniejszenia) wymagań dotyczących kontroli fitosanitarnej tranzytowych ładunków zboża z Ukrainy. Ma to zwiększyć możliwości przewozu zboża przez nasz kraj. Obiecano też skierowanie na przejścia graniczne dodatkowych inspektorów fitosanitarnych, by przyśpieszyć odprawę ładunków.

Minister Kowalczyk zapewniał, że nasze porty – Gdańsk, Gdynia, Szczecin i Świnoujście – są w pełni

W czasach pokoju przez Odessę, Mariupol i Berdiańsk eksportowano 75% ukraińskiej pszenicy do krajów Bliskiego Wschodu i Afryki.

NAJWIĘKSI ŚWIATOWI PRODUCENCI PSZENICY (w tonach)

Chiny	131 447 224
Indie	99 700 000
Rosja	72 136 149
USA	51 286 540
Francja	35 789 234
Kanada	31 769 200
Pakistan	25 076 149
Ukraina	24 652 840

Źródło: www.atlasbig.com/pl/kraje-wedlug-produkcji-pszenicy

eprasa.pl bc8ef8ba4f

przygotowane do obsługi ładunków ukraińskich i mogą stanowić alternatywę dla zablokowanych przez Rosjan portów mórz Azowskiego i Czarnego. Czasu zostało niewiele. Za dwa miesiące w Ukrainie rozpoczną się żniwa i będą potrzebne przestrzenie magazynowe, które dziś są pełne zboża z ubiegłego roku.

Między nami partnerami

Rosjanie i Ukraińcy dobrze znają przysłowie Кому война а кому мать родна, które znaczy, że dla jednych wojna to śmierć, strach, łzy i zniszczenie, a dla drugich okazja, by się wzbogacić.

To dzieje się na naszych oczach. Poza pszenicą Ukraina jest światowym liderem w produkcji ziaren słonecznika – rocznie zbierało się tam ponad 15 mln ton. Zbiory rzepaku to ponad 3 mln ton, a soi 3,5 mln ton.

Po utracie Krymu oraz części obwodów donieckiego i ługańskiego, a następnie wprowadzeniu przez Rosję embarga na import ukraińskich wyrobów przemysłu maszynowego, chemicznego itp., w bilansie handlowym kraju wzrosło znaczenie produkcji rolnej, która szybko znalazła rynki zbytu w Afryce, na Bliskim Wschodzie i w Europie. Bardzo dobre gleby i tania siła robocza sprawiły, że cena ukraińskich produktów rolnych okazała się konkurencyjna. Problem w tym, że Ukraina eksportuje głównie produkty nieprzetworzone. Na przykład przed wybuchem wojny wartość eksportu oleju rzepakowego wynosiła ok. 120 mln dol., a eksportu ziarna rzepaku – 1,3 mld dol. W przypadku oleju sojowego było podobnie – ukraińscy eksporterzy oleju uzyskiwali 241 mln dol., a eksporterzy ziaren soi – 1,2 mld dol.

Mało kto był zainteresowany inwestycjami w przetwórstwo produktów rolnych. Tak popularne w krajach Unii Europejskiej, w Stanach Zjednoczonych i w Wielkiej Brytanii dopłaty do rolnictwa są w Ukrainie śmiesznie niskie. Dziś to się mści. Bo poza rynkiem pszenicy, o której mówią wszyscy, wojna miała wpływ na rynki olejów – słonecznikowego, rzepakowego i sojowego. W Polsce tego nie odczuwamy, bo nasze rolnictwo świetnie sobie radzi, lecz na południu Europy, a nawet w Niemczech zaczęły być odczuwalne kłopoty z podażą oleju słonecznikowego.

Wszystko to sprawia, że pojawiły się osoby i firmy, które chcą zarobić na chaosie wywołanym na rynkach produktów rolnych wojną w Ukrainie. Deficyt dotyczy nie tylko pszenicy, ziaren soi, słonecznika i rzepaku, lecz także wagonów kolejowych i ciężarówek, możliwości szybkiego przekroczenia granicy, załatwienia transportu morskiego oraz, co najważniejsze, gwarancji, że umówiona kwota wpłynie na konto bankowe sprzedawcy.

Ci, którzy będą w stanie rozwiązać wszystkie te problemy, mogą liczyć na wyjątkowo wysokie zyski. Chodzi nie tylko o ukraińskich, ale również rosyjskich sprzedawców.

Rosja w ubiegłym roku wyeksportowała ponad 36 mln ton pszenicy. Dziś rosyjskie masowce nie są wpuszczane do europejskich portów. Pieniądze będące zapłatą za dostarczone zboże mogą zostać zablokowane na rachunkach bankowych, a następnie zamrożone, jak luksusowe jachty rosyjskich oligarchów. Dziś w handlu międzynarodowym nikt niczego nie może być pewny. Nim nowe szlaki dostaw i przepływy środków zostaną sprawdzone, minie trochę czasu. Którego bardzo brakuje mieszkańcom wielu afrykańskich krajów.

Nie tylko Ukraina, lecz cała Europa liczy na nasz kraj, przez który mają popłynąć miliony ton pszenicy, ziaren soi, rzepaku i słonecznika. Część zostanie nad Wisłą, co z pewnością nie uraduje naszych rolników. Ukraińska pszenica będzie przecież tańsza od polskiej. Ale może dzięki temu cena bochenka chleba w Polsce nie przekroczy zimą bariery 10 zł?

Nie tylko Ukraina, lecz cała Europa liczy na nasz kraj, przez który mają popłynąć miliony ton pszenicy, ziaren soi, rzepaku i słonecznika.

Zachód, który zapowiada pomoc i szuka pieniędzy, musi też znaleźć sposób, by wywieźć pszenicę z Ukrainy.

Włosi, Francuzi i Hiszpanie wiedzą, że jeśli ziarno na czas nie trafi do Afryki Północnej, krajów Sahelu i dalej, na południe Afryki, przyjdzie im zmierzyć się z kolejnymi falami migrantów uciekających przed wojną i głodem.

Bardzo trudno przewidzieć, czy Komisja Europejska, polski rząd, władze PKP Cargo i naszych głównych portów poradzą sobie z tymi wyzwaniami. Na pewno będą próbowali. Tak jak będą próbowały zarobić osoby i spółki mające dobre relacje po obu stronach granicy.

Marek Czarkowski
m.czarkowski@tygodnikprzeglad.pl

W najnowszym numerze tygodnika „NIE”:
Ziobro księdzu łba nie urwie.

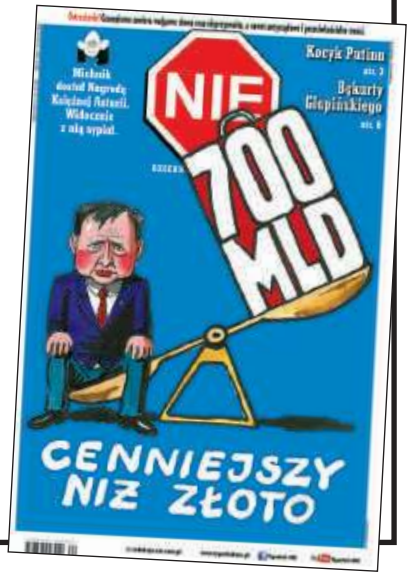

eprasa.pl bc8ef8ba4f

Refleksje pesymisty

Andrzej Romanowski

O dawności

Zmarli w odstępie tygodnia: pierwszy 3 maja, drugi 10 maja. Dwaj rówieśnicy: Białorusin i Ukrainiec. Wieloletni członkowie Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego: pierwszy – jej drugorzędny aktywista, drugi – czołowy aparatczyk. Obaj – ojcowie niepodległości swych narodów. Obaj – opowiadający się za ich opcją prozachodnią. Stanisław Szuszkiewicz i Leonid Krawczuk. Ich śmierć w dniach wojny rosyjsko-ukraińskiej ostatecznie zamyka epokę.

Przed 30 laty wektory polityki biegły w odwrotnym niż dziś kierunku. Kolejne republiki radzieckie ogłaszały niepodległość, a 8 grudnia 1991 r., w białoruskiej części Puszczy Białowieskiej, Szuszkiewicz i Krawczuk dokonali formalnego rozwiązania ZSRR. Ale nie tylko oni: uczynił to również Borys Jelcyn, prezydent Rosji. To właśnie za rządów Jelcyna „ruska" Rosja pogodziła się z utratą obu „ruskich" państw, które właśnie ze względu na ich „ruskość" uznawała od wieków za swoje. Gdy zaś w miejsce ZSRR powołano twór pod nazwą Wspólnota Niepodległych Państw, to już nie Moskwa, lecz Mińsk miał być jego stolicą, czymś w rodzaju – jak wtedy mówiono – „Brukseli Wschodu". Zgoda Rosji na to wszystko była rewolucyjna, odważniejsza nawet niż niegdysiejsza rezygnacja mocarstw Zachodu z ich odległych, afrykańskich kolonii. Rosja, „żandarm Europy", stała się natchnieniem Europy. Nie dlatego, że okazała słabość. Dlatego, że okazała humanistyczną wielkość. Zwłaszcza że jej postępowanie kontrastowało z ówczesną wojną na Bałkanach, z dramatem rozpadającej się Jugosławii...

Tak, to był krótki sen. Nowa Rosja okazała się niebezpieczniejsza niż tamta, przekształcana przez pierestrojkę Michaiła Gorbaczowa. Szuszkiewicz i Krawczuk rządzili tylko trzy lata, przegrali w 1994 r. z rzecznikami opcji prorosyjskiej: Aleksandrem Łukaszenką i Leonidem Kuczmą. I choć roli obu tych następców nie da się zamknąć w formułce prorosyjskości, a w przypadku Łukaszenki dopiero ostatnie sfałszowane wybory uczyniły z niego pełnego klienta Kremla, to przecież podmiotowość Białorusi i Ukrainy trwała – choć w różny sposób – także po Szuszkiewiczu i Krawczuku.

Przesadzę, gdy powiem, że znałem ich obu. Jednak jako dziennikarz uczestniczyłem w roku 1992 w historycznej wizycie w Warszawie pierwszego prezydenta niepodległej Ukrainy. Zakradłem się na część zamkniętą dla prasy, udało mi się usiąść w pobliżu Krawczuka… Nie pamiętam, co mówił, bo byłem wpatrzony w siedzącego u jego boku ukraińskiego poetę Dmytra Pawłyczkę. Podobnie jak Krawczuk urodził się on w Polsce międzywojennej, ale – starszy od niego – zdążył uczęszczać do polskiej szkoły. Z twarzy Pawłyczki silniej niż z nieruchomej twarzy Krawczuka wyczytywałem patos chwili dziejowej.

Znałem natomiast Szuszkiewicza. Już po jego odejściu ze stanowiska głowy państwa zrobiłem z nim dwukrotnie (w latach 1997 i 1998) wywiad dla „Tygodnika Powszechnego", w obu przypadkach wspólnie z Janem Strzałką. Szuszkiewicz miał cechy prawdziwego męża stanu, wyraźnie kontrastował z radykalnie antykomunistycznym szefem Białoruskiego Frontu Narodowego, Zianonem Paźniakiem, z którym też zdarzało mi się rozmawiać. Szuszkiewicz był świadom politycznych realiów, ale i tragizmu własnego narodu, w tym losów własnej rodziny. Jego ojciec, też Stanisław, białoruski poeta, został w 1936 r. zesłany do łagru i wrócił dopiero po 20 latach (zmarł w 1992 r., już w czasach politycznej kariery syna). A matka była Polką. Nazywała się Helena Romanowska; jej polskie powieści pisane w radzieckim Mińsku lat 30. były obrzydliwie tendencyjne. Gdy Szuszkiewicz senior został zesłany, znikła także Romanowska – w Polsce uznano, że ona również padła ofiarą represji. Tymczasem zmarła w roku 1980, władza radziecka – czyżby pomna jej zasług? – potraktowała ją względnie łagodnie. Romanowska do końca życia marzyła, by zobaczyć Warszawę i Łazienki.

Szuszkiewicz i Krawczuk rządzili tylko trzy lata, przegrali w 1994 r. z rzecznikami opcji prorosyjskiej: Łukaszenką i Kuczmą.

Tak oto z oków ideologii wykluwa się prędzej czy później prawda. Komunistyczna Partia Związku Radzieckiego, mająca na sumieniu miliony istnień ludzkich, zaprzeczyła samej sobie w okresie pierestrojki i, dopingowana przez ówczesne fronty narodowe, zrodziła ideę państw odrębnych od Rosji. Rozmawialiśmy i o tym z Szuszkiewiczem, bo po naszych wywiadach widziałem się z nim kilkakrotnie, zawsze witany jak dobry znajomy i – ze względu na nazwisko matki – nazywany żartobliwie krewniakiem. Dziś nie przestaję się zdumiewać, że przeszłość tak niedawna jest już teraz tak dawna. Wojna rosyjsko-ukraińska ostatecznie zmieniła postać naszego świata.

a.romanowski@tygodnikprzeglad.pl

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl bc8ef8ba4f

Bałtyckie jezioro NATO

Moskwa musi zaakceptować skutki akcesu Szwecji i Finlandii do Sojuszu Północnoatlantyckiego

Okręty Stałej Grupy Morskiej NATO podczas ćwiczeń na Bałtyku, 2022 r.

Marcin Ogdowski

Próba ograniczenia przez Moskwę wpływów NATO w Europie skończyła się tym, że Rosji przybędzie 1,3 tys. km granicy z Sojuszem. Ponieważ wraz z Finlandią do NATO wejdzie Szwecja, Bałtyk stanie się „natowskim jeziorem". Oczywiście, kiedy tylko pojawiły się pierwsze doniesienia o planach Helsinek i Sztokholmu, Siergiej Ławrow i jego ekipa usiłowali zastraszać oba kraje. Tyle że dziś rosyjskie groźby są bardziej żałosne niż straszne, więc ani Szwedzi, ani Finowie się nie ulękli. Ci drudzy za to przypomnieli Rosjanom, jak skończyła się ich „wycieczka" na fińskie ziemie w 1939 r. Putin mówiący po tym wszystkim, że członkostwo Szwecji i Finlandii nie stanowi dla Rosji zagrożenia, dopełnił obrazu niemocy Moskwy.

Sposób na Turka

A może Putin nie musi grozić, może wystarczy mu turecki prezydent Recep Tayyp Erdoğan? Żeby wstąpić do NATO, potrzebna jest zgoda wszystkich członków Sojuszu, Turcja ma tymczasem za złe Szwecji i Finlandii, że dały schronienie kurdyjskim partyzantom. „Nie" Ankary jest przez nią wyraźnie artykułowane, stając się pożywką dla (pro)rosyjskiej propagandy. Czy słusznie? Nie, gdyż administracja Bidena nie zamierza siedzieć z założonymi rękami, a ma w tej grze najlepsze karty. Chodzi o przyszłość tureckich sił powietrznych, licznych, ale wymagających pilnej modernizacji. Bez wsparcia USA nie będzie to możliwe, bo trzon lotnictwa – ponad 240 maszyn – stanowią samoloty F-16. Niezrozumiała do dziś decyzja Ankary o wyposażeniu armii w rosyjskie zestawy obrony powietrznej S-400 Triumf poskutkowała nie tylko embargiem na amerykańską broń, ale też wyrzuceniem Turcji z programu budowy i rozwoju F-35. Turcy planowali nabyć setkę tych myśliwców, ostatecznie zostali z niczym. Za to w regionie na zakupy ruszyły Izrael, Egipt i – co Ankarę szczególnie zaniepokoiło – Grecja, która poza planami modernizacji swoich F-16 zapowiedziała pozyskanie F-35. „Zimny" turecko-grecki konflikt ciągnie się od dawna i nie wygasiło go wspólne członkostwo w NATO. Świadom tych animozji Waszyngton przez dekady starał się równoważyć potencjały obydwu krajów. Zakłócenie tej równowagi przyprawia Ankarę o ból głowy, zwłaszcza że alternatywy dla samolotów zza oceanu nie ma. W 2019 r. Putin zaproponował Erdoğanowi kupno Su-35 i Su-57. Te ostatnie teoretycznie stanowią odpowiednik F-35. Ale tylko teoretycznie. Wojna w Ukrainie obnażyła słabości rosyjskiego uzbrojenia, nawet tego z najwyższej półki. Wiadomo, że ustępuje ono zachodnim odpowiednikom i że na skutek sankcji przepaść będzie się pogłębiać. Rosjanie na potęgę implementowali zachodnią elektronikę. Brak dostępu do sprowadzanych podzespołów właściwie zamyka możliwości eksportowe Rosji. A same „skorupy" nie będą Turkom potrzebne.

Ankara jeszcze w październiku ub.r. wysłała do Waszyngtonu zapytanie w sprawie zakupu 40 nowych F-16 i pakietów modernizacyjnych dla 80 samolotów. Zapłatę miałyby stanowić środki zainwestowane przez Turcję w program F-35. Nie podejmę się oceny, czy wystarczy, aby Waszyngton „dał" Turkom szesnastki, czy też niezbędne okaże się przywrócenie ich do programu F-35 (ta opcja stanie się prawdopodobna, jeśli armia turecka pozbędzie się S-400, np. przekaże je Ukrainie). Tak czy inaczej, Erdoğan Szwecji i Finlandii nie zatrzyma – za bardzo potrzebuje nowoczesnych samolotów.

Krótka kołdra armii Putina

Rosjanie mogliby wrócić do twardej retoryki, idąc ścieżką atomowego szantażu. Zarówno Helsinki, jak i Sztokholm biorą na poważnie takie groźby. W obu stolicach jest oczywiste, że na okres przejściowy – od oficjalnego zgłoszenia akcesu po formalne członkostwo – Szwecja i Finlandia będą potrzebowały nuklearnych gwarancji bezpieczeństwa. Waszyngton gotów jest je złożyć,

eprasa.pl bc8ef8ba4f

otwarta pozostaje kwestia, czy przyłączą się do nich Londyn i Paryż. Zapowiedź riposty unieważni ewentualne rosyjskie pohukiwania, Moskwa nie zaryzykuje wymiany atomowych ciosów z Zachodem. A czy byłaby w stanie dokonać konwencjonalnego ataku prewencyjnego? Część specjalistów od wojskowości uznaje, że w nikłym zakresie, ale jest to prawdopodobne. W mojej ocenie atak na Finlandię wymagałby zgromadzenia wojsk inwazyjnych co najmniej tak dużych jak w przypadku już trwającej wojny. Co wtedy z Ukrainą? Ponadto taka koncentracja nie uszłaby uwadze NATO. Co więcej, armia fińska od dekad sposobi się do odparcia agresji z kierunku wschodniego i jest do niej naprawdę dobrze przygotowana. Pokonanie Finów byłoby bardzo trudne i przyniosłoby ogromne straty. Już dziś ubytek 30 tys. żołnierzy, poległych i rannych dotąd w Ukrainie, stanowi dla rosyjskiego dowództwa ogromne wyzwanie. Pokazuje, jak krótką kołdrę – mimo nominalnie wysokich stanów osobowych – ma wojsko Putina.

spektakularnym ukraińskim ataku rakietowym na port w Berdiańsku.

Potrzask i jazda na gapę

Może więc Moskwa się zżymać, ale nie zostaje jej nic innego, jak pogodzić się ze skutkami poszerzenia NATO. Te jednak będą dla niej katastrofalne. Dziś rosyjsko-fińskiej granicy strzeże jedna brygada regularnego wojska, wkrótce te siły trzeba będzie kilkukrotnie zwiększyć i wyposażyć we wszystko, co w armii rosyjskiej najlepsze. W pożałowania godnej sytuacji znajdzie się flota bałtycka. Zatoka Fińska – okno na świat największego zgrupowania floty – będzie z obu stron kontrolowana przez państwa NATO. W razie konfrontacji Rosjanie nie wyjdą stamtąd na otwarte morze, bo ich okręty zostaną zniszczone przez nadbrzeżne wyrzutnie rakiet, ba, ryzyko stworzy nawet zwykła artyleria, rozlokowana na fińskim i estońskim brzegu. A gdyby któraś jednostka się przedarła, u ujścia zatoki natknie się na miny. Ten archaiczny, zdawałoby się, rodzaj broni wciąż znajduje szerokie zastosowanie w wojnie morskiej. Na Morzu Czarnym z jednej strony przyczynił się do blokady ukraińskich portów, a z drugiej uniemożliwił Rosjanom desant. Obaj przeciwnicy postawili własne miny, w efekcie Ukraina cierpi gospodarczo, bo nie wysyła drogą morską zboża, Rosja zaś dotąd nie zdobyła Odessy. Na Bałtyku miny zamknęłyby rosyjską flotę w potrzasku, a rozstawienie ich nie nastręczałoby natowskiej marynarce większych kłopotów.

Erdoğan Szwecji i Finlandii nie zatrzyma – za bardzo potrzebuje nowoczesnych samolotów.

To samo przeszkadza w realizacji innego pomysłu ataku prewencyjnego – zajęcia Gotlandii. Należąca do Szwecji wyspa ma niebagatelne znaczenie strategiczne. Zdobyta stałaby się rosyjskim lotniskowcem na samym środku Bałtyku i jeśliby go wyposażyć w odpowiednie systemy ofensywne i defensywne, ciążyłby Sojuszowi niczym kula u nogi. Jednak realnie atak wojsk powietrznodesantowych Federacji jest w tej chwili właściwie niemożliwy. Zostały one boleśnie wykrwawione w Ukrainie, proces odbudowy ich zdolności bojowych zajmie dwa-trzy lata. Desant morski jest jeszcze mniej prawdopodobny, bo gros okrętów desantowych Rosjanie wysłali na Morze Czarne. „Bosforski korek", przez który wiedzie droga powrotna na Bałtyk, dzierży Turcja, a i desantowców w międzyczasie ubyło, po

Oczywiście Rosja ma jeszcze porty w obwodzie kaliningradzkim – a z nich wyjście na otwarty akwen. Tyle że i na północy, i na południu znajdują się kraje NATO. Silna obrona antyrakietowa i przeciwlotnicza częściowo zniwelowałaby problem. Specjaliści mówią w takim kontekście o „bąblu antydostępowym", parasolu chroniącym okręty i naziemną infrastrukturę. Systemy przeciwlotnicze to perła w koronie armii i zbrojeniówki FR, ale także w tym przypadku wojna w Ukrainie obnażyła ich rzeczywiste możliwości – ukraińskie lotnictwo wciąż ma się nieźle i dziesiątkuje rosyjskie oddziały, którym na froncie towarzyszy cała gama przeciwlotniczych środków odstraszania. Gdy Bałtyk stanie się „natowskim jeziorem", możliwości operacyjne zachodnich lotnictw tylko się zwiększą.

Co to wszystko oznacza dla Polski, która przez dekady zaniedbywała kwestię bezpieczeństwa morskiego, aż doszliśmy do punktu, w którym flota podwodna składa się z jednego remontowanego okrętu, a możliwości bojowe jednostek nawodnych są raczej symboliczne? Bałtyk stał się ostatnio niezwykle ważnym elementem naszego energetycznego być albo nie być. Na skutek wojennych sankcji kopaliny w jeszcze większym stopniu docierają do nas morzem, a nie lądem zza wschodniej granicy. Patrząc z tej perspektywy, wzmocnienie natowskich sił morskich przez nowoczesną szwedzką flotę wpływa pozytywnie na bezpieczeństwo Polski. I daje nam czas na realizację planu rozbudowy marynarki wojennej. Jednak skala wyzwań związanych z modernizacją całych sił zbrojnych jest ogromna. Przykład Ukrainy nie pozostawia złudzeń, że powinniśmy rozbudować nasze możliwości w zakresie obrony przeciwlotniczej i wzmocnić najcięższe komponenty wojsk lądowych. A to kosztuje. Ktoś więc może machnąć ręką na nowe okręty – „bo są ważniejsze wydatki, a na Bałtyku i tak inni chronią nam tyłki". W historii NATO był już taki precedens. Niemcy pod rządami Angeli Merkel, mimo posiadania jednej z największych gospodarek świata, przeznaczały na armię relatywnie niskie kwoty. „Jechały na gapę", korzystając z amerykańskiego parasola ochronnego. Dziś, wybudzone przez Putina z letargu, potrzebują nagle 100 mld euro na modernizację sił zbrojnych.

Marcin Ogdowski
m.ogdowski@tygodnikprzeglad.pl

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl bc8ef8ba4f

Taniej ropy nie będzie

Na Bliskim Wschodzie wojna w Ukrainie jest traktowana jako element amerykańsko-chińskiej rozgrywki

Rozmawia Robert Walenciak

KRZYSZTOF PŁOMIŃSKI
– dyplomata, specjalista od krajów arabskich. W MSZ przepracował kilkadziesiąt lat (1971--2006), był m.in. ambasadorem Rzeczypospolitej Polskiej w Iraku (1990-1996) i Arabii Saudyjskiej (1999-2003), a w latach 2004-2006 dyrektorem Departamentu Afryki i Bliskiego Wschodu. W 2019 r. opublikował wspomnienia „Arabia incognita. Raport polskiego ambasadora".

Arabia Saudyjska i Zjednoczone Emiraty Arabskie odrzuciły namowy USA, by zwiększyć wydobycie ropy i tym samym obniżyć jej cenę na światowych rynkach. Dlaczego odmówiły Ameryce?

– ZEA złożyły deklarację, że zwiększą produkcję ropy. A jeśli chodzi o Arabię Saudyjską… Kraj ten ma tradycję podejmowania decyzji o strategicznym znaczeniu po dłuższym zastanowieniu. Zwłaszcza że gdy Saudowie odchodzili od przemyślanego podejmowania decyzji, kończyło się to problemami. Przykładem jest wojna w Jemenie, która nie wiadomo jak długo jeszcze potrwa.

W 1985 r. Arabia Saudyjska przyjęła propozycję Ronalda Reagana, by zwiększyć wydobycie ropy.

– Wtedy Saudyjczycy też się zastanawiali. Ale w końcu zdecydowali się na jednostronne odejście od kwot produkcyjnych OPEC, co spowodowało gwałtowne, trwające kilka lat załamanie cen ropy naftowej, dewastujące finanse Związku Radzieckiego (a przy okazji Iraku) i przyczyniające się istotnie do demontażu całego imperium. Wprawdzie w Polsce o tym nie pamiętamy, ale na Kremlu na pewno nie zostało to zapomniane.

Kalkulacja Rijadu

Dlaczego więc teraz Arabia Saudyjska jest powściągliwa?

– Powodów jest wiele. Niektóre są bardziej jasne, inne głębiej schowane. W Rijadzie muszą zadawać sobie wiele strategicznych pytań: jak długo ta wojna będzie trwała? Jaki będzie jej przebieg? Jakie przyniesie długofalowe skutki? Czy odcięcie Rosji od rynku europejskiego, programowo przechodzącego na czyste źródła energii, nie spowoduje przekierowania dostaw rosyjskich do Chin, wywołując wojnę cenową z dostawcami arabskimi i dając Pekinowi pozycję rozgrywającego na globalnym rynku ropy? Nie bez znaczenia pozostają też saudyjskie interesy w sąsiedztwie. Wszak Rosjanie wraz z wojną w Ukrainie nie utracili wpływów i pozycji na Bliskim Wschodzie. Także inne czynniki muszą być przez Saudyjczyków brane pod uwagę.

Czyli?

– Najistotniejsze jest to, że na Bliskim Wschodzie, również w Rijadzie, wojna w Ukrainie traktowana jest przede wszystkim jako element rozgrywki globalnej. Takiej, która rozpoczęła się i toczy z błogosławieństwem NATO i Stanów Zjednoczonych, bez konsultacji i uwzględniania interesów sojuszników na Bliskim Wschodzie. Ta wojna jest tam postrzegana jako element amerykańsko-chińskiej rozgrywki, w której mniejsze państwa, nawet tak liczące się jak Arabia Saudyjska, są traktowane przedmiotowo. I łatwo mogą się stać potencjalnymi ofiarami.

A pozostałe czynniki?

– Na pewno Rijad bierze pod uwagę dotychczasowe stosunki ze Stanami Zjednoczonymi, przede wszystkim z administracją Bidena. A znajdują się one w czymś w rodzaju strefy cienia. Saudyjczycy od dawna są poirytowani za pouczanie w kwestiach praw człowieka, polityki wewnętrznej czy wojny w Jemenie. Jednocześnie mają podejrzenia co do amerykańskich intencji w sprawie Iranu. Od zniesienia sankcji, przez odejście USA od wypierania wpływów irańskich w regionie, po program atomowy. Saudyjczycy są tym zaniepokojeni. A Stany Zjednoczone na słowa zaniepokojenia nie reagowały. Trudno więc się dziwić, że gdy strona amerykańska ma jakieś postulaty, Rijad odpowiada na to z rezerwą. Czasami nawet posuniętą do pewnej arogancji – jeżeli bowiem rzeczywiście następca tronu odmawia odebrania połączenia od prezydenta USA, jest to otwarta demonstracja niezadowolenia. I zapewne również chęć zmuszenia partnera do poważnego potraktowania, zwrócenia uwagi na saudyjskie interesy.

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

eprasa.pl bc8ef8ba4f

To był bardzo twardy gest.

– Myślę, że w głowach polityków rządzących Arabią Saudyjską coraz częściej pojawia się pytanie: jeżeli wobec nas są ze strony Zachodu, Stanów Zjednoczonych różnego rodzaju naciski polityczne, żądania takich, a nie innych posunięć, to czy w którymś momencie i na nas nie zostaną nałożone sankcje? Takie myślenie może się wydawać irracjonalne, ale jeżeli załamuje się zaufanie do partnera, do sojusznika, wątpliwości mogą mieć miejsce. Poza tym wszystko układa się w szerszym wymiarze – regionalnym.

Region układa się sam

Jak ten wymiar wygląda?

– Amerykanie przestali traktować priorytetowo Bliski Wschód, ich priorytetem są Chiny, a obecnie, przynajmniej częściowo i w ścisłym związku, także Ukraina. To zmusza kraje regionu do zajęcia się bardziej sobą. Widzimy to w stosunkach saudyjsko-izraelskich, w których następuje zbliżenie. Oto informacja z ostatnich dni – Saudyjczycy zdecydowali się zainwestować w izraelskie start-upy poprzez fundusz inwestycyjny Jareda Kushnera. To wydarzenie bez precedensu, zwłaszcza że zostało upublicznione, nagłośnione.

Jared Kushner to zięć Donalda Trumpa.

– Bliski Wschód szykuje się na nowe rozdanie, którego najważniejszą częścią będzie rosnąca rola Chin i zacieśnianie stosunków między Pekinem a Rijadem, bez specjalnego oglądania się na Stany Zjednoczone. Przykładem rosnącej asertywności Arabii Saudyjskiej wobec USA są coraz poważniejsze przymiarki, by część saudyjskich dostaw ropy do Chin była rozliczana w juanach, a nie w dolarach. W optyce bliskowschodniej Stany Zjednoczone przestają być tym najważniejszym, rozdającym karty na świecie. I przynajmniej w wielu przypadkach ustąpiły miejsca Chinom.

A Rosja? Czy Arabia Saudyjska liczy się z Rosją?

– Te stosunki, tak bym ocenił, znajdują się w okresie przejściowym. Rosja poprzez udział w OPEC Plus była elementem globalnego układu naftowego, który funkcjonował i zapewniał zarówno stabilność podaży, jak i w miarę racjonalne ceny, z punktu widzenia interesów gospodarki światowej.

Rosja to drugi światowy producent ropy naftowej.

– Trzy państwa są na bardzo zbliżonym poziomie, jeśli chodzi o produkcję ropy naftowej – Rosja, Stany Zjednoczone i Arabia Saudyjska. Wszystkie produkują między 10 a 11 mln baryłek dziennie. Potem jest grupa z produkcją 4-5 mln baryłek dziennie – to Kanada, Irak, który w ostatnim okresie poważnie zwiększył produkcję, Chiny i Zjednoczone Emiraty Arabskie. I w zasadzie na tym zamyka się stawka potentatów. Wypadły z grona wielkich producentów Wenezuela i po części Iran.

Bliski Wschód szykuje się na nowe rozdanie. Jego najważniejszą częścią będzie rosnąca rola Chin i zacieśnianie stosunków między Pekinem a Rijadem, bez specjalnego oglądania się na USA.

Jeżeli więc z tego i tak już kulejącego rynku wypadnie Rosja, przynajmniej częściowo…

– …to światowy system handlu ropą w dużym stopniu zostanie zburzony. Nie ma prostych sposobów zapewnienia ropy Europie poprzez przekierowanie jej z innych obszarów. Eksporterzy mają ograniczenia, nie mogą też z dnia na dzień zwiększyć produkcji. W tej sytuacji jest także Arabia Saudyjska.

Czy może być więcej ropy?

O jakie ograniczenia chodzi?

– Saudi Aramco, które w ubiegłym roku miało zysk netto ponad 100 mld dol., opracowało program inwestycji koniecznych do zwiększenia produkcji. Obejmuje on cztery

Jak zapisze się w polskiej pamięci Wojciech Jaruzelski, którego ósma rocznica śmierci (25 maja 2014 r.) właśnie mija? Jako autor stanu wojennego? Jako architekt Okrągłego Stołu i przejścia do demokracji?

Inwazja Rosji na Ukrainę zmienia perspektywę, gdy patrzymy na tamte wydarzenia. Bo jak na dłoni widzimy, do czego zdolna jest Rosja. A on, żołnierz II wojny światowej, to wiedział.

„Gambit Jaruzelskiego" to oparta na dokumentach, faktach, wspomnieniach rekonstrukcja wydarzeń z roku 1981. Rekonstrukcja gry Jaruzelskiego – z Solidarnością, z Moskwą, z „partią Moskwy", z Zachodem.

~~49 zł~~ 39 zł

Zamów książkę na **sklep.tygodnikprzeglad.pl** lub wpłać na konto:
72 1090 2851 0000 0001 2023 9821
Fundacja Oratio Recta, 03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7. Darmowa wysyłka listem nierejestrowanym Pocztą Polską.

eprasa.pl bc8ef8ba4f

kolejne lata, w których wydawanych będzie mniej więcej 45-50 mld dol. rocznie na infrastrukturę, na zwiększenie produkcji, zagospodarowanie nowych złóż. Kwestia inwestycji jest zasadniczym problemem wszystkich najważniejszych producentów ropy naftowej. To dlatego m.in. Angola, Nigeria, również inne kraje, nie mają możliwości szybkiego zwiększenia produkcji i nie wykorzystują w pełni pułapów przyjętych przez OPEC. W tej chwili trzy kraje OPEC znajdują się poza systemem ustalonych kwot – Irak, Wenezuela i Libia. Poza Irakiem, który w ostatnim okresie wydatnie zwiększył produkcję, wynosi ona ok.4,5 mln baryłek dziennie, ani Libia, ani Wenezuela nie mają możliwości wykorzystania swojego potencjału. Libia wykorzystuje go w połowie.

Może więc tu są rezerwy?

– Saudyjski minister energii książę Abdulaziz bin Salman mówił niedawno, że ceny ropy naftowej są napędzane przede wszystkim przez ogromny wzrost kosztów rafinacji – wzrosły one o 60% więcej niż ceny ropy. Mówił też, że w niedalekiej przyszłości powstanie głęboki deficyt na globalnym rynku ropy, związany z ograniczonymi możliwościami rafinerii, które także borykają się z zaniedbaniami inwestycyjnymi.

A Iran? Wydawało się, że lada dzień zostanie uruchomiony eksport irańskiej ropy, zniesione zostaną sankcje. Jednak stoi to w miejscu.

– Z jednej strony, stoi w miejscu, z drugiej – Iran od dawna obchodził sankcje. A w ostatnim czasie, kiedy porozumienie w Wiedniu wydawało się przesądzone – dziś blokuje je Rosja – mniej czy bardziej legalny eksport irańskiej ropy naftowej z miesiąca na miesiąc się zwiększał. Według niektórych ocen jest to prawie 2 mln baryłek dziennie. Poza tym w zasadzie bez przerwy mieliśmy eksport irańskiej ropy do Turcji. Lecz również w przypadku Iranu prostych możliwości skokowego zwiększenia produkcji nie ma. Teheran potrzebuje ogromnych inwestycji, a te nie były realizowane ze względu na sankcje i brak środków.

Innymi słowy, jeśli chodzi o ropę, o jej podaż na rynkach, świat balansuje na cienkiej linie.

– Jestem przekonany, że jeśliby doszło do zaostrzenia sytuacji, a w szczególności włączenia się NATO do tej wojny, Saudyjczycy przestaną się zastanawiać i zrobią wszystko, żeby stabilność i bezpieczeństwo rynku paliwowego w skali europejskiej i globalnej nie zostały naruszone. To można uznać za pewnik – że w takiej sytuacji zwiększą produkcję, żeby stabilizować ceny ropy. Pytanie, czy to wystarczy, należy pozostawić bez odpowiedzi.

Ceny ropy naftowej są napędzane przede wszystkim przez ogromny wzrost kosztów rafinacji – wzrosły one o 60% więcej niż ceny ropy.

Chiny depczą po odciskach

A na razie Rijad się przygląda.

– Saudyjczycy, podobnie jak inne kraje regionu, nie wiedzą, na ile pozycja Rosji w związku z wojną w Ukrainie ograniczy jej możliwości na Bliskim Wschodzie. Moskwa zachowuje wpływy w Iranie. Jest również Syria, gdzie obecność rosyjska ma charakter moderujący, jeżeli chodzi o interesy Izraela i powstrzymywanie wpływów irańskich w Damaszku. Dochodzi Libia. Oraz relacje Rosji z różnego rodzaju ugrupowaniami, które mogą działać destabilizująco. A wiele państw Bliskiego Wschodu będzie zagrożonych skutkami wojny w Ukrainie, przede wszystkim w zakresie bezpieczeństwa żywnościowego. To będzie się przenosiło na bezpieczeństwo regionalne.

Arabia Saudyjska związana jest przecież gospodarczo z Zachodem, to jej główny odbiorca.

– Nie do końca! Głównym odbiorcą saudyjskiej ropy naftowej są Chiny i inne kraje azjatyckie. Już od paru lat. Stany Zjednoczone wyszły z zależności od saudyjskiej ropy, w tej chwili w puli ropy sprowadzanej przez USA ta saudyjska stanowi ledwie 6-7%.

A Europa?

– Do Europy kierowane jest ok. 10% saudyjskiego eksportu.

Też niewiele.

– I to tłumaczy, dlaczego Europa nie była zainteresowana pogłębioną współpracą z Arabią Saudyjską, w przeciwieństwie do Chin, które nigdy nie pytały, jak tam wyglądają prawa człowieka, tylko wykładały projekty i pieniądze na stół. Jeśli spojrzeć na stosunki saudyjsko-chińskie, to obejmują one nie tylko dostawy ropy, ale i ogromne inwestycje. Wzajemne. Chińczycy np. zbudowali w Arabii Saudyjskiej dużą rafinerię, a Saudyjczycy podobną rafinerię sfinansowali w Chinach. Jest głęboka współpraca w różnych dziedzinach gospodarki, m.in. Saudyjczycy rozwijają wysokie technologie, sztuczną inteligencję, źródła odnawialne. Prawie ze wszystkimi krajami Bliskiego Wschodu Chińczycy mają podpisane porozumienia w ramach inicjatywy Pasa i Drogi. Coraz bardziej nadeptują na odciski Amerykanom, przynajmniej poza obszarem bezpieczeństwa. Rozbudowane są relacje chińsko-izraelskie. Kilkakrotnie już Amerykanie interweniowali, jeśli chodzi o współpracę we wrażliwych dziedzinach. Pekin wchodzi do regionu również jako dostawca broni. Zjednoczone Emiraty niedawno podpisały list intencyjny dotyczący dostawy 28 treningowo-bojowych chińskich myśliwców. Stosunki Chin z państwami regionu rozwijają się niezwykle dynamicznie. I ma to konsekwencje.

Robert Walenciak
r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl bc8ef8ba4f

Lewomyślniej

Roman Kurkiewicz

Kołacze bez pracy

Pod egidą i wedle pomysłu grupy badaczy i socjologów z Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu zostanie uruchomiony pierwszy w Polsce eksperymentalny program pilotażowy bezwarunkowego dochodu podstawowego. W wioskach w północno-zachodnich gminach Warmii i Mazur przez dwa lata grupy mieszkańców (min. 5 tys., maks. 31 tys. osób) będą otrzymywać 1,3 tys. zł bez żadnych wymagań. Czyli bezwarunkowo. W tym czasie naukowcy będą badać wpływ takiego wsparcia m.in. na aktywność ekonomiczną, społeczną, edukacyjną, kwestie dobrobytu (struktura konsumpcji, dochody, oszczędności, sytuacja mieszkaniowa, nierówności majątkowe), dobrostan mieszkańców (poczucie zadowolenia z życia, sprawstwa, niepewności itp.), zmiany w relacjach międzyludzkich mierzonych poziomem zaufania społecznego oraz bezpieczeństwo (zagrożenie przestępczością).

Wytypowane do eksperymentu wioski, leżące w pobliżu granicy z Rosją, należą do „obszaru, który bardzo źle wypada pod względem dochodów, ubóstwa, aktywności gospodarczej i bezrobocia. Interwencja, jaką byłby program pilotażowy bdp, mogłaby przynieść istotny efekt. Jest to region wyludniający się, popegeerowski, mocno dotknięty przez skutki transformacji ustrojowej, ale także zamknięcia małego ruchu granicznego w 2018 r.", uzasadniał wybór dr Maciej Szlinder, jeden z pomysłodawców eksperymentu, autor wydanej przed kilkoma laty przez Wydawnictwo Naukowe PWN książki „Bezwarunkowy dochód podstawowy. Rewolucyjna reforma społeczeństwa XXI wieku". Publikacja zajęła drugie miejsce w konkursie Economicus 2019 w kategorii najlepsza polska książka szerząca wiedzę ekonomiczną.

Wcześniej podobne eksperymenty przeprowadzono m.in. w Indiach. W Niemczech taki projekt rozpoczął się w 2021 r. i potrwa trzy lata (122 osoby otrzymują 1,2 tys. euro miesięcznie), wkrótce ruszy też w Katalonii. Analiza skutków eksperymentu z bezwarunkowym dochodem w Indiach (w latach 2011-2012 objęto dofinansowaniem ponad 5 tys. osób) pokazała wiele pozytywnych zmian, np. „poprawę higieny i odżywiania oraz poziomu zdrowia – wzrosło spożycie warzyw i owoców, mięsa, a jedyne, co spadło, to spożycie alkoholu". Szlinder komentował wyniki następująco: „Jest to o tyle istotne, że odpowiada na jedno z powszechnych w społeczeństwach uprzedzeń, że jeśli przekażemy bezpośrednio pieniądze do ręki, to ludzie je zmarnują, przepiją. Inne społeczne eksperymenty również potwierdzają, że to uprzedzenie nie jest potwierdzane przez fakty".

Jak pisała Ewa Konarzewska-Michalak na portalu uniwersyteckie.pl, „mieszkańcy poświęcali więcej czasu na pracę zarobkową, co skutkowało ożywieniem przedsiębiorczości – kupili więcej zwierząt gospodarskich, sprzętów rolnych. W jednej z miejscowości zawiązała się kooperatywa rybaków, którzy zakupili i zarybili staw, a potem odławiali w nim ryby. Powstała też kooperatywa szwaczek, która kupiła maszynę do szycia i zaczęła szyć odzież".

Sam fakt przeprowadzenia takiego eksperymentu w Polsce pokazuje, że pojawiają się nowe, niewyobrażalne do niedawna metody myślenia o gospodarce, jej kosztach społecznych; zaistniał nowy język czy filozofia podejścia do sfetyszyzowanej problematyki pracy. Konieczność pracy przez całe życie była do niedawna nienaruszalnym dogmatem (wciąż jest nim dla większości). Sami autorzy projektu są jednak przekonani, że w obliczu wielości kryzysów przetaczających się przez współczesny świat należy na nowo przemyśleć nasz bałwochwalczy, bezalternatywny stosunek do pracy i przygotować się na zmianę. Antropolog David Graeber w słynnej książce „Bullshit jobs", wydanej w Polsce pod tytułem „Praca bez sensu" (zaproponowałbym raczej „Traktat o gównorobocie"), wykazuje, że olbrzymia część pracujących Europejczyków ma poczucie, że ich praca „nie daje światu niczego sensownego, nie ma żadnego znaczenia i że za istnieniem ich zajęć nie przemawia nic".

Praca nie jest do życia konieczna.

Pracy będzie coraz mniej, są to konsekwencje rewolucji cyfrowo-technologicznej. Najwyższy czas z tym faktem się pogodzić i zabrać do przygotowania naszego życia „bez pracy" albo z krótszą pracą (trzy-, czterodniowy tydzień pracy). Programy pilotażowe bezwarunkowego dochodu powszechnego są jednym z takich działań. Zapewne nadchodzącym wyzwaniom związanym z niedoborem pracy nie da się zaradzić jednym pomysłem, należy więc wymyślić, opisać i wypróbować inne rozwiązania. Najpierw jednak czeka nas konieczność radykalnej zmiany myślenia, nawyków, oczywistości. Nadchodzi czas, kiedy dawne przysłowia (groźby?) staną się puste. „Kto nie pracuje, ten nie je"? Ale jeśli obejmie go dochód bezwarunkowy, to z głodu nie umrze.

Jesteście gotowi/e wyobrazić sobie świat, w którym nie musicie pracować, żeby przeżyć? Wyobraźmy to sobie, zanim inni nas w tym wyręczą i zagonią do wykonywania kolejnych *bullshit jobs*. Praca nie jest do życia konieczna.

r.kurkiewicz@tygodnikprzeglad.pl

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl bc8ef8ba4f

Zawód wysokiego ryzyka

Szirin Abu Akla, dziennikarka Al-Dżaziry, zginęła, relacjonując operację izraelskiego wojska

Jakub Katulski

W palestyńskich domach zabraknie liczącego się głosu, który dla wielu był najważniejszym źródłem wiedzy o konflikcie izraelsko-palestyńskim. Szirin Abu Akla, doświadczona dziennikarka katarskiej Al-Dżaziry, od lat komentowała dla swoich odbiorców rzeczywistość, przekazując relacje z obszarów objętych walkami czy zamieszkami ulicznymi i tłumacząc zawiłości izraelskiej polityki. Jej praca została przerwana 11 maja we wczesnych godzinach porannych; gdy Abu Akla przygotowywała materiał z operacji izraelskiego wojska w Dżaninie na Zachodnim Brzegu, została postrzelona w głowę. Po przewiezieniu jej do szpitala lekarze stwierdzili zgon.

Palestyńczycy i wiele arabskich mediów szybko wskazali winnego. Według nich to oczywiste, że dziennikarka została zabita przez izraelskiego żołnierza. Niektóre przekazy w mediach społecznościowych mówią nawet o snajperze, który wziął ją na cel, mimo że miała granatową kamizelkę kuloodporną z napisem „PRESS" na plecach i piersi. Tym samym było to „zabójstwo z zimną krwią", a nie przypadkowa śmierć, na jaką narażeni są korespondenci w strefach konfliktu.

Izraelczycy początkowo podawali, że Abu Akla została trafiona zbłąkaną kulą „palestyńskiego terrorysty" podczas wymiany ognia między bojownikami a izraelskimi żołnierzami, którzy mieli w Dżaninie aresztować komórkę terrorystyczną powiązaną z niedawnymi zamachami w Izraelu. Po kilku godzinach minister obrony Beni Ganc na konferencji prasowej oznajmił, że mogli ją zabić Palestyńczycy, ale mogli to zrobić także Izraelczycy.

Ganc zapowiedział przeprowadzenie śledztwa. Izraelczycy poinformowali też, że do udziału w nim zaprosili Autonomię Palestyńską, lecz Palestyńczycy odmówili. Ramallah nie chce uczestniczyć w dochodzeniu prowadzonym przez osoby, które z palestyńskiej perspektywy są „przestępcami" i mogły dokonać zabójstwa. Prezydent Mahmud Abbas zapowiedział, że przekaże sprawę do Międzynarodowego Trybunału Karnego w Hadze. Problem w tym, że Tel Awiw nie uznaje jurysdykcji tego ciała, więc prace haskich śledczych mogą być znacząco utrudnione, niezależnie od materiału dowodowego, który przekażą Palestyńczycy.

A w tym materiale mogą być zeznania naocznych świadków, takich jak ci, do których jeszcze w dniu śmierci Abu Akli dotarły zagraniczne media, np. „Washington Post". Według ustaleń dziennikarzy na obszarze, gdzie pracowała Szirin z producentem Alim as-Samudim (trafiony w plecy), bezpośrednio przed jej śmiercią nie było żadnej strzelaniny. Miało do niej dojść wcześniej, kilkaset metrów dalej. Niektórzy świadkowie twierdzą również, że żołnierze otworzyli ogień do dziennikarzy bez ostrzeżenia, z premedytacją.

Szirin Abu Akla stanie się dla Palestyńczyków symbolem ich niedoli.

Niektóre izraelskie media i organizacje lobbujące na rzecz Izraela, takie jak założona w Stanach Zjednoczonych StandWithUs, przekazywały w mediach społecznościowych nagranie, na którym mężczyzna strzela w dół bliżej nieokreślonej alejki. Ich zdaniem prezentuje ono potencjalnego zabójcę Abu Akli. Jednak według

eprasa.pl bc8ef8ba4f

B'Tselem, izraelskiej organizacji działającej na rzecz praw człowieka, nagranie wykonane zostało ok. 270 m od miejsca śmierci korespondentki.

Ta odległość może się okazać kluczowa, zwłaszcza w świetle wyników autopsji, którą przeprowadził patolog z Narodowego Uniwersytetu An-Nadżah w Nablusie. Wynika z niej, że Szirin Abu Akla została trafiona w głowę pociskiem kalibru 5,56 mm, który doprowadził do złamania kości czaszki i w konsekwencji do śmiertelnego uszkodzenia mózgu. Sam kaliber nie zawęża grona sprawców, gdyż jest to standardowa amunicja NATO, wykorzystywana szeroko w karabinach M16, M4 czy CAR-15. Wszystkie są na wyposażeniu Sił Obrony Izraela, ale znajdowane są też podczas nalotów na kryjówki Palestyńczyków z Hamasu, Palestyńskiego Islamskiego Dżihadu czy innych organizacji ekstremistycznych.

Natomiast śledztwo Bellingcat, holenderskiej grupy zajmującej się białym wywiadem, przeprowadzone na podstawie analizy nagrań audiowizualnych wydarzeń z 11 maja, wykazało, że strzelec powinien się znajdować w odległości 177-184 m od Abu Akli i As-Samudiego, o wiele bliżej niż mężczyzna na wspomnianym nagraniu. Robert C. Maher, profesor z Uniwersytetu Stanowego Montany, po analizie nagrań zaznaczył jednak, że dystans został oceniony na podstawie przybliżonej prędkości pocisku. Rzeczywista prędkość może się różnić, ze względu na temperaturę powietrza, a wraz z prędkością zmienia się dystans przebyty przez pocisk.

Choć Bellingcat nie wydaje wyroku, to sugeruje, że jego ustalenia wraz z dostępnym materiałem wspierają teorię, że to izraelscy żołnierze byli sprawcami śmierci Abu Akli. Wyniki takiego dochodzenia mogą znacząco się różnić od tego, co wykryją śledczy działający na miejscu. Ale Szirin Abu Akla i tak stanie się dla Palestyńczyków symbolem ich niedoli. Jeśli nie przez sam fakt śmierci, to przez zachowanie izraelskich służb.

Kilka godzin po zdarzeniach w Dżaninie policja dokonała nalotu na dom Abu Akli we Wschodniej Jerozolimie. Tam rodzina i przyjaciele próbowali zablokować przesłuchanie, bezskutecznie. Według doniesień świadków funkcjonariusze skonfiskowali palestyńskie flagi i próbowali powstrzymać śpiewanie pieśni patriotycznych. Przed budynkiem miało dojść do starć demonstrujących Palestyńczyków z policjantami, wskutek czego aresztowanych zostało kilka osób.

Dwa dni później, w czasie uroczystości pogrzebowych, które w piątek 13 maja zgromadziły ponad 10 tys. Palestyńczyków, sytuacja się zaogniła. Według dziennika „Ha-Arec" zastępca dowódcy Policji Dystryktu Jerozolimy Danny Levy dostał od przełożonego, Dorona Turgemana, rozkaz konfiskowania wszelkich palestyńskich flag podczas uroczystości. Sam Turgeman przebywał wtedy na delegacji w Niemczech, nie miał więc bezpośredniego wglądu w przebieg wydarzeń. Można policjantom przekazać polecenie konfiskowania pojedynczych flag, ale podczas tak delikatnych uroczystości, gdy wymachiwano ich setkami, jeśli nie tysiącami, zdaje się to niemal samobójczą misją dla funkcjonariuszy.

Uroczystości pogrzebowe dziennikarki zgromadziły ponad 10 tys. Palestyńczyków.

Żałobnicy obrzucili policjantów kamieniami, co szybko przerodziło się w regularną bitwę ze służbami. Świat obiegło nagranie, na którym widać policjantów bijących pałkami tłum, w tym mężczyzn niosących trumnę. W pewnym momencie widać, jak ci niemal ją upuszczają, wciąż pod razami policji, która w tłum rzuca także granaty hukowe.

Izraelska policja oświadczyła, że toczyła walki z grupą ok. 300 prowokatorów, którzy mieli przejąć trumnę, zaatakowali funkcjonariuszy i planowali pomaszerować prawie 3 km na Stare Miasto, wbrew woli rodziny. Portal Times of Israel rozmawiał jednak później z Antonem Abu Aklą, bratem zabitej dziennikarki. Według jego słów policja mija się z prawdą, jej oświadczenie jest „nielogiczne", bo jego zdaniem „wszyscy, którzy tam byli, opłakiwali Szirin". Powiedział też, że jeszcze przed pogrzebem został wezwany na komisariat, gdzie zapytano go o planowaną trasę procesji i przestrzeżono, by nie pojawiły się na uroczystości palestyńskie flagi ani patriotyczne nawoływania. Abu Akla już wówczas miał powiedzieć policjantom, że nie jest w stanie kontrolować tego pogrzebu. Zaprzeczył równocześnie, by trumna została wyrwana i miała być poniesiona na Stare Miasto. Jego zdaniem mężczyźni chcieli przenieść ją jedynie do karawanu, który miał zawieźć zwłoki dziennikarki na cmentarz.

Tłumaczenie brata podważa Sven Kühn von Burgsdorff, ambasador Unii Europejskiej w Palestynie, który próbował mediować między żałobnikami a policją. Jego zdaniem Palestyńczycy naciskali na to, by nieść trumnę na Stare Miasto, i uniemożliwiali podjazd karawanu pod szpital św. Józefa, skąd miał ruszyć kondukt.

Gdy zamieszki ucichły, trumna została przewieziona do kościoła na Starym Mieście, a policja wzmocniła kontrole drogowe, by uniknąć dalszych incydentów. Anton Abu Akla wyznał dziennikarzom, że przez utrudnienia spóźnił się na ceremonię w świątyni.

Omer Bar-Lew, izraelski minister bezpieczeństwa publicznego, zapowiedział, że w sprawie zachowania policjantów wobec żałobników zostanie przeprowadzone śledztwo, którym pokieruje gen. bryg. Anna Ben Mordechaj. Wyniki mają być przekazane komisarzowi policji Kobiemu Szabtajowi w ciągu najbliższych dni. Trudno jednak oczekiwać, by zadowoliły one Palestyńczyków, dla których cała ta sprawa stanie się symbolem dziejowej niesprawiedliwości. Brak głosu Szirin Abu Akli, która od prawie trzech dekad relacjonowała wielkie i mniejsze wydarzenia, będzie im o tym długo przypominał.

Jakub Katulski

FOT. AL-DŻAZIRA

eprasa.pl bc8ef8ba4f

Jerzy Trela 1942-2022

Kieruj się nosem

Odszedł artysta gigantycznego talentu

Tomasz Miłkowski

Odszedł Jerzy Trela. Jeden z tych, o których się mówi, że stali się miarą. „Artysta gigantycznego talentu", jak pisano o nim na oficjalnej stronie Starego Teatru, z którym związany był nieomal przez całe zawodowe życie.

W jego przypadku była to miara szczególna – skromny do przesady, wyzbyty jakichkolwiek śladów kabotyństwa czy narcyzmu, tak przecież charakterystycznych dla tego zawodu, prawie od początku swojej drogi aktorskiej budził niekłamany podziw. Piszę „prawie", bo uchodzące dzisiaj za legendę „Dziady" Konrada Swinarskiego ze Starego Teatru (1973) nie od razu cieszyły się dobrą opinią. O młodym wówczas aktorze Jerzym Treli, obsadzonym w roli Konrada, pisano powściągliwie, bez przesadnego entuzjazmu. Tadeusz Kudliński w swojej refleksji nad widowiskiem Swinarskiego zaledwie napomknął o Treli: „Gustawa-Konrada gra na sposób egzystencjalny młody, a wybijający się aktor J. Trela". August Grodzicki poświęcił mu nieco więcej miejsca, ale nie bez zastrzeżeń: „Jerzy Trela jest aktorem młodym, bardzo utalentowanym. Gra Gustawa-Konrada z siłą i młodzieńczą zapalczywością. Stwarza kreację wybitną, choć ciężar myśli Wielkiej Improwizacji musiał okazać się jeszcze ponad jego możliwości jako partnera Pana Boga". Dopiero Marta Fik dostrzegła w Jerzym Treli „aktora zda się całkiem nie predestynowanego do tej roli, a przecie świetnego w owych »Dziadach«, które mają być romantyczne w bardzo specjalnym sensie".

Niemal od początku swojej drogi aktorskiej budził niekłamany podziw.

Młodzi widzowie identyfikowali się z jego Konradem, choć początkowo Jerzy Trela był zaskoczony, że Swinarski Konrada zobaczył właśnie w nim – uważał, że brakuje mu romantycznej wyjątkowości, że to nie jest rola dla niego, chłopaka spod Krakowa z nieusuwalnym tutejszym akcentem. Ale Swinarski obstawał przy tym, że Konrad ma być zwyczajnym „młodym człowiekiem z marcowego pokolenia, które zdążyło już poczuć gorzki smak porażki i upokorzenia. Kimś, kto postanawia wykrzyczeć na głos to, o czym milczą inni, podobnie zniewoleni i upokorzeni" (jak pisał Tadeusz Nyczek).

Swinarski się nie mylił. „Dziady" zostały zagrane w Starym Teatrze 267 razy, a w plebiscycie „Dziennika Polskiego" uznane za najlepszy spektakl na krakowskich scenach w latach 1945-2006. Widowisko zarejestrował Teatr Telewizji (1983), a jego dokumentacja wraz ze scenariuszem ukazała się w książce „»Dziady« Adama Mickiewicza w inscenizacji Konrada Swinarskiego. Opis przedstawienia" (1998). Dziś nikt nie ma wątpliwości, że narodził się wtedy narodowy aktor Jerzy Trela.

Trela nie był wówczas debiutantem. Wprawdzie szkołę aktorską w Krakowie ukończył cztery lata wcześniej, a od 1970 r. był w zespole Starego Teatru, ale na scenie debiutował już w roku 1961, w Teatrze Lalek w Nowej Hucie – trafił tam po ukończeniu krakowskiego liceum sztuk plastycznych. Trzy lata później przeniósł się do Teatru Groteska, potem z grupą przyjaciół tworzył Teatr STU. Ale to Stary Teatr miał się stać jego domem.

Po roli Konrada w „Dziadach" Swinarski zaproponował Treli drugą rolę marzeń – Konrada z „Wyzwolenia" (1974). Tak rozpoczął się jego wielki romans z Wyspiańskim. „Wyzwolenie" w Starym Teatrze napisał

FOT. PIOTR KAMIONKA/REPORTER

eprasa.pl bc8ef8ba4f

Swinarski. Tak jak chciał autor, zaznaczając na wstępie: „Rzecz napisana w roku 1902, dzieje się na scenie teatru krakowskiego”, na której trwa właśnie próba. U Swinarskiego była to próba w wielu wymiarach, ale na plan pierwszy wysuwał się osobisty dramat Konrada-Wyspiańskiego – Polaka poszukującego najprostszej formuły uładzenia się z polskością. Trwały więc gorączkowe rozliczenia z wadami, naroślami, mitami i równie gorączkowa gonitwa za tym, co naprawdę trwałe i godne walki. Konrad wypowiadał słowa harde: „Zwyciężę na tej ziemi, / z tej ziemi PAŃSTWO wskrzeszę”.

To Wyspiański pisał słowo państwo wielkimi literami. „Wyzwolenie” podyktowane tęsknotą za dobrym państwem, porządnie urządzonym społeczeństwem było zarazem oskarżeniem tych wszystkich, którzy spełnieniu tej tęsknoty stają na drodze swoją głupotą, warcholstwem, nikczemnością czy tylko krótkowzrocznością. I o tym wszystkim opowiadali aktorzy Starego Teatru. Grali role aktorów z początku wieku, którzy próbują przedstawienie, a potem rozcharakteryzowani udają się do domu. Grali więc i siebie, użyczając widowisku swojej prywatności i swojego doświadczenia. W tej zegarmistrzowskiej robocie aktorskiej prym wiódł Konrad Jerzego Treli: pełnokrwisty, przeżywający gorączkę myśli i emocji. Cierpiał, tęsknił, walczył, dążył do prawdy. Chciał „w teatrze tym Polskę budować”. To „Wyzwolenie” i rola Treli, wielokrotnie potem cytowane i traktowane jak drogowskaz, okazały się wierzchołkami w dziejach scenicznych dramatu Wyspiańskiego.

Trela wracał do „Wyzwolenia”, nawet w formie „cytatu” w przedstawieniu Anny Augustynowicz (2019) w warszawskim Teatrze Polskim, w którym przypominał rozwibrowany monolog ze spektaklu Swinarskiego – tak wyrazisty, że słychać było, jak wielki żyrandol w tym teatrze rezonuje. Wcześniej pojawił się u Piotra Jędrzejasa w Teatrze na Woli (2011) jako Geniusz, który, pozostając śpiewakiem narodowej kołysanki, mamił widzów i aktorów swoją maestrią i ciągnął do wawelskich grobowców. Potem jednak, kiedy przedstawienie dobiegało końca, w krótkiej kwestii rzucanej mimochodem, prywatnie rejterował z pola pojedynku, radząc Dyrektorowi, by od następnego przedstawienia wykreślił końcowe partie roli Konrada.

Tak naprawdę „Wyzwolenie” Wyspiańskiego to wezwanie do poszanowania normalności. Czymże innym jest przesławna kwestia o „upalnym letnim dniu”, czasie kośby? To największe marzenie Konrada – zmysłowe doznawanie życia w jego cudownej zwykłości. Ta normalność go kusi. Oby nie usypiała. Ale na to nie pozwalali wyśmienici kpiarze w spektaklu telewizyjnym Macieja Prusa (2007): Jerzy Trela, Olgierd Łukaszewicz i Henryk Talar. Konrada grał wtedy Piotr Adamczyk, który radził się Treli, jak poprowadzić tę rolę. Trela odparł lakonicznie: „Kieruj się nosem”. „Więc się kierowałem”, potwierdził Adamczyk.

Był skromny do przesady, wyzbyty jakichkolwiek śladów kabotyństwa czy narcyzmu, tak typowych dla tego zawodu.

Dla porządku dodać trzeba jeszcze rolę Starego Aktora, którego Trela zagrał w inscenizacji Mikołaja Grabowskiego (2004). Ale to nie wszystkie „wyspiańskie występki”, od których stał się specjalistą i powszechnie uznawanym autorytetem, choć nigdy nie podejmował się naukowych analiz ani nie wypowiadał nazbyt szeroko o swojej pracy z Wyspiańskim. Kierował się nosem? Może nie tylko. Skoro przyznawał, że to Swinarski, a potem Grzegorzewski otworzyli jego wrażliwość, że nastroili go na Wyspiańskiego, a tak wyostrzony słuch pozwolił mu stworzyć kreacje w wielu innych dramatach tego wizjonera teatru („Wesele”, „Warszawianka”, „Sędziowie”, „Powrót Odysa”) we współpracy z wybitnymi reżyserami: Andrzejem Wajdą, Krystianem Lupą i wspomnianym Jerzym Grzegorzewskim.

To wspólnie z Grzegorzewskim wykreował niezapomnianego Jaśka w „Weselu” (1977), zwykle uważanego za postać drugoplanową. Jan Kłosowicz w recenzji tego spektaklu wykazał, że w wykonaniu Treli to niemal „najważniejsza postać w tym przedstawieniu, wyrastająca ponad Czepca, Poetę, Dziennikarza. Trela nie gra wiejskiego chłopaka, któremu we łbie zaszumiało i któremu ostał się sznur, ale rzeczywistego antagonistę wszystkich pozostałych postaci. Jedynego, który choćby oszukany, choćby zmamiony, na chwilę zerwał się do działania, i który w finale woła do widowni, żeby się zbudziła z nudy i zaspania. Konrad, nie przez przypadek, odnalazł się tutaj w osobie Jaśka”. Właśnie za tę rolę Jerzy Trela został wyróżniony Nagrodą Boya (dzielił ją z inscenizatorem, Jerzym Grzegorzewskim).

Oprócz Wyspiańskiego miał Trela wiele innych specjalizacji – świetne role w przedstawieniach opartych na tekstach Witolda Gombrowicza, Tadeusza Różewicza, Mikołaja Gogola i wielu innych autorów – skala talentu pozwalała mu się poruszać po rozmaitych gatunkach i rejestrach emocjonalnych. Wciąż podejmował nowe zadania. Zachęcany przez przyjaciół z Teatru STU zdecydował się na późny debiut w teatrze jednego aktora „Wielkim kazaniem księdza Bernarda” Leszka Kołakowskiego (2006), który należy do jego tekstów kanonicznych – to w takich tekstach filozof wystawia na intelektualną i moralną próbę swoich zwolenników i przeciwników. W przewrotnej grze dialektyki, w odwracaniu wektorów dobra i zła ukazuje ludzką ulotność i pyta, gdzie prawda, gdzie fałsz.

Tekst sprzed lat nie stracił nic ze swojej aktualności, a dla aktora stanowił nie lada wyzwanie. Podjął je z sukcesem Jerzy Trela, artysta szczególnie dobrze przygotowany, aby wystąpić w monodramie. Aż dziw, że zrobił to po raz pierwszy na 40. urodziny Teatru STU. Trela ukazał tu w pełni dojrzałe mistrzostwo. Jego Bernard to kusiciel, który zwodził, uwodził, podporządkowywał, namawiał, groził, napominał i łowił duszyczki widzów. Zdezorientowana

eprasa.pl bc8ef8ba4f

publiczność nie wiedziała, czy ma brać jego słowa serio, czy może z odrobiną ironicznego dystansu. Zwłaszcza że czasy nie sprzyjały pokpiwaniu z usankcjonowanej tradycją i podtrzymywanej przez Kościół i państwo wiary. Kto wie, czy w takich warunkach Kołakowski odważyłby się na równie obrazoburczy wywód, w którym pod razami dialektyki padają fundamenty niewzruszonej a jedynej prawdy.

Zrazu łagodny, przyjazny braciszek, co zda się nie wadzić nikomu, powoli przemieniał się w nawiedzonego kaznodzieję, gromiącego maluczkich. Zasiawszy grozę i zwątpienie, drążył dusze, aby zaskoczyć nagłą odmianą – spod szat duchownych wyzierał szatański wizerunek zwodziciela, którym jest, no kto? Może ja, może ty, może my... Kiedy nie grał już (tzn. kiedy Jerzy Trela grał, że nie gra), ukazywał twarz umęczonego daremnym ostrzeganiem proroka – cóż, nie sposób pomóc tym, którzy pomoc odtrącają. Na koniec wyjawiał, że człowiek i tak wyboru nie ma, zagarniany przez zło, które nosi w samym sobie, chroni i nieświadomie pielęgnuje, chyba że... Ale tego szatan przecież nie powie. Wielka rola, ważny tekst w przewrotnie szatańskiej dekoracji Jana Polewki, która pod koniec przedstawienia odsłaniała niebezpieczne czeluście piekielne. Kto siadł zbyt blisko, mógł poczuć żar piekielnego ognia.

Jerzy Trela miał ochotę raz jeszcze zmierzyć się sam na sam z widownią z okazji swojego 80-lecia. Myślał o dramacie Tankreda Dorsta „Ja, Feurbach", który w polskim teatrze zdobył wysoką pozycję za sprawą kreacji Tadeusza Łomnickiego, a potem Piotra Fronczewskiego i Zdzisława Kuźniara. Rozmawiał o tym projekcie w Teatrze STU, oczekiwano na jego realizację z entuzjazmem. Ale, niestety, daremnie. Już ten spektakl nie powstanie.

Trela umiał w tym zawodzie wszystko, no, prawie – nie miał zdolności wokalnych ani tanecznych. Nie zawsze bywał z siebie zadowolony – zagrał w ponad 140 spektaklach teatralnych, 100 filmach (m.in. przejmująca rola Chilona Chilonidesa w „Quo vadis" Jerzego Kawalerowicza) i przeszło 150 widowiskach telewizyjnych, nie wspominając o występach radiowych i estradowych, a nie wszystkie te przedsięwzięcia można było określić jako szczególnie udane. Stronił od chałtur, projektów z góry artystycznie przegranych. Wiódł pracowite życie, nie unikał zajęć publicznych. Udzielał się jako pedagog, wielu studentom potrafił podpowiedzieć drogę, jak teraz z wielką czułością wspominają. W schyłkowym okresie PRL był posłem, a także rektorem PWST w Krakowie, wchodził w skład Narodowej Rady Kultury i traktował te obowiązki z należną powagą. Po transformacji ustrojowej zrezygnował z wszelkich funkcji i skupił się na tym, co umiał najlepiej – na sztuce. W wywiadzie udzielonym przed laty Leszkowi Konarskiemu dla „Przeglądu" wyjawił swoje kredo: „Każdy artysta powinien dać widzowi wskazówkę, coś powiedzieć albo czegoś nie dopowiedzieć. Najważniejsze, aby za każdym razem podnosić duchowość widza, pobudzać jego wrażliwość".

Nigdy nie przeniósł się na stałe do Warszawy, mimo że wielokrotnie otrzymywał nęcące propozycje, a przez dwa sezony (równolegle z pracą w Starym Teatrze) był na etacie w Teatrze Narodowym, zaproszony przez Jerzego Grzegorzewskiego. Współpracował też z innymi warszawskimi teatrami: Dramatycznym, Ateneum, Polonią i Och-Teatrem. „Przyjeżdżałem jednak do stolicy zawsze jako gość – wspominał w wydanej właśnie książce o Warszawskich Spotkaniach Teatralnych w latach 1965-2021 – i być może dzięki temu byłem życzliwiej przyjmowany. Warszawa była metropolią, wymagała większej siły przebicia niż Kraków. I tylko niektórzy z moich kolegów po przeprowadzce dali sobie radę w warszawskich teatrach, wielu zniknęło ze sceny". I jeszcze jedna piękna uwaga artysty o duchu Starego Teatru: „W teatrze grało się jak w zespole jazzowym, jeśli ktoś miał solówkę, pozostali pracowali na niego. Nie było w nas chęci do rywalizacji, chcieliśmy służyć idei spektaklu. Tego uczyli nas Konrad Swinarski, Jerzy Jarocki, Jerzy Grzegorzewski, a później Krystian Lupa".

Wierny takim naukom, mógł swobodnie spacerować po krakowskich Plantach. Bez lęku przed pułapką zastawioną przez paparazzich.

Tomasz Miłkowski

Stronił od chałtur, projektów z góry artystycznie przegranych. Wiódł pracowite życie, nie unikał też zajęć publicznych.

W niedzielę, 15 maja br., w wieku 80 lat zmarł

Jerzy Trela

Jeden z najwybitniejszych polskich aktorów teatralnych i filmowych,
pedagog i organizator szkolnictwa teatralnego,
humanista i aktywny obywatel Rzeczypospolitej,
człowiek lewicy,
przez dziesięciolecia i konsekwentnie do ostatnich dni członek Kuźnicy,
laureat Kowadła Kuźnicy.

Będzie nam Ciebie brakowało,
Przyjacielu i Mistrzu

Kuźniczanie

eprasa.pl bc8ef8ba4f

Z Galicji

Jan Widacki

Conradus obiit

Zmarł Jerzy Trela. Nie będę powtarzał za innymi, jak wielkim był aktorem (bo był!), ile zagrał ról teatralnych, filmowych i telewizyjnych. Ilu jako profesor, a także rektor krakowskiej Państwowej Wyższej Szkoły Teatralnej (dziś Akademii Sztuk Teatralnych) wychował. Pozwolę sobie na wątek osobisty, na wspomnienia zawierające jeden szczegół, może mało znany biografom, ale chyba ważny.

Znałem Jerzego Trelę jako znakomitego aktora Starego Teatru w Krakowie. Nie muszę dodawać, że była to znajomość niesymetryczna. On był podziwianym artystą scenicznym, ja jednym z wielu anonimowych widzów. Kto raz zobaczył Jerzego Trelę w roli Konrada w „Dziadach" w reżyserii Konrada Swinarskiego, nie zapomni tego do końca życia. W polskim teatrze zagrać w „Dziadach" Konrada, to jak zagrać Hamleta. Wielka rola, o której marzą pewnie wszyscy młodzi aktorzy, dopóki ich jakiś serial telewizyjny nie pochłonie. Rola Konrada to wyzwanie i zaszczyt. I powiedzmy szczerze, na ogół to też wielka kreacja aktorska. Gustaw Holoubek w „Dziadach" w reżyserii Kazimierza Dejmka, Marek Walczewski u Bohdana Korzeniewskiego, Ignacy Gogolewski (zmarł tego samego dnia co Jerzy Trela) u Aleksandra Bardiniego…

Latem 1992 r., przed przyjazdem Czesława Miłosza do Wilna, udało się znów, po latach, udostępnić na cele kulturalne „celę Konrada". Cela ta – w sumie całkiem spora sala – wraz z całym pobazyliańskim klasztorem mieściła teraz bibliotekę Uniwersytetu Technicznego. Usunięto z niej wprawdzie regały z książkami, ale dojście do niej wymagało przejścia przez inne sale bibliotecznego magazynu, co nie było wygodne ani dla gości, ani dla pracowników biblioteki. W tej celi odbyło się zorganizowane przez ambasadę spotkanie z Czesławem Miłoszem, na które przybył sam Vytautas Landsbergis, na ów czas przewodniczący Rady Najwyższej Republiki Litewskiej, sprawujący funkcję głowy państwa i uznawany powszechnie za ojca litewskiej niepodległości. Następnym krokiem było wmurowanie nad wejściem do budynku biblioteki stosownej tablicy w języku polskim i litewskim, która zastąpiła dotychczasową tablicę z czasów radzieckich, oczywiście z napisem rosyjskim. Odsłonięcie tablicy zaplanowano na 2 listopada. Pamiętając Trelę w roli Konrada w krakowskich „Dziadach", postanowiłem zaprosić go, by tego dnia w celi Konrada powiedział „Wielką improwizację". Jerzy Trela zaproszenie przyjął.

Jerzy Trela w celi Konrada.

Tak doszło do tego, że dwóch krakowian, ja, krakowski profesor, od niedawna dyplomata, i on, krakowski wielki aktor, spotkało się w Wilnie i zaprzyjaźniło.

Wieczorem w dzień zaduszny, 2 listopada 1992 r., w celi Konrada Konrad przemówił „Wielką improwizacją". Pamiętam nastrój tamtego wieczoru. Półmrok dziedzińca klasztornego, ciemna fasada bazyliańskiej cerkwi, potem półmrok korytarza biblioteki, która kiedyś była klasztorem i więzieniem filomatów, wreszcie sama cela, zapełniająca się polsko-litewską publicznością. Wszyscy chyba czuli już wyjątkowość nadchodzącej chwili. Konrad – Trela stanął pod wmurowaną w ścianę przedwojenną jeszcze tablicą ze słowami „Gustavus obiit, natus est Conradus". Tablica, choć wyszczerbiona, ukryta za szafą z książkami przetrwała czasy radzieckie, owo wyszczerbienie zaś niemal symbolicznie przypominało o niedawnej historii. Wokół aktora palił się przerwany półokrąg świec, który wraz z tablicą stanowił jedyną scenografię. „Samotność – cóż po ludziach, czym śpiewak dla ludzi?", głos aktora przerwał ciszę. Taki tekst, w tym akurat miejscu, mówiony przez takiego aktora! Jerzy Trela nie grał roli Konrada. On był Konradem! Jak sam przyznał, choć mówił „Wielką improwizację" na dziesiątkach przedstawień „Dziadów" w Starym Teatrze, nigdy nie powiedział jej tak jak wówczas, z takim uczuciem. A powiedział genialnie! Jeszcze po spektaklu mówił mi, że dotąd nie może uwierzyć, że miał takie szczęście, że mógł powiedzieć „Wielką improwizację" w Wilnie, w celi Konrada! Była noc, chciał dzwonić do Krakowa, do żony, do przyjaciół, pochwalić się swoim przeżyciem. Nie udało się. Nie była to jeszcze era telefonów komórkowych, połączenie międzynarodowe nie doszło do skutku.

Od tego czasu byliśmy zaprzyjaźnieni. Jerzy swoją osobą i zwykle recytacją lub czytaniem jakiegoś tekstu uświetniał moje kolejne jubileusze, a mówiony przez niego fragment z „Pana Tadeusza", kończący się wezwaniem „Poloneza czas zacząć!", otwierał organizowane przeze mnie „bale litewskie".

Demon na scenie, prywatnie był cichym, delikatnym, nieśmiałym, dobrym człowiekiem.

Jakże to trudno przyjąć do wiadomości, że tym razem Conradus obiit. I nigdy już nie zobaczymy go na scenie.

j.widacki@tygodnikprzeglad.pl

FOT. ARCHIWUM AUTORA

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl bc8ef8ba4f

Wiesław Kot

Ignacy Gogolewski 1931-2022

Konrad XX wieku

Grywał królów, lordów i sędziów. Ale zapamiętany został z roli Antka Boryny, chłopskiego syna z Mazowsza. I do tej roli było mu w życiu najbliżej

Ignacy Gogolewski objawił się najbardziej płomiennym i zachwycającym debiutem w całym powojennym teatrze polskim. Nastąpiło to 26 listopada 1955 r. Na fali postępującej odwilży Teatr Polski wystawił „Dziady" w reżyserii Aleksandra Bardiniego, co stało się symbolem przezwyciężania poprzedniego systemu. Wcześniej Leon Schiller próbował wystawić „Dziady" w roku 1948, ale zasugerowano mu, aby zamiast trzech krzyży na scenie, które proponował scenograf Andrzej Pronaszko, postawić trzy lipy lub trzy dęby, i Schiller zrezygnował. Teraz Gogolewski jako Konrad trafił na okładki najważniejszych kolorowych czasopism, z „Przekrojem" włącznie. Zagrał tak dynamicznie, że ogromnie wtedy poczytny tygodnik „Dookoła Świata" opublikował serię fotografii, w których rozłożył na czynniki pierwsze poszczególne fazy Wielkiej Improwizacji. Nie mówiąc o tym, że od prezydenta Bolesława Bieruta aktor odebrał kosz kwiatów wraz z komplementującym go bilecikiem. Po „Dziadach" padła propozycja, by „kolega Gogolewski" z ZMP przepisał się do PZPR, ale on nie miał ochoty.

Po latach powie: „Mnie w ogóle partyjność nie interesuje, bo ja nie mogę podlegać jakiejkolwiek władzy, ani partyjnej, ani władzy kobiety, która chce mną kierować". Choć przez dziesięć lat małżeństwa kierowała artystą jak najbardziej żona, aktorka Katarzyna Łaniewska. Nawiasem mówiąc, z późniejszych związków Ignacego z paniami ten bardziej dramatyczny połączył go z piosenkarką Joanną Rawik. Prasa rozpisywała się o nim zwłaszcza w momencie, kiedy pani Joanna w trakcie kruszenia się ich relacji zdecydowała się pewnego dnia odkręcić gaz.

Po sukcesie w „Dziadach" Gogolewski świetnie się nadał na partnera królowych i dam dworu w zawiesistych inscenizacjach historycznych, gdzie składał hołdy Ninie Andrycz czy Elżbiecie Barszczewskiej. Pani Nina lubiła dyrygować całym koleżeństwem na scenie, a nawet wyręczać suflera i podpowiadać kwestie, a szept miała ogromnie donośny, co kolegów aktorów peszyło jeszcze bardziej. Gdy próbowała tego na Gogolewskim, ten po spektaklu twardo się postawił, mówiąc, że woli, by koleżanka mu nie podpowiadała, skoro teatr opłaca suflera. Andrycz się obraziła, nie przez sam wytyk, ale dlatego, że kolega Ignacy zrobił jej tę uwagę „przy służbie".

A kiedy minęło dziesięć lat od olśniewającego występu w „Dziadach", Gogolewski miał błysnąć drugą narodową rolą – Kordiana w pomnikowej (in spe) inscenizacji Kazimierza Dejmka, przygotowanej na dwóchsetlecie Teatru Narodowego. Teatr to miał być ogromny, a zwyczajnie był za długi. Z pięciogodzinnego przedstawienia chyłkiem wymykały się zagraniczne delegacje, a i niektórzy widzowie, bo wszystkim najzwyczajniej się dłużyły te romantyczne sosy. Więc klęska i szukanie winnych. Dejmek zwalał całą winę za własną porażkę na Gogolewskiego, wobec czego ten w środku sezonu trzasnął drzwiami i opuścił scenę narodową.

Aktor na naradzie aktywu

I to dość zdecydowanie, ponieważ wylądował w końcu jako dyrektor Teatru im. Wyspiańskiego w Katowicach. Tu próbował się odnaleźć między zatargami z organizacjami związkowymi a rytualnym wizytowaniem rozruchu kolejnego wielkiego pieca czy górników rąbiących na przodku. Do tego „pan dyrektor" trawił setki godzin na konferencjach i naradach. Zresztą na Śląsku do teatru nie przywiązywano szczególnej wagi – grano byle co i często byle jak. Gogolewski ściągnął zatem z Warszawy młodych absolwentów PWST: Ewę Dałkowską, Krzysztofa Kolbergera czy Marka

FOT. POLFILM/EAST NEWS

eprasa.pl bc8ef8ba4f

Kondrata. No i teraz musiał jeszcze rozsądzać zatargi między młodymi wilczkami ze stolicy a starymi rutyniarzami ze Śląska.

No i były to takie czasy, że kiedy w Teatrze Śląskim Gogolewski wystawiał Moliera, na widowni w komplecie zasiadała piłkarska reprezentacja Polski z trenerem Kazimierzem Górskim. Bywały problemy z cenzurą. Groteskowe. Kiedy Franciszek Starowieyski zaproponował orgiastyczne kostiumy do przedstawienia „Wariat i zakonnica" Witkacego, cenzurę aż zatchnęło, tyle tam było na scenie czerwonego aksamitu. Cenzor powiedział: „Wie pan, to się może kojarzyć…". „Naprawdę nie wiem, z czym panu to się może kojarzyć, bo mnie z burdelem", odparł reżyser, a cenzor sztukę puścił.

wyremontował mieszkanie na warszawskiej Starówce i jeszcze mu trochę zostało, więc kupił pod Pułtuskiem drewnianą chatę, która dawała mu azyl w późnych latach.

Owa chłopska rola, z którą kojarzono go przez całe życie, była w przypadku Gogolewskiego więcej niż naturalna. Pochodził spod Ciechanowa, gdzie dziedzic z miejscowości Gogole Wielkie, Piotr Gogolewski, miał romans z chłopską dziewczyną, zaledwie 17-letnią. Dziedzic miał już wówczas kilkoro dzieci i podupadający majateczek. Po nim Ignacy odziedziczył urodę, a może i zdolności aktorskie, ponieważ pan Piotr lubił popisywać się w sąsiedzkim zespole teatralnym. Imię Ignacy wybrała babka, na cześć prezydenta Mościckiego. Po wojnie jej wnuk na ochotnika przylgnął do

odruchów. Po takich naukach z pogranicza rzemiosła i histerii adepci mieli w roku 1953 obowiązek pracy w terenie. I tak absolwentów z Warszawy wysyłano w Szczecińskie, podczas gdy aktorzy z Łodzi rozgrzewali publiczność rzeszowską. Gogolewskiego jednak pozostawiono w Warszawie. Przyszedł bowiem angaż protekcyjny do samego Teatru Polskiego, z gażą nie najgorszą, bo 920 zł to była ówczesna średnia krajowa. Ale co z tego, skoro kiedy zadebiutował w przedstawieniu molierowskim, recenzent napisał, że „aktor Gogolewski był przebranym w dziwny strój karnawałowy przystojnym urzędnikiem magistrackim". Z tym że Gogolewski uczył się bardzo szybko i właściwie przez całe aktorskie życie.

Długopis Wałęsy nie robi wrażenia

Po powrocie z Katowic Maciej Szczepański przyjął Gogolewskiego do telewizji. Niechętnie, ale przyjął. Gogolewski gra i reżyseruje, może dlatego, że władza po wydarzeniach w Ursusie i Radomiu ma na głowie znacznie ważniejsze sprawy niż kaprysy niezbyt lojalnego aktora. Ten zaś wraca również na sceny warszawskie. Bardziej zahartowany i okrzepły. „Uświadomiłem sobie – powie w wywiadzie – że jestem czymś więcej niż aktorem. Nie uczę się tylko cudzego tekstu, nie wkładam tylko różnych kostiumów, nie wykonuję tylko ukłonów po zakończeniu sztuki, nie pozuję tylko fotoreporterom. Jestem czymś więcej niż aktorem, przede wszystkim jestem człowiekiem". Krawiec z Teatru Narodowego podczas przymiarki kolejnego kostiumu zażartuje: „Ależ pan, panie Gogolewski, napsuł tej literatury – i znowu przygotowuje się pan do następnej premiery!".

W roku 1980 Ignacy Gogolewski wylądował na fotelu dyrektorskim w Teatrze im. Juliusza Osterwy w Lublinie. Tam zastał go zryw Solidarności, ale jego samego nie porwał. „Zawsze byłem daleko od zbiorowych entuzjazmów. Nieraz już widziałem owczy pęd. Często w pierwszych szeregach brylowali ludzie robiący szemrane interesy w minionych dziesięcioleciach. Ilu było takich, którzy się przefarbowali z dnia na dzień…

Objawił się najbardziej płomiennym i zachwycającym debiutem w całym powojennym teatrze polskim.

Tych kwasów robiło się coraz więcej, dlatego po trzech latach Gogolewski miał Śląska serdecznie dosyć. Koledzy podejrzewali, że w stresie znieczula się alkoholem, mówiło się nawet o leczeniu odwykowym. Odpowiadał wtedy: „Słyszałem kiedyś, że ponoć byłem na odwykówce. Owszem, byłem. Z odwiedzinami". Rezygnację z dyrektorowania złożył w bardzo delikatnym, a właściwie prowokacyjnym dniu – 22 lipca, w 30. rocznicę PRL.

Boryna z Borynów

Na to śląskie dyrektorowanie nałożyła się praca na planie „Chłopów" w reżyserii Jana Rybkowskiego. Kręcono we wsi Pszczonów pod Skierniewicami. Tam na wpół ucharakteryzowany Gogolewski wałęsał się po wsi, żeby jak najwięcej wchłonąć z tego żywiołu, prawie sto lat po wydarzeniach, w których miał zagrać. No i miejscowi gościli go w swoich chałupach, a po zakończeniu zdjęć zaproponowali tak mocno podlewaną zabawę, że całą obsadę aktorską trzeba było do Warszawy odwozić samochodami w stanie kompletnego rozkładu. Za rolę w „Chłopach"

władzy, która zapowiadała wyrównanie krzywd społecznych. Dla niego to nie były slogany – kiedy poszedł na pierwszy szkolny bal, przestał go pod ścianą, ponieważ buty miał szmaciane i tak wystrzępione, że nie wyobrażał sobie pokazać się w nich na parkiecie. Księdzu szepnął w kratkę konfesjonału, że jest tu po raz ostatni, bo nie widzi sensu dalszych spowiedzi. Dlaczego? Bo religia to opium dla narodu. I sprzed ołtarza przeniósł się do Związku Młodzieży Polskiej.

W wywiadzie dla „Przeglądu" wspominał: „Któregoś dnia, włócząc się bez celu po ulicach Warszawy, zawędrowałem pod Teatr Polski i zobaczyłem tabliczkę »Szkoła Aktorska«. Pomyślałem: »Chcę być aktorem«. Moje szanse były równe szansom przechodnia, który wchodzi do kiosku z totolotkiem, wypełnia kupon i wygrywa główną nagrodę. Otóż ja wtedy, gdy stanąłem do egzaminu aktorskiego, wypełniłem ten swój życiowy kupon totka. I trafiłem szóstkę".

Grono profesorskie i studenckie w warszawskiej PWST było szczupłe, układy nieledwie kumplowskie. Prof. Jacek Woszczerowicz lubił np. ciskać w przyszłe aktorki kartoflami, byle tylko pobudzić je do szczerych

eprasa.pl bc8ef8ba4f

to co, ja miałem teraz stawać obok nich?" I jeszcze: „Miliony w tym kraju emocjonowały się długopisem Wałęsy. Na mnie nie robiło to wrażenia. Widziałem, obserwowałem i zachowywałem dystans".

Cztery miesiące po wprowadzeniu stanu wojennego teatr lubelski pod jego dyrekcją wystawił aluzyjny „Pierwszy dzień wolności" Kruczkowskiego. Zaraz zgłosiła się telewizja, która chciała to zarejestrować, żeby pokazać, że oto kruszy się aktorski bojkot. Gogolewski zostawił kolegom wolną rękę. Tylko jeden z nich, przewodniczący teatralnej Solidarności, oddał rolę. Kiedy po latach wyrzucano Gogolewskiemu wywiady, które w tamtych czasach dawał do „Trybuny Ludu" czy „Żołnierza Wolności", odpowiadał: „O tym nawet napiszą w moim nekrologu. Będzie drożej kosztował".

Publiczność w trakcie głupawej drzemki

Wypomniano mu to znacznie wcześniej. W roku 2005, kiedy objął funkcję prezesa ZASP. Choć tym razem chodziło nie o żadną „politykę", lecz o podniesienie materialnej „rangi zawodu". Z prowincji dobiegały go głosy młodszych kolegów: „Pan tu mówi o pięknych ideałach, o hasłach ZASP, że trzeba je pielęgnować, ale czy pan wie, że my za przedstawienie dostajemy 50 zł i po to, żeby się utrzymać, idziemy po spektaklu do knajpy rozlewać piwo?".

Jestem czymś więcej niż aktorem, przede wszystkim jestem człowiekiem.

Ignacy Gogolewski głosił wyraziste poglądy w kwestii obecnego teatru. W wywiadzie dla „Przeglądu" tłumaczył z pasją: „Sztukę teatru dramatycznego, kabaretu, filmu, a nawet opery, zdominowała telewizja. Ona wykreowała fatalny gust. Dopiero w momencie, kiedy ludzie ockną się z tej głupawej drzemki i zrozumieją, że nie tylko to pudełko jest ważne, być może zaczną poszukiwać czegoś, co jest bardziej skomplikowane, co wymaga zastanowienia nad życiem, będą chcieli zwracać uwagę na wewnętrzny rytm egzystencji". I uzupełniał: „Estetyka teatru zmieniła się gwałtownie. Te wszystkie fizjologiczne ekscesy, które zaistniały w ostatnich latach na polskich scenach, a przyszły z Zachodu – trzeba je przetrwać. Nie zatrzymasz tego, bo to jest lawina. Ona musi zejść. Jeśli wyjdziesz jej naprzeciw, mówiąc »Stop« – przejdzie po tobie. Po przejściu tej choroby wrócimy do źródeł". I jeszcze: „Trudno jest mi pogodzić się z faktem, że teraz »teatrem« nazywa się imprezy Unii Europejskiej, straży pożarnej czy wyborcze happeningi. Nie potrafię tego…".

Kiedy mawiano, że „Ignacy Gogolewski jest epigonem teatru, który odchodzi", zgadzał się z tą opinią. Ale zaraz dodawał: „Ale ja chcę odejść w sposób honorowy, szlachetny, uczciwy".

No właśnie.

Wiesław Kot

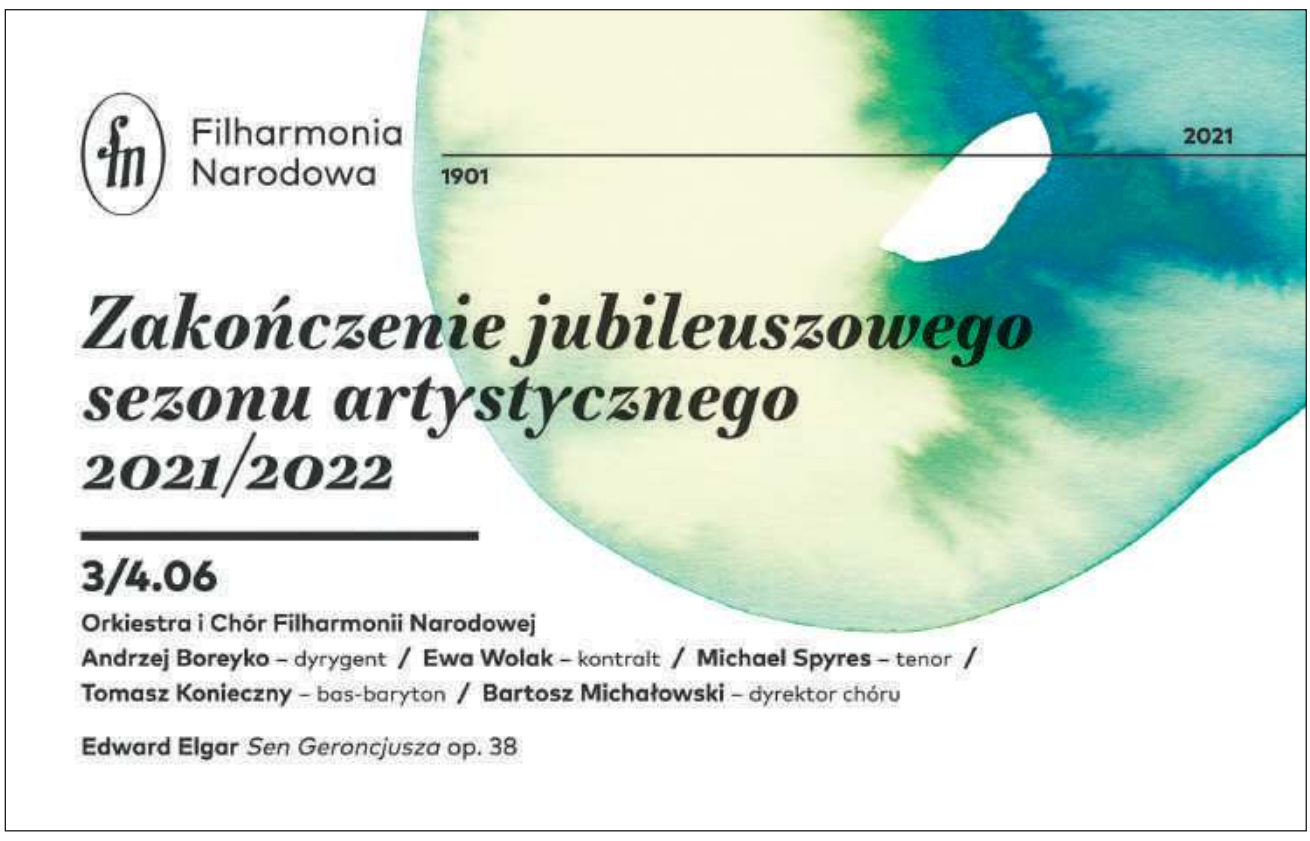

eprasa.pl bc8ef8ba4f

Oko w oko

Tomasz Jastrun

But, który uwiera

Oszalała pisowska aktywistka, po uszy zanurzona w religii smoleńskiej Ewa Stankiewicz, dostała 5 mln zł od PiS na film fabularny, chociaż do tej pory była dokumentalistką. Mniejsze sumy na swoje filmy dostali znani i nagradzani na festiwalach reżyserzy. Jakże to znamienne.

Zmarła Maryna Miklaszewska. To moja młodość, wspólne wyjazdy na Hel, jeszcze gdy byliśmy nastolatkami, potem jeździliśmy tam ze swoimi dziećmi, i stan wojenny, konspirowanie, przyjaźń, solidarność, bliskość. Była ładna, inteligentna i uczciwa. Miała ambicje literackie, ale bardzo niewiele napisała i nie pisała wybitnie. Kiedy spotkałem ją trochę lat temu po długim niewidzeniu, na mój widok poczęły jej się trząść dłonie, wahała się, czy podać mi rękę, bardzo trudno nie podać ręki, więc podała drżącą i niechętną. Po czym oddaliła się z niesmakiem. Co się stało? Okazało się, że jest wyznawczynią religii smoleńskiej i oburzały ją moje felietony wtedy pisane do „Newsweeka". Co pomyślałem? Że jest chora i nie mogę na nią się gniewać. I tu jest nawiązanie do Stankiewicz. Teraz, kiedy Maryna umarła, czytam, co o niej piszą jaśnie nam panujący. „Niespodziewana smutna wiadomość – odeszła Maryna Miklaszewska, wybitna pisarka, człowiek kultury, społeczniczka zatroskana o los ojczyzny, współtwórczyni Kongresu Polska Wielki Projekt, szerokiej publiczności znana jako współautorka musicalu »Metro«", napisał minister kultury.

Do pisania potrzeba mi choćby odrobiny złego samopoczucia.

Pisarkę pożegnał też premier Mateusz Morawiecki: „Dobro i Prawda zawsze były dla niej najważniejsze. Niech spoczywa w pokoju". Oto jak dramatycznie brakuje PiS nowych Polaków, wybitnych artystów, na podobnej zasadzie nadmuchiwania balonów pisowski Antoni Libera dostał Orła Białego, wcześniej wielki Wildstein. To jest próba tworzenia nowych elit w miejsce tych zgniłych, lewackich. Maryna jest nagle wybitną pisarką, w której rozczytuje się Gliński (tylko gdzie są te dzieła), a nie Tokarczuk, jej minister kultury nie czyta i nie tyka. Jednak żyjemy w obłędzie. I nawet żegnać się z bliskimi ciężko, bo wszystko tonie w gnojówce kłamstwa i naszych swarów domowych. Ale żegnaj, Maryno, i już nie gniewaj się na mnie. Mam złą wiadomość: tam, gdzie poszłaś, nie ma PiS.

•

Autobiografia Mrożka „Baltazar" i jego „Dziennik powrotu" najwyraźniej już przeze mnie czytane, bo są podkreślenia ołówkiem i są zakładki, ale nic rzecz jasna nie pamiętam. Bo jak już tu wielekroć się chwaliłem, zupełnie nie mam pamięci. Znajduję w tej książce, gdzie sporo fotografii, luzem włożone zdjęcie Mrożka – sam mu je zrobiłem w Sztokholmie. Sfotografowałem go w polskiej ambasadzie, gubił się, to był czas, gdy nie było starego ambasadora, odwołano go jako komucha, a nowy jeszcze nie przybył, więc ulokowałem Mrożka w opuszczonym apartamencie; zdjęcie prześwietlone, pomieszały się kolory, wyszło bardzo oryginalnie.

Te moje dni z Mrożkiem w Sztokholmie były osobliwe. Rok bodaj '91, jestem na lotnisku Arlanda ze szwedzkim wydawcą Mrożka Adamem Brombergiem. Wszyscy już wyszli z samolotu, który przyleciał z Meksyku, a Mrożka nie ma. Tracimy nadzieję, gdy pojawia się, trzymając za rękaw pracownika lotniska, jest głęboko nieszczęśliwy. „Zgubiono mi bagaże", mówi. Walizki nie odzyskiwał przez wiele dni, chodził więc w mojej marynarce i w butach mojego syna, bo przyleciał w sandałach. W Sztokholmie był wielki festiwal jego sztuk, więc wszędzie on w telewizji i fotografie Mrożka w mojej marynarce. Byliśmy wiele dni razem. I wszystko jak z Mrożka. Bardzo go polubiłem, był jakoś podobnie jak ja depresyjny, zagubiony w świecie, zaplątany w sobie. A na dodatek dopiero co cudem uszedł z życiem, pękła mu aorta, uratowała go żona, wioząc go gwałtem z prowincji, gdzie mieszkali, do stolicy. A w Meksyku zrobił się „meksyk", opowiadał mi o tym: napady, porwania, siedział często w wieży swojego domu z karabinem. Pamiętam scenę, gdy stoimy naprzeciw Kulturhuset w centrum Sztokholmu. Grają tam naraz trzy sztuki Mrożka, więc ten wielki szklany pałac sztuki zdaje się wypełniony jego snami. „Co pan czuje?", pytam. „Niech pan tego nikomu nie mówi, ja tylko czuję, że uwiera mnie but". W tym nie było arogancji, raczej rezygnacja.

•

Mnożą się plotki o ciężkich chorobach Putina, jak nie rak, to parkinson, marzenia, marzenia… Podobnie jako pewna wiadomość powtarzana była kiedyś uparcie plotka, że prezes ma raka trzustki, marzenia, marzenia. A to wszystko z bezradności. Z gniewu i z bezradności.

•

Mój najlepszy miesiąc – maj. Pogodne dni i czuję się pogodnie, ale paradoksalnie ten dobry nastrój przeszkadza mi pisać, do pisania potrzeba mi choćby odrobiny złego samopoczucia.

t.jastrun@tygodnikprzeglad.pl

FOT. BARTOSZ MACIEJEWSKI

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl bc8ef8ba4f

SERIAL

Miasto jest nasze, twórca David Simon, HBO Max

Pokochaliście „Prawo ulicy"? David Simon znów zaprasza nas do Baltimore, gdzie przez dekadę sporo się zmieniło. W policji pracują nowi ludzie, którym starsi koledzy przekazali wszystko poza ideałami. W „Miasto jest nasze" mundurowi wykorzystują uprawnienia nie po to, by zaprowadzić porządek, tylko do grania na siebie. Skonfiskowanymi narkotykami dilują na boku, a za pomocą spluw i pałek załatwiają własne interesy lub dają wyraz swoim poglądom – zwłaszcza rasizmowi. W tej ponurej rzeczywistości próbuje się odnaleźć przedstawicielka Biura Praw Obywatelskich Departamentu Sprawiedliwości, która jak po nitce do kłębka dochodzi do jądra zgniłego systemu. Simon jest jednak zbyt świadomym twórcą, by patrzeć na problem z jednej perspektywy. Nie próbuje policjantów tłumaczyć, ale pokazuje nam, jak skomplikowana jest rzeczywistość, w której nie ma punktu oparcia. Serialowi mundurowi poddają się złu, bo nie wspierają ich ani przełożeni, ani nieufne społeczeństwo.

Artur Zaborski

PATRONAT PRZEGLĄDU

24. Letni Festiwal Opery Krakowskiej

Po dwuletniej przerwie wraca Letni Festiwal Opery Krakowskiej. Tegoroczna edycja świętuje 50-lecie pracy artystycznej reżysera Laco Adamika i scenografki Barbary Kędzierskiej, dlatego w repertuarze nie brak inscenizacji tego wybitnego duetu realizatorów. Zobaczymy „Wesele Figara" Mozarta, „Carmen" Bizeta, „Toscę" Pucciniego, „Straszny dwór" Moniuszki, a także „Trubadura" Verdiego – w wersji semiscenicznej, przygotowanej specjalnie na festiwal, z udziałem Mikołaja Zalasińskiego w roli hrabiego di Luny. W programie również koncert „Te Deum Laudamus" w 550. rocznicę nieprzerwanej obecności zakonu paulinów na Skałce oraz letnie wieczory w Ogrodzie Botanicznym UJ. Zwieńczeniem festiwalu będzie premiera inscenizacji singspielu Mozarta „Dyrektor teatru", przygotowywanej przez Beatę Redo-Dobber (reżyseria według pomysłu inscenizacyjnego Bogusława Nowaka), Tomasza Tokarczyka (kierownictwo muzyczne) oraz Ryszarda Melliwę (scenografia, kostiumy).

MIĘDZY OKŁADKAMI

Daphne du Maurier
Oberża na pustkowiu
tłum. Wacława Komarnicka
Albatros, Warszawa 2022

Idealna sceneria powieści grozy – kornwalijskie mokradła i wrzosowiska z oberżą, przy której żaden dyliżans się nie zatrzyma. Ale nie w dzikim krajobrazie jest zło, lecz w ludziach. Ponury budynek gospody Jamajka odzwierciedla naturę człowieka, który upatrzył ją sobie na kryjówkę. Olbrzym o wilczym uśmiechu gości jedynie szemranych kompanów zjawiających się nocą, mimo to jego półobłąkana ze strachu żona próbuje wmawiać siostrzenicy, że dobrze tu się żyje. Wydana w 1936 r. powieść Daphne du Maurier skusiła Alfreda Hitchcocka (efekt mocno odbiegał od literackiego pierwowzoru), miała też kolejne adaptacje – atrakcyjny jest już sam XIX-wieczny kostium, z rabusiami zwabiającymi statki na skały, i pociąg bohaterki do łotrzyka. Mary Yellan z omdlewającą heroiną nie ma jednak nic wspólnego. Szuka sposobu uratowania ciotki i siebie, a potrafi się bronić; chce decydować o sobie i buntuje się przeciw ograniczeniom, którym podlegały kobiety. Mało w niej naiwności, jest na wskroś dzisiejsza.

Aleksandra Pańko

KURTYNA W GÓRĘ

Ostatnie spotkanie

W kategoriach sportowych to prawdziwy wyczyn: Zdzisław Kuźniar, aktor, który w roku ubiegłym obchodził 90. urodziny, dał podczas majowych spotkań teatrów jednego aktora w Toruniu premierę nowego monodramu. Jego „Dwa dni z synem", inspirowane dramatem Edmunda Morrisa „Drewniany talerz", to dramatyczna opowieść o starym człowieku, który, nikomu już niepotrzebny, zawadza we własnym domu. Syn, synowa, nawet wnuczka, chcą go się pozbyć. Starzec przeżywa nadciągającą katastrofę, łudzi się jakąś odmianą, bo przybywa z odległego miasta dawno niewidziany drugi syn. Jak się jednak okaże, zjawił się tylko po to, aby uzgodnić warunki przekazania ojca do domu spokojnej starości – jakby był on jakimś przedmiotem.

Kuźniar powściągliwie odsłania dramat starego człowieka, któremu ziemia usuwa się spod stóp. Jeszcze majaczy mu się inne życie, ale wie, że już nic go nie wypełni oprócz samotności i czekania na koniec. „Drewniany talerz" nie należy do dramatów literacko wyrafinowanych, lecz wzbogacony o doświadczenie aktora stał się dobrym materiałem do zbudowania pełnej kreacji psychologicznej, czytelnej i poruszającej. Kuźniar dopisał więc do swojej bujnej biografii nowe osiągnięcie. „Starości nie da się uniknąć – mówi swoimi słowami aktor w tym spektaklu – można ją tylko oswoić, a kiedy wprowadzimy ją do swojego życia, tylko od nas zależy".

Tomasz Miłkowski

„Dwa dni z synem", scenariusz, reżyseria i wykonanie Zdzisław Kuźniar, Teatr Baj Pomorski w Toruniu, premiera 15 maja 2022

FOT. MICHAŁ DUDEK, HBO, MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl bc8ef8ba4f

Wieczne odpoczywanie

Wojciech Kuczok

Nienapisany felieton

– Co nas poprawia? – mniej więcej takie pytanie zadał mi zaprzyjaźniony redaktor pisma poświęconego książkom. Pisma wysokonakładowego, chwalebnie obecnego, lecz wobec braku konkurencji budzącego tu i ówdzie także nieufność, bo gusta redakcyjnego gremium zdają się niektórym nie dość zróżnicowane, by nie rzec zachowawcze. Jako się rzekło, pismo zajmuje się w pierwszym rzędzie książkami, dopiero niejako przy okazji pisarzami, będącymi drugorzędnym kontekstem dzieła literackiego – mnie zaś właśnie przyszedł do głowy cykl rozmów z pisarzami o ich najważniejszych nienapisanych książkach. Toż to cała widmowa biblioteka, setki opasłych tomów, potencjalnych arcydzieł, od których nogi się uginają, choć nie ugnie się pod nimi żadna półka.

Autorzy zawodowi, sumienni i pracowici, nieznający pojęcia blokady pisarskiej, niezawalający terminów, spełniający obietnice, płodni i regularni są oczywistymi ulubieńcami wydawców, zapewne też księgarzy i krytyków, na nich jednak literatura się nie kończy. Są tacy, którym talent przestał się synchronizować z wolą twórczą i chodzi mi tu nie o prokrastynację, lecz o świadome odłożenie pióra, pozbawione wyrzutów sumienia i rozpaczliwych starań o przywołanie natchnienia. Zawieszenie działalności pisarskiej z dowolnego powodu, choćby z przyczyn higienicznych, dla odświeżenia umysłu.

Nie mieć nic do powiedzenia to przywilej, do którego tęskno także pisarzom, zwłaszcza w dobie socjalmediów. Autorzy wygłaszający swoje opinie z kompulsywną częstotliwością na Twitterze i Facebooku budzą moją najwyższą podejrzliwość, mam wrażenie, jakbym ich przyłapał na knajpianej ględźbie, już mi się nie chce potem sięgać po ich książki. Przymus pisania, nazywany też grafomanią, jest chorobą, która celuje również w ludzi niepozbawionych talentu literackiego. Ci autorzy panicznie boją się milczenia: rąbią po kilka tekstów tygodniowo do gazet, kilkanaście razy dziennie obdarowują świat błyskotliwymi złośliwostkami w sieci, do tego znajdują bez trudu czas, żeby w porze lunchu posunąć swoją powieść o pół rozdziału do przodu, a i na cowieczorną gawędę w legendarnej piwiarni (do innej by nie poszli) starcza im sił.

Tymczasem autor w stanie odpoczynku, o ile nie jest to spoczynek wieczny, bierze rozbrat z pisaniem, ale przecież wcale wtedy nie przestaje myśleć literaturą – po prostu przez jakiś czas nie zapisuje pomysłów albo nie pozwala im się rozwinąć, o ile oczywiście nie jest etatowym językodawcą, opłacanym od wierszówki.

– Co nas czyni lepszymi? – doprecyzował redaktor. – Co nam poprawia samopoczucie na trwałe? Wiesz, jest wojna, jest generalnie bardzo źle, więc spróbujmy pomyśleć o czymś pozytywnym – dodał. – Pomyśleć, a nawet napisać – uściślił mobilizująco. Domyśliłem już sobie z niejaką ulgą: będzie można coś powiedzieć pomimo spraw, a nawet wbrew ich obrotom, zamiast zabrać-głos-w-sprawie. Wszak zawsze się go zabiera komuś, gadulstwo też jest rodzajem przemocy, męczącej dominacji, stolikowi besserwisserzy potrafią zaorać każdy dyskurs, żeby postawić na swoim, bez względu na płeć. Przemocowcom i przemocowczyniom tego świata (nawet nie wiem, czy to poprawny feminatyw, tak seksistowsko pojmowana jest kategoria przemocy – w powszechnym mniemaniu odpowiadają za nią wyłącznie mężczyźni) nie zamykają się usta, ich pióra nie wysychają, żadna logorea ich nie zmęczy. Z czytaniem także są na bakier, bo robią to tylko po to, by się przekonać, że sami napisaliby lepiej. Lepiej im nie podsuwać do czytania nawet map, bo gotowi je poprawiać, a jako że mają gadane, zdolni są zebrać masę ludzką do zmiany granic choćby i siłą. Owóż – mnie poprawia nastrój niepisanie, ale nie mam sił na przekonywanie innych, że też zrobiłoby im dobrze, gdyby choć na chwilę zamilkli. Albo dla odmiany poczytali – jak ktoś jest bez przerwy skupiony na własnym pisaniu, częściowo popada w analfabetyzm. Sam jestem teraz np. zmęczony pisaniem o wojnie, ale nie wolno mi tego napisać, bo będę nie fair wobec tych, którzy są wojną zmęczeni bezpośrednio.

Gadulstwo też jest rodzajem przemocy, męczącej dominacji, stolikowi besserwisserzy potrafią zaorać każdy dyskurs, żeby postawić na swoim.

w.kuczok@tygodnikprzeglad.pl

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl bc8ef8ba4f

Polski Imre Nagy

Wojciech Jaruzelski wymyka się schematom. Nie można go jednoznacznie zaszeregować

Andrzej Romanowski

Kiedy Wojciech Jaruzelski wtargnął w moje życie? Może wtedy, gdy w dzieciństwie, w latach 60., przeczytałem w gazecie nazwisko ministra obrony narodowej, marszałka Polski Mariana Spychalskiego, oraz nazwiska dwóch jego zastępców, gen. Jerzego Bordziłowskiego i Jaruzelskiego właśnie? O Spychalskim mówiono, że w czasach stalinowskich był więziony, o Bordziłowskim – że jest odkomenderowany z Armii Czerwonej, natomiast o Jaruzelskim nie wiedziano nic. A może to wtargnięcie nastąpiło w kwietniu 1968 r., gdy ów generał o dziecięcej twarzy został szefem PRL-owskiej armii? Jeżeli tak, to powinienem z nim łączyć udział polskich jednostek w interwencji w Czechosłowacji w sierpniu 1968 r. oraz masakrę na Wybrzeżu w grudniu 1970. A przecież faktów tych nie kojarzono na ogół z Jaruzelskim: to dopiero dziś wytaczamy mu proces „za grudzień", choć zarazem milczymy o tym, czego wówczas nawet się nie domyślano: że to m.in. on przyczynił się do usunięcia faktycznego sprawcy masakry – Władysława Gomułki. (…)

Jaruzelski, człowiek sfinks, zagościł w mym życiu już nieco wcześniej, bo w lutym 1981 r. Po Józefie Pińkowskim (czy ktoś jeszcze pamięta to nazwisko?) stanął wtedy na czele PRL-owskiego rządu i fakt ten przyjęto z euforią. (…)

A jednak to właśnie Jaruzelski, choć nie był kojarzony z partyjnym betonem, zaczął – tak się wydawało – już po paru miesiącach przeć do konfrontacji. Na koniec zastąpił chwiejnego Stanisława Kanię, porozstawiał wojskowych na kluczowych stanowiskach, dokonał kilku prób logistycznych... I wreszcie 13 grudnia 1981 r. wtargnął już bez reszty w moje – i nasze – życie.

Berg czy Murawjow?

Czyli oszukał nas. Mówił o porozumieniu, a zafundował nam stan wojenny. Zwrócił polskie wojsko nie przeciw hipotetycznemu najeźdźcy, lecz przeciw własnemu narodowi. To on, wyprowadzając wojsko z koszar, spowodował, że pojawiły się ofiary śmiertelne. To on powołał na rzecznika swego rządu Jerzego Urbana, co tydzień na konferencjach prasowych nurzającego naród w błocie. Tak uważałem wtedy.

Nienawiść, jaką budzi Jaruzelski, bierze się nie tylko z 13 grudnia, ale z tego, że ucieleśnia trudną do zrozumienia PRL.

Bo wtedy nie mogłem Jaruzelskiemu darować. Jego miejsce widziałem w szeregu tych, którzy mieniąc się Polakami, z patriotycznym frazesem na ustach, realizowali w Polsce interes Rosji. Dlatego publikowałem eseje, w których pod maską historyczną ukazywałem generała w postaci np. Fiodora Berga, tłumiącego w Warszawie powstanie styczniowe. Berg przecież – starałem się dowieść – również realizował „linię porozumienia i walki". W przeciwieństwie do topiącego Litwę w krwi Murawjowa – „Wieszatiela"...

A jednak nawet w tamtych czasach nie wszystkie analogie były proste. Dziwiłem się, że moje eseje, z aluzjami aż nadto przejrzystymi, cenzura jednak puszczała. Lecz przede wszystkim nie znajdowałem odpowiedzi na pytanie zasadnicze: o cel naszej – stłumionej przez Jaruzelskiego – walki. Znałem ZSRR i mentalność człowieka sowieckiego, nie mogłem więc sobie wyobrazić polskiej enklawy solidarnościowej, otoczonej ze wszystkich stron Bratnimi Krajami. (…)

Miesiące stanu wojennego wspominam jak koszmar. Ale przeżyłem je na wolności – co mają powiedzieć ci, co byli internowani? I ci, którym wytoczono procesy? A co mają rzec rodziny zabitych? IPN doliczył się stu ofiar śmiertelnych – wprawdzie nie tylko stanu wojennego, lecz całej dekady lat 80. Ale nie włączył już do tej listy sierżanta Zdzisława Karosa – 32-letniej ofiary bratobójczego konfliktu, tym razem po stronie władzy. Czyli: liczba ofiar była większa, zresztą o wielu z nich już nigdy nie będziemy wiedzieć. Jakkolwiek by jednak patrzeć, upływ krwi w stanie wojennym nie wytrzymuje porównania z żadnym powstaniem narodowym. Ani nawet z zamachem majowym Józefa Piłsudskiego, który w trzech tylko dniach kosztował życie co najmniej 379 osób. Tak, Jaruzelski nas oszukał, wprowadził stan wojenny podstępem, z zaskoczenia... czy jednak nie zaoszczędził przez to narodowi ofiar, które w przeciwnym razie można by liczyć na tysiące?

Bo przecież był to najbardziej bodaj liberalny stan wyjątkowy w historii świata. (…)

Ślepowron w komunizmie

Wojciech Jaruzelski, rocznik 1923. Jego daleki kuzyn: Zbigniew Cybulski. Jego klasowy rywal na lekcjach polskiego w latach 30.: Tadeusz Gajcy. Ziemiańska rodzina, herb Ślepowron, tradycja powstańcza, wychowanie katolickie, gimnazjum

eprasa.pl bc8ef8ba4f

Okrągły Stół i cały polski rok 1989 wyniknęły z jednej decyzji. Jaruzelski wcale nie musiał jej podejmować. Nz. z Lechem Wałęsą w trakcie obrad.

ojców Marianów... Kogo to dziś interesuje? Przecież zawsze można powiedzieć: tym gorzej dla generała, skoro wszystkie te wątki od siebie odepchnął, skoro poszedł na służbę do wroga.

Czy jednak aby na pewno? Jakkolwiek by patrzeć, zawsze pozostaje w tej biografii coś, co niepokoi. Tym czymś jest polski los. Zesłanie. Obecność Syberii. Co z tego, że ci, którzy dokonywali restytucji porządków sowieckich w swoich krajach – János Kádár czy Gustáv Husák – też byli ofiarami bolszewickich represji? Wszak doświadczali tego jako komuniści: zapisując się do kompartii, musieli zaakceptować reguły gry. Jaruzelski odwrotnie: trafił na Sybir jako 16-letni chłopak – Polak, katolik i „obszarnik", wróg ludu i wróg klasowy. Więc najpierw szlak Anhellego, a potem wspólna z Rosją walka z Niemcami? Cóż, bój z Niemcami u boku Rosji nie był w naszej historii czymś wyjątkowym: świadczą o tym Korpusy Polskie w I wojnie światowej.

Lecz przecież w II wojnie to nie była Rosja – to były Sowiety. Więc Jaruzelski to sowiecki janczar? Wraca uparcie informacja, że był on jedynym generałem, który w październiku 1956 r. opowiedział się za pozostaniem w Polsce marsz. Rokossowskiego – czy jednak jest jakiś dokument w tej sprawie? Ale i bez tego epizodu biografia Jaruzelskiego zawiera różne zawiłości. Pytanie zasadnicze brzmi bowiem tak: czym były jego wybory ideowe, polityczne, światopoglądowe? Najprościej wzruszyć ramionami i rzec, że były to wybory koniunkturalne. Ale w ten sposób można napiętnować każdego.

Pomyślmy szerzej: czym były wybory ideowe ludzi pokolenia Jaruzelskiego? Przecież w młodości ujrzeli oni rzecz najstraszniejszą: zagładę swego państwa, eksterminację krewnych, sąsiadów, znajomych... Gdy zaś wywołali powstanie, rezultatem ich działań stała się śmierć 200 tys. osób, zamienienie stolicy Polski w pole ruin. Dla tego pokolenia polskość znaczyła więc odtąd: tragedia. Ale zarazem łączyła się z imperatywem odpowiedzialności. A w tym imperatywie można było, a pewnie nawet było trzeba, porzucić – choćby chwilowo – ideę Polski niepodległej. Wszak idea ta zaczynała wchodzić w kolizję z samym istnieniem narodu... A naród musiał wpierw wyleczyć wojenne rany, zakorzenić się w nowych siedzibach, zacząć się rozwijać, tworzyć gospodarkę i kulturę. Musiał czekać na lepszą koniunkturę. Ale, by było komu czekać, naród musiał istnieć. Choćby w obcym, bolszewickim odzieniu.

Ukoronowaniem przemian stały się dni 16-18 stycznia 1989 r. Kto dziś o nich pamięta?

Nie twierdzę, że taka była motywacja młodego Jaruzelskiego. Myślę nawet, że rzecz się miała odwrotnie: że oddziałała na niego uwodzicielska siła komunizmu. Na kogo

FOT. EAST NEWS

eprasa.pl bc8ef8ba4f

jednak w tym czasie nie oddziałała! Ale – powtórzmy – to także dlatego życiorys ten tak zastanawia. Bo jest biografią tragiczną – tak jak tragiczną była biografia jego rówieśników: słynnego niegdyś „rocznika 1920". Jak jednak ten tragizm tłumaczyć w Polsce dzisiejszej – z jej kultem żołnierzy wyklętych? (…)

(…) Owszem: Jaruzelski skierował broń przeciw rodakom. I nawet uczynił to trzykrotnie. Pierwszy raz, gdy w latach 40. walczył – jak mawiał – z „bandami". Drugi raz, gdy w grudniu 1970 r. podległe mu jednostki pacyfikowały Wybrzeże. Trzeci raz, gdy w grudniu 1981 wprowadził stan wojenny. Tylko co z tego ma wynikać? Poruszał się przecież w realiach ery pojałtańskiej. Służył Polsce wasalnej, bo innej realnie nie było, i ponosił konsekwencje tej służby. Dlatego we wnioskach bądźmy ostrożni. Także dlatego, że – jeśli odejmiemy okres stalinowski – Polska Ludowa pod względem liczby ofiar ustępowała – i to znacznie – tak dziś sławionej II Rzeczypospolitej.

Ta polska odmienność była dla Moskwy zawsze niepokojąca, a w roku 1981 wyrosła na realne dla niej zagrożenie. Dlatego została skazana na zagładę już w następnym kroku – zaraz po zniszczeniu Solidarności. Ocalała, jak się wydaje, dlatego że Jaruzelski miał w garści argument podstawowy: polski problem rozwiązał, choćby nawet połowicznie, ale sam, własnymi siłami. (…)

Sceptyk powie: dlaczego Jaruzelski nie przyjął w żagle ciepłego wiatru wiejącego z Kremla Gorbaczowa? Ten zarzut, bezustannie powtarzany, jest jednak ahistoryczny. Wszak Jaruzelski musiałby być szaleńcem, gdyby przy wszelkich politycznych zaszłościach, przy wciąż działającej w KPZR „komisji do spraw Polski", przy nieugruntowanej jeszcze pozycji Gorbaczowa i przy nader z początku niejednoznacznej jego postawie w polskich sprawach natychmiast w roku 1985 rozpoczął w PRL odwilż. A przecież w porównaniu z Honeckerem, Husákiem, Żiwkowem czy Ceauşescu – to właśnie on nawiązał z Gorbaczowem stosunki najserdeczniejsze. Uczynił to późno? Myślę, że najszybciej, jak było możliwe.

Polska Ludowa pod względem liczby ofiar ustępowała – i to znacznie – tak dziś sławionej II Rzeczypospolitej.

Powiedzmy natomiast jedno: gdy Jaruzelski sprawował funkcje kierownicze, gdy coś już od niego zależało, nie był bezdusznym satrapą. Nie był nim również w stanie wojennym. Nie tylko dlatego, że wprowadził stan relatywnie łagodny, że według wszelkiego prawdopodobieństwa zapobiegł przelewowi krwi na niewyobrażalną skalę, że być może uchronił Polskę przed strefami okupacyjnymi, mogącymi przekreślić szanse narodowej emancypacji w przyszłości. Także dlatego, że przez stan wojenny zrujnował – chcąc nie chcąc – podstawy ideologiczne PRL: wszak jego wprowadzenie tłumaczono racjami „państwowymi", a nie „rewolucyjnymi", „internacjonalistycznymi"... Jeszcze istotniejsze było zaś ocalenie polskiej odmienności, zrodzonej jeszcze w gomułkowskim Październiku: prywatnego rolnictwa, niezależnego Kościoła, szczątkowego politycznego pluralizmu...

O ile więc X Zjazd PZPR z czerwca 1986 (rok po dojściu do władzy Gorbaczowa) zaprezentował jeszcze twardą linię, to pod koniec tego roku zaczęła działać Rada Konsultacyjna przy Przewodniczącym Rady Państwa (Jaruzelskim), a w roku następnym pojawiła się instytucja Rzecznika Praw Obywatelskich. Posunięć tego typu dałoby się wymienić jeszcze trochę. (…)

Kontrrewolucjonista

Ukoronowaniem wciąż jeszcze sterowanych przemian stały się dni 16–18 stycznia 1989 r. Kto dziś o nich pamięta? Naszą narrację o przeszłości tworzą IPN i stabloidyzowane media. I jest to narracja, dla której nie ma alternatywy: istnieje w niej dobro i zło, światłość i ciemność – biada, gdy te porządki zostają wymieszane. Tymczasem Wojciech Jaruzelski wymyka się takim schematom. Nienawiść, jaką budzi, bierze się nie tylko, i nie przede wszystkim, z 13 grudnia. Nienawidzimy go, bo ucieleśnia trudną do zrozumienia PRL. Nienawidzimy, bo jest niemożliwy do jednoznacznego zaszeregowania.

Dlatego tym bardziej warto przypomnieć tamte przełomowe dni. W obliczu zaostrzającego się kryzysu, naciskany przez Lecha Wałęsę, Jaruzelski, I sekretarz KC PZPR i przewodniczący Rady Państwa PRL, postawił sprawę relegalizacji Solidarności na plenum Komitetu Centralnego swej partii. Ponieważ spotkał się ze sprzeciwem, zażądał dla siebie wotum zaufania, grożąc, że w przeciwnym razie odejdzie ze wszystkich stanowisk. To samo oświadczyli współdziałający z Jaruzelskim generałowie Czesław Kiszczak (szef policji) i Florian Siwicki (szef armii), a także premier Mieczysław Rakowski. Zaszantażowane w ten sposób plenum udzieliło Jaruzelskiemu niemal jednomyślnego poparcia, a potem – przy 32 głosach przeciwnych, 14 wstrzymujących i 143 głosach „za" – przyjęło „stanowisko w sprawie pluralizmu związkowego i politycznego".

Lubimy deklamować o zasługach Solidarności. A przecież Okrągły Stół i cały polski rok 1989 wyniknęły z tej jednej decyzji. Jaruzelski wcale nie musiał jej podejmować. Mógł nie chcieć Okrągłego Stołu. Sytuację miał opanowaną. Strajki z poprzedniego roku wygasły. Pozostawało pytanie, „co dalej", ale nad tym nie miał obowiązku się zastanawiać. (…)

Jaruzelski, wymuszając na partii zgodę na „pluralizm związkowy i polityczny", musiał rozumieć, że oznacza to perspektywę podzielenia się władzą lub nawet oddania władzy. Wszak czym innym była legalizacja Solidarności jesienią 1980 r., gdy nie odsłoniła ona jeszcze oblicza „antysocjalistycznego" i gdy ten akt miał oblicze chwilowe i taktyczne, a czym innym później, gdy chodziło o trwałą instytucjonalizację pluralizmu. Jaruzelski, I sekretarz KC PZPR, rozpoczął w Polsce faktyczną – w dodatku metodycznie przygotowaną – kontrrewolucję. Za coś takiego jeszcze niedawno groziła kula w łeb.

eprasa.pl bc8ef8ba4f

Ale były to już czasy Gorbaczowa i zimą 1989 r. Polska znalazła się w awangardzie pierestrojki. Dlaczego o tym zapomnieliśmy? Dlaczego pozwoliliśmy, by pamięć narodowa uległa wyczyszczeniu? Mam przed sobą ostatnio wydaną „Historię polityczną Polski 1989–2012" autorstwa IPN-owskiego historyka, prof. Antoniego Dudka. Styczniowy przełom 1989 roku został tam skwitowany sześcioma linijkami i ani słowem nie wspomniano o pokerowej rozgrywce Jaruzelskiego (dla porównania: sprawie oświadczeń podatkowych Włodzimierza Cimoszewicza poświęcono 31 wersów). Niezdolność historyków IPN-owskich do odróżniania rzeczy istotnych od błahych jest aż zabawna w swej jaskrawości. (…)

Ojciec niepodległości

Z drogi obranej w styczniu 1989 r. Jaruzelski nie zszedł już ani na milimetr. Zwołał – delegując do tej sprawy gen. Kiszczaka – Okrągły Stół. Zgodził się na półwolne wybory. Przegrał je sromotnie w czerwcu tego roku, więc oczekiwano (tego się spodziewał np. Jan Rokita), że sięgnie po środki nadzwyczajne, wprowadzi nowy stan wojenny. A jednak wyniki, tak upokarzające dla władzy, Jaruzelski uszanował. W lipcu został przez Zgromadzenie Narodowe wybrany pierwszym w dziejach (i ostatnim, jak się okazało) prezydentem PRL. Ceremonia ta znów jednak była dlań upokarzająca, bo przeszedł tylko jednym głosem. Lecz mimo to zadeklarował, że chce być „prezydentem porozumienia, reprezentantem wszystkich Polaków". Wkrótce potem desygnował na premiera gen. Kiszczaka – i przegrał po raz kolejny. Wyczerpał więc wszystkie środki odświeżenia starego reżimu – pozostały mu raz jeszcze środki nadzwyczajne, a tych raz jeszcze nie użył. Ostatecznie – w sierpniu – misję tworzenia rządu powierzył Tadeuszowi Mazowieckiemu. Jednemu z liderów Solidarności.

W ten sposób obóz komunistyczny, zainstalowany niegdyś w Polsce przez Stalina, pokojowo oddał władzę. Jaruzelski doprowadził ten obóz do narodu, nie ryzykując przy tym kolizji z Kremlem. I to jest jego zasługa trudna do przecenienia, całkowicie wystarczająca do zajęcia trwałego miejsca w polskiej historii – miejsca po „jasnej stronie mocy". Ale rola generała była jeszcze wtedy daleka od wyczerpania. Jako prezydent PRL, a następnie pierwszy prezydent III Rzeczypospolitej, mógł nadal wiele. W dalszym ciągu miał w ręku wszystkie instrumenty, z armią włącznie. Mógł więc przynajmniej przeszkadzać. Opóźniać. Bojkotować. Robić na złość. Wkładać kij w szprychy. Wetować. Odmawiać podpisu. Kłócić się, kto ważniejszy. Tymczasem ten dawny pogromca Solidarności lojalnie współdziałał z Solidarnością. Tak, jeżeli niegdyś zdradził II RP, przystając do komunistów, to teraz zdradził PRL i system, który ją stworzył. Nad likwidującym komunizm rządem Mazowieckiego rozpiął – na zewnątrz i od wewnątrz – parasol ochronny. Na zewnątrz, bo dla Moskwy był gwarantem, że Polska nie posunie się za daleko. Od wewnątrz, bo, jak mawiał Krzysztof Kozłowski: „wystarczyłby bunt jednego batalionu, a rząd zostałby zmieciony". Bez Jaruzelskiego, bez jego lojalnego współdziałania, Mazowiecki z Balcerowiczem nie dokonaliby w Polsce zmiany systemu. Ba! bez Jaruzelskiego nie byłoby europejskiej Jesieni Ludów: to przecież on wskazał Bratnim Przywódcom drogę wyjścia z sytuacji bez wyjścia.

Na tego „nowego" generała patrzyłem w roku 1989 z osłupieniem. W Turowiczowym „Tygodniku Powszechnym" nazwałem go „polskim Imre Nagyem". Sam przestraszyłem się tej analogii i pobiegłem po opinię do zastępcy redaktora naczelnego Mieczysława Pszona. „O co chodzi – usłyszałem – to sformułowanie jest bardzo trafne".

Wiatr historii

Taka więc byłaby logika tego życiorysu? Od patriotyzmu II RP przez patriotyzm PRL-owski do patriotyzmu III Rzeczypospolitej? Droga człowieka, dla którego wartością nadrzędną było państwo polskie? Człowieka, który konkurenta odepchnął, lecz nie zniszczył? Który wtłoczył go do zamrażarki w czasie Breżniewa, by go wyciągnąć w czasie Gorbaczowa? Nie, nie uważam, by Jaruzelski był cały czas kreatorem tych wydarzeń. Nawet jestem pewien, że w grudniu 1981 r. bronił nie tylko Polski, lecz systemu, choć czy było wtedy możliwe polskie państwo poza systemem? Pewien też jestem, że gdy w styczniu 1989 złamał partię, której przewodził, nie chciał restytucji kapitalizmu. I może nawet obawiał się dla Polski pełnej niepodległości. Widać też było, jak do końca usiłował zachować władzę w rękach swego obozu. Co z tego jednak? Gorbaczow, inaugurując pierestrojkę, też nie chciał rozpadu ZSRR. Obu tych ludzi porwał prąd wydarzeń, ów „wiatr historii", w którym skrzydła rosną jednak tylko niektórym.

Gdy Jaruzelski sprawował funkcje kierownicze, jeśli coś już od niego zależało, nie był bezdusznym satrapą.

Kilka lat temu, widząc, jak przed domem Jaruzelskiego odbywają się grudniowe seanse nienawiści, jak IPN-owski prokurator oskarża go o utworzenie zbrojnego gangu, a tabloidy rechoczą na temat możliwej jego degradacji do stopnia szeregowca – uznałem, że moją (naszą?) powinnością jest go bronić. I tak, w kilku artykułach i książkach, trwała ta moja obrona – do czasu, gdy w październiku 2009 r. Jaruzelski wszedł w moje życie raz jeszcze. Odwiedził wtedy Kraków, a mnie usadzono na obiedzie obok niego. Pierwszy raz przyszło mi wówczas z nim rozmawiać. I nie miałem już wątpliwości: to „polski Imre Nagy". O ileż jeszcze większy, skoro mu się udało.

Cały tekst znajduje się w książce Andrzeja Romanowskiego *Pamięć gromadzi prochy. Szkice historyczne i osobiste*, Universitas, Kraków 2021.

Pierwotnie ukazał się w „Gazecie Wyborczej", 6-7 lipca 2013.

eprasa.pl bc8ef8ba4f

Ukarać Polskę

Straty gospodarcze spowodowane przez sankcje Zachodu, głównie amerykańskie, wyniosły ok. 15 mld dol.

Bohdan Piętka

Wprowadzenie 13 grudnia 1981 r. stanu wojennego przez władze PRL wywołało negatywną reakcję Zachodu, która miała charakter wielowymiarowy – od propagandy i wojny ideologicznej po sankcje gospodarcze. Stan wojenny oznaczał koniec 16-miesięcznego „karnawału Solidarności", z którym w bloku zachodnim, a zwłaszcza w USA, wiązano nadzieje na tzw. rozmiękczenie obozu światowego komunizmu. Wydarzenia rozgrywające się w Polsce po 13 grudnia 1981 r. trafiły na czołówki mediów całego świata. Szczególnie nagłaśniane były w mediach zachodnich – przez wiele tygodni, a nawet miesięcy, stały się tam najważniejszym tematem serwisów informacyjnych w prasie, radiu i telewizji.

Medialne oburzenie na stan wojenny w Polsce, nierzadko połączone z wyolbrzymianiem rzeczywistych represji wobec zdelegalizowanej Solidarności i ofiar (np. informacja o rzekomej śmierci Tadeusza Mazowieckiego w pierwszych dniach stanu wojennego), bynajmniej nie korespondowało z rzeczywistym stanowiskiem wielu polityków zachodnich. Pierwsze reakcje przywódców Francji i RFN na wprowadzenie stanu wojennego były wstrzemięźliwe. Na przykład francuski minister spraw zagranicznych Claude Cheysson, zapytany o to, czy jego kraj zamierza podjąć jakieś kroki w odpowiedzi na wydarzenia w PRL, odparł: „Absolutnie nie. Oczywiście nic nie zrobimy". W niektórych mediach zachodnich („Die Zeit", „Times", „Washington Post") między słowami oburzenia na „juntę Jaruzelskiego" przejawiała się jednak ulga, że „polski kryzys" został rozwiązany polskimi rękami, bez interwencji zbrojnej wojsk radzieckich, co groziłoby zaostrzeniem wielowymiarowej konfrontacji pomiędzy blokiem wschodnim a zachodnim (reakcją amerykańską na interwencję radziecką w Polsce mogła być np. inwazja na Kubę).

Świeczka w oknie

Tę ulgę musiała odczuwać także administracja USA, która plan wprowadzenia stanu wojennego w Polsce znała z miesięcznym wyprzedzeniem, dzięki informacjom przekazanym przez płk. Ryszarda Kuklińskiego po jego ucieczce z Polski 8 listopada 1981 r. Jak wiadomo, Waszyngton nie uczynił nic, by o grożącym niebezpieczeństwie zawiadomić Solidarność. Oficjalnie jednak administracja Ronalda Reagana zareagowała na stan wojenny gwałtownym potępieniem władz PRL i propagandowym, a następnie materialnym wsparciem dla zdelegalizowanej Solidarności. 24 grudnia 1981 r. prezydent Reagan zapalił świeczkę w oknie Białego Domu i stwierdził, że jest to „mały, ale znaczący wyraz naszej solidarności z Polakami". Najbardziej spektakularną akcją propagandową ze strony USA było zorganizowanie 30 stycznia 1982 r. międzynarodowego Dnia Solidarności z Narodem Polskim. Dzień później został wyemitowany w amerykańskiej telewizji 90-minutowy program dokumentalno-artystyczny „Let Poland be Poland", którego tytuł był nawiązaniem do piosenki Jana Pietrzaka „Żeby Polska była Polską". W programie

FOT. LIBRARY OF CONGRESS

eprasa.pl bc8ef8ba4f

Administracja Ronalda Reagana zareagowała na stan wojenny potępieniem władz PRL i propagandowym oraz materialnym wsparciem dla zdelegalizowanej Solidarności.

tym wystąpiło wielu ważnych polityków z 14 państw zachodnich (m.in. prezydent Francji François Mitterrand i kanclerz RFN Helmut Schmidt) oraz znanych artystów (Kirk Douglas, Henry Fonda, Frank Sinatra, Max von Sydow i in.).

W państwach zachodnich organizowano też manifestacje sprzeciwu wobec stanu wojennego. W demonstracji zorganizowanej przez pięć central związkowych w Paryżu 14 grudnia 1981 r. miało wziąć udział 100 tys. osób. Natomiast od 17 do 31 grudnia 1981 r. trwała nieprzerwanie przez 24 godziny na dobę manifestacja przed ambasadą PRL w Londynie, określana jako „warta wolności". Wyrażano także dezaprobatę dla tych polityków zachodnich, którzy zajęli wyważone stanowisko wobec wydarzeń w Polsce. Przykładem tego była manifestacja w Paryżu, podczas której domagano się dymisji ministra Cheyssona z powodu jego wspomnianej wyżej wypowiedzi.

Pretekstem do zaostrzenia retoryki i stanowiska zarówno administracji amerykańskiej, jak i początkowo wstrzemięźliwych przywódców Europy Zachodniej stała się pacyfikacja kopalni Wujek w Katowicach 16 grudnia 1981 r., w wyniku której zginęło na miejscu sześciu górników, a trzech dalszych zmarło z ran.

Spośród wszystkich państw bloku atlantyckiego to USA zareagowały na stan wojenny najostrzej. Już 14 grudnia 1981 r. Biały Dom zakomunikował o wstrzymaniu pomocy gospodarczej dla PRL, której wartość wynosiła 740 mln dol. Poinformował też o braku zgody na odroczenie płatności polskiego zadłużenia wobec Stanów Zjednoczonych. Wznowienie zablokowanej pomocy uzależnione zostało od zniesienia przez władze w Warszawie stanu wojennego. Dopiero jednak wydarzenia w kopani Wujek dały Waszyngtonowi formalny powód do wprowadzenia daleko idących sankcji ekonomicznych wobec PRL. Oficjalne ogłoszenie pakietu tych sankcji nastąpiło 23 grudnia 1981 r.

Obejmowały one zamrożenie oficjalnych kontaktów z PRL, zawieszenie rządowych gwarancji na kredyty, zakaz połowu na amerykańskich wodach terytorialnych, wstrzymanie dostaw dla polskiego rolnictwa, częściowe zawieszenie współpracy naukowej i technicznej, zablokowanie Polsce dostępu do nowych technologii i zamknięcie amerykańskiej przestrzeni powietrznej dla samolotów PLL LOT.

Najdotkliwsze były zablokowanie wejścia PRL do Międzynarodowego Funduszu Walutowego i odebranie w październiku 1982 r. – w reakcji na ostateczną delegalizację Solidarności – klauzuli najwyższego uprzywilejowania w handlu ze Stanami Zjednoczonymi, którą Polska cieszyła się od 1960 r. W kolejnych tygodniach do sankcji gospodarczych wobec Polski przyłączyły się czołowe państwa Europy Zachodniej. Ich pakiet obejmował głównie restrykcje kredytowe, twardą egzekucję płatności rat polskiego zadłużenia zagranicznego oraz bojkot dyplomatyczny. Na przykład w lutym 1982 r. Wielka Brytania zawiesiła rozmowy na temat restrukturyzacji długu PRL, anulowała przyznane kredyty i zrezygnowała z dostaw żywności do Polski. Wspólnym stanowiskiem politycznym USA i ich partnerów z Europy Zachodniej stało się potępienie stanu wojennego, żądanie jego zniesienia i rozpoczęcia dialogu władz PRL z Solidarnością. Były to zarazem warunki zniesienia sankcji gospodarczych.

Rząd sam się wyżywi

Równocześnie Stany Zjednoczone rozpoczęły akcję propagandową, w której podkreślały, że sankcje są skierowane przeciw reżimowi komunistycznemu, a nie polskiemu społeczeństwu, wobec którego Waszyngton deklarował solidarność i sympatię. Taką narrację przyjęły też podziemna Solidarność i nielegalna opozycja antykomunistyczna. Niestety, sankcje USA i Zachodu uderzyły nie w reżim, ale właśnie w społeczeństwo i jego poziom życia, co złośliwie dał do zrozumienia rzecznik prasowy rządu PRL Jerzy Urban, informując zachodnich dziennikarzy, że „rząd sam się wyżywi". Dodał, że Polska Ludowa nie jest kolonią USA i sama da sobie radę. Jak pokazał późniejszy bieg wypadków – nie dała sobie rady.

Gospodarka PRL znajdowała się w postępującym kryzysie od końca lat 70. XX w. Nie była to wina wyłącznie ekipy Edwarda Gierka. Już pod koniec lat 50. władze miały świadomość, że model gospodarczy przeszczepiony do Polski z ZSRR nie działa. Podejmowane po 1956 r. próby jego reformowania były skazane na niepowodzenie z powodu, z jednej strony, braku woli takich zmian w samym ZSRR, a z drugiej – przez faktyczną niereformowalność systemu gospodarki planowej i nakazowo-rozdzielczej. To z czasem musiało doprowadzić do trwałego kryzysu systemowego. Wydarzenia z lat 1980-1981 kryzys ten znacząco pogłębiły i gospodarka PRL znalazła się na równi pochyłej. Sankcje gospodarcze USA zadały jej cios dodatkowy i bardzo dotkliwy. Istotny wpływ na tę dotkliwość miało uzależnienie PRL od głównych państw kapitalistycznych w sferze eksportu i dostaw oraz dostępności kredytów.

Sankcje USA i Zachodu uderzyły nie w reżim, ale w społeczeństwo polskie i jego poziom życia.

Jednym z najbardziej negatywnych dla gospodarki PRL posunięć sankcyjnych Waszyngtonu było zawieszenie gwarancji dla kredytów, których socjalistyczna gospodarka polska bardzo w tym czasie potrzebowała z powodu braku środków na spłatę odsetek i import żywności. Brak amerykańskiej gwarancji dla kredytów sprawił, że rząd PRL miał problemy nawet z pokryciem zapotrzebowania na przydziały kartkowe żywności. Dotkliwy był również sprzeciw USA wobec wejścia PRL do Międzynarodowego Funduszu Walutowego, w którym

eprasa.pl bc8ef8ba4f

widziano szansę na pozyskanie nowych kredytów.

Bolesny dla kwestii wyżywienia Polski był też zakaz połowu na wodach amerykańskich. Polskie trawlery odławiały tam wówczas ok. 200 tys. ton ryb rocznie, czyli tyle, ile pozyskiwano z Bałtyku. Nie mniej ciężkie było amerykańskie embargo na dostawy dla polskiego rolnictwa, zwłaszcza środków do produkcji pasz i nawozów sztucznych. Pogłębiło to znacznie kryzys żywnościowy w Polsce.

W październiku 1983 r. premier Jaruzelski powołał zespół roboczy ds. koordynacji działań zmierzających do dochodzenia rekompensat za straty i szkody wyrządzone polskiej gospodarce w wyniku restrykcji USA i innych państw zachodnich. Na jego czele stanął członek Biura Politycznego KC PZPR i minister spraw zagranicznych Stefan Olszowski. Działalność tego zespołu miała w zasadzie charakter propagandowy. Zachęcano polskie przedsiębiorstwa do zaskarżania władz amerykańskich za poniesione straty i nieosiągnięte korzyści. Do tego samego namawiano zachodnich kontrahentów. Przygotowywano akcję dyplomatyczną w ONZ i w Europejskiej Komisji Gospodarczej oraz wśród państw należących do Układu Ogólnego w sprawie Ceł i Handlu (GATT). 3 listopada 1983 r. skierowano też notę protestacyjną do Waszyngtonu. Niewiele to jednak pomogło borykającej się z kryzysem gospodarce PRL. Kierujący tymi działaniami Stefan Olszowski, po usunięciu go z funkcji partyjnych i państwowych w listopadzie 1985 r., sam wyjechał w 1986 r. na stałe do USA, co można uznać za chichot historii.

Wobec problemów spowodowanych przez sankcje amerykańskie ekipa Jaruzelskiego została sama.

Pierwszą reakcją władz na sankcje amerykańskie było wysłanie pod koniec grudnia 1981 r. ministra handlu zagranicznego PRL Tadeusza Nestorowicza do Moskwy. Efektem jego wizyty było podpisanie umowy o obrotach towarowych z ZSRR, której celem było zastąpienie dostaw amerykańskich. Na dłuższą metę okazało się to jednak niemożliwe, ponieważ gospodarka radziecka borykała się z identycznym systemowym kryzysem gospodarczym, pogłębionym zaangażowaniem militarnym ZSRR w Afganistanie. Faktu tego nie ukrywał Leonid Breżniew w rozmowach z Wojciechem Jaruzelskim wiosną 1982 r. Wobec problemów wywołanych przez sankcje amerykańskie ekipa Jaruzelskiego została więc sama.

Chichot historii

Podstawowymi mechanizmami napędzania gospodarki PRL w latach 1982-1984 stały się wydłużenie czasu pracy oraz zmiany w strukturze importu. W 1983 r. udało się dzięki temu zahamować spadek dochodu narodowego, spowodowany m.in. sankcjami gospodarczymi, ale w 1985 r. dochód ten był nadal o 20% niższy od poziomu z roku 1979. Polska gospodarka coraz bardziej odczuwała rezultaty sankcji amerykańskich i zachodnioeuropejskich. Wyjątkowo trudny stał się rok 1983, a czytelnym tego znakiem było zniesienie i przywrócenie po kilku miesiącach reglamentacji tłuszczów.

Władze PRL oszacowały, że straty gospodarcze spowodowane przez sankcje zachodnie, głównie amerykańskie, wyniosły ok. 15 mld dol. Były to straty poważne, które niewątpliwie stały się jednym z czynników pogłębiających erozję gospodarczą PRL, co zakończyło się upadkiem tzw. realnego socjalizmu i transformacją gospodarczą Polski w kierunku kapitalizmu. Pod tym względem, jako część strategii tzw. rozmiękczania światowego komunizmu, wprowadzone pod koniec 1981 r. sankcje amerykańskie i zachodnioeuropejskie okazały się skuteczne ekonomicznie i politycznie.

Sankcje te zostały po raz pierwszy złagodzone rok po drugiej pielgrzymce papieża Jana Pawła II do ojczyzny w czerwcu 1983 r. i zniesieniu stanu wojennego 22 lipca 1983 r. oraz związanej z tym częściowej amnestii dla więźniów politycznych. Do całkowitego zniesienia sankcji zaczęło z czasem nawoływać kierownictwo podziemnej Solidarności z Lechem Wałęsą na czele. Apel o zniesienie sankcji Wałęsa wystosował 5 grudnia 1983 r. Apelowała też o to Polonia amerykańska, a jej inicjatywę wspierało otoczenie Jana Pawła II. W 1984 r. administracja USA cofnęła zakaz połowów na swoich wodach, zakaz lotów dla PLL LOT oraz sprzeciw wobec wejścia PRL do MFW. Wpływ na dalsze łagodzenie sankcji miały odwilż w stosunkach Wschód-Zachód, która nastąpiła po rozpoczęciu w 1985 r. pierestrojki w ZSRR, kolejne amnestie dla więźniów politycznych w PRL z 21 lipca 1984 i 17 lipca 1986 r. oraz czynione już w tym czasie przygotowania władz PRL do dialogu z opozycją. Stany Zjednoczone zniosły ostatecznie wszelkie sankcje wobec Polski 19 lutego 1987 r.

Bohdan Piętka

eprasa.pl bc8ef8ba4f

Krystyna Badurka-Rytel

Matkom tamtych lat

W 1945 r. tatuś był wójtem gminy Sterdyń. Pojechał na zebranie. Już nie wrócił. Została 32-letnia mama z piątką dzieci

Był rok 1945. Mieszkałam wtedy z rodziną na Podlasiu, we wsi Łazów, 4 km od Bugu. 11 kwietnia po południu tata pojechał rowerem do Sterdyni na zebranie. Od trzech miesięcy był wójtem gminy Sterdyń. Mama mówiła, że ja, jak nigdy wcześniej, przytuliłam się przedtem do jego nóg i strasznie płakałam. Powiedziała wtedy: „Feluś, nie jedź dzisiaj, zobacz, jak Krysia płacze". Tatuś odparł: „Daj spokój, to przecież dziecko, za chwilę przestanie".

Pojechał i już nie wrócił. Została 32-letnia mama z piątką dzieci: najstarszy brat miał 12 lat, siostra 10, druga siostra 6, ja 4 i najmłodszy braciszek 4 miesiące. Kilka dni wcześniej na drzwiach naszego domu przybito kartkę z napisem: „Do Badurki, jak nie zrezygnujesz z urzędu, zginiesz". W archiwum znalazłam opis tej sytuacji. Mama pojechała natychmiast do Sterdyni i w obecności komendanta milicji błagała ojca, żeby się wycofał. Tata odpowiedział: „Nikomu nie wyrządziłem żadnej krzywdy, nie muszę się niczego bać". Mama nalegała, żeby przynajmniej chodził z bronią. Odmówił: „Walczyłem z Niemcami, do Polaków strzelać nie będę".

Kilka tygodni po zaginięciu mojego ojca został zastrzelony następny wójt gminy Sterdyń, Rusiniak, a rok później na oczach czwórki dzieci zamordowano jego żonę.

Stanisława Badurka 1912-1969

Feliks Badurka 1905-1945

Na honorowym miejscu w Sterdyni stoi dziś pomnik „Sokolika", któremu władze państwowe i kościelne składają hołdy jako bohaterowi.

Mieszkańcy Podlasia byli wtedy panicznie przerażeni. Uzbrojone bandy zdeprawowanych wojną młodych „partyzantów" wykonywały wyroki śmierci na ludziach, których wskazali ich dowódcy „z lasu". Nie było żadnych spotkań, rozmów ani sąsiedzkich odwiedzin. Szeptem przekazywano sobie tragiczne wieści.

Mama wiele razy jeździła nad Bug i oglądała wyłowione z rzeki ciała pomordowanych mężczyzn. To były ofiary „leśnych" – dzisiejszych „bohaterów", którym stawiane są pomniki. Pewnego dnia na drzwiach domu zawisła kolejna kartka: „Jak będziesz dochodziła, co stało się z twoim mężem, zginiesz jak on". Od tego czasu ze względu na nas mama postępowała bardzo ostrożnie. Pewnego razu zauważyła na palcu matki jednego z bandziorów z Łazowa obrączkę taty – była charakterystyczna, wykonana na zamówienie. Patrzyła w sklepie na tę obrączkę i zachowała kamienną twarz.

O tym, co stało się z ojcem, dowiedzieliśmy się dopiero z anonimu, który otrzymaliśmy w 1956 r. Pisano w nim, że Feliks Badurka został zamordowany 11 kwietnia 1945 r. po okrutnych torturach. Był przypalany przy ognisku, połamano mu ręce i nogi. Mama nam tego listu nie pokazała, ale 17-letnia wówczas siostra Wisia znalazła go i przeczytała. Była już po maturze, miała studiować psychologię na KUL. Zmieniła wtedy decyzję; powiedziała, że nie pójdzie na studia, tylko do zakonu. Wkrótce dostała pierwszego ataku. Zachorowała psychicznie. W okresach zaostrzenia choroby przypalała sobie ciało, bo chciała cierpieć tak jak tatuś. Chorowała całe życie – 40 lat.

•

Mama była zdolna i chciała się uczyć. W Polsce przedwojennej dla dziewcząt ze wsi było to jednak niemal nieosiągalne. Mimo to uzyskała tzw. małą maturę w gimnazjum o profilu rolniczym w Albigowej, w dobrach hrabiego Alfreda Potockiego.

Nasza mama wyróżniała się w okolicy, była postępowa, bardzo serdeczna dla ludzi, przychodziło do nas dużo dzieci z sąsiedztwa. Zwierzęta w naszym gospodarstwie były dobrze traktowane. Mieliśmy dobrą ziemię, 10 ha, ale byliśmy małymi dziećmi i nie mogliśmy jej uprawiać, poza tym w naszym domu ceniona była przede wszystkim nauka. Mama mówiła: „Nie jestem w stanie nic wam dać, ale jak będziecie się uczyć, zapewnicie sobie

FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

eprasa.pl bc8ef8ba4f

godne i pożyteczne życie". Aby stworzyć nam lepsze warunki, w 1953 r. postanowiła zostawić wieś i przenieść się do Warszawy. Na początku było nam bardzo ciężko. Mama pracowała w małym sklepie spożywczym. Nie mieliśmy żadnych rent, żadnych odszkodowań, nic nam nie przysługiwało, bo tata był wcześniej w Armii Krajowej. Mieszkaliśmy w dziurawym baraku bez wody, ogrzewania i jakichkolwiek urządzeń sanitarnych.

Mama starała się o lepsze mieszkanie, ale kolejka była bardzo długa. Pewnego razu kierownik kwaterunku powiedział: „Pani ma piątkę dzieci, pani powinna mieć lepsze mieszkanie, ale ja nie mogę go przyznać poza kolejnością. Coś pani po cichu podpowiem: proszę sobie wyszukać odpowiedni pustostan i go zająć. Proszę się nie obawiać, nie wyślemy milicji, żeby was wykwaterowała. Polska Ludowa dzieci na bruk nie wyrzuca". Mama jednak nie zdecydowała się na takie rozwiązanie i w tych trudnych warunkach mieszkaliśmy do 1956 r.

Ziemi na wsi nie można było wtedy sprzedać, to były czasy stalinowskie. Mieliśmy ładny ogród z drzewkami owocowymi. Jednak zarządzający wówczas gminą uznali, że skoro nie gospodarujemy na wsi, to ogród nam niepotrzebny, i postanowili wybudować w tym miejscu dom kultury. Mama przyjechała wtedy ze wsi bardzo przygnębiona, ale my staraliśmy się najtrudniejsze momenty zamieniać w żarty. Mówiliśmy: „Mamo, niech budują, im się kultura naprawdę przyda". Nie zdążyli wybudować; nastała odwilż polityczna i ogród do nas wrócił.

•

Nas, dzieci, mama w niczym nie ograniczała, swobodnie rozwijaliśmy nasze zainteresowania. Brat Stefan kochał konie i był prawdziwym ich znawcą. Nawet starsi rolnicy zasięgali jego opinii przy zakupie. Najstarsza siostra, Ela, była dosyć beztroska. Nie bardzo garnęła się do nauki, organizowała różne imprezy, zabawy, komedyjki, skecze. Skończyło się to rozstaniem ze szkołą w Łazowie. Mama przenosiła ją później kilka razy do szkół w różnych miastach, aż w końcu Ela ukończyła gimnazjum. Wisia pięknie malowała, pisała wiersze. Ze zwierząt najbardziej lubiła krowy, w wakacje pasła je na łące. Ja miałam swoje kotki, lalki i książki. Najmłodszy braciszek Jaś dostawał książeczki z krótkimi wierszykami. Jeszcze słabo mówił, a już chodził po mieszkaniu i recytował. Był odważniejszy ode mnie. Ja bałam się gęsi, a on wchodził w sam środek stada. Kiedyś zaprowadził cielaczka do kuźni, żeby go podkuć. Kowal mówił, że nigdy wcześniej tak się nie uśmiał.

Obrzędy religijne traktowaliśmy bardzo powierzchownie. W naszym domu właściwie załamywała się wiejska tradycja. Babcia tylko czasami wzdychała, że dla nas nie ma nic świętego. Ale do dorosłego życia mama i babcia przygotowywały nas w sposób bardzo przemyślany i odpowiedzialny. Mieliśmy być uczciwi, pracowici, odważni, honorowi i życzliwi. Tak jak one.

O tym, jak mądrze wobec nas postępowała mama, niech świadczy pewien epizod. W dziesiątej klasie, czyli przedmaturalnej, obraziłam się śmiertelnie na szkołę, przyszłam do domu i oznajmiłam, że nigdy więcej do niej nie pójdę. Położyłam się i całymi godzinami patrzyłam w sufit. Mama przyjęła to do wiadomości i zachowywała się, jak gdyby nic się nie wydarzyło. Po tygodniu dyskretnie zapakowałam zeszyty, mamie powiedziałam, że idę do krawcowej, i wyszłam. Zauważyłam

Siedziałam w jednej ławce z dziewczynką, która też nie miała ojca. Mój tata zginął z rąk zbrojnego podziemia, a jej tata dostał wyrok śmierci od władzy ludowej za pomoc „leśnym".

LISTY

MARSZ ROBOTNIKÓW WARSZAWSKIEJ ELEKTROWNI

W powstaniu warszawskim walczyły różne formacje zbrojne, także często zapomniane socjalistyczne, rewolucyjne, np. syndykaliści, Polska Armia Ludowa, Armia Ludowa. Wielu żołnierzy powstania odrzucało ustrój przedwojennej Polski, nie patrzyli w stronę Londynu, co wyrażali w gazetkach, wierszach, utworach muzycznych.

O bohaterskiej postawie pracowników warszawskiej elektrowni na Powiślu, która do 3 września 1944 r. dostarczała energię elektryczną powstańczym szpitalom, drukarniom i warsztatom, opowiada „Marsz robotników elektrowni". Autor słów jest nieznany, muzykę napisał Leon Łuskino na melodię piosenki żołnierskiej „Szara piechota". Utwór ten zamieszczono po raz pierwszy w powstańczym czasopiśmie „Barykada Powiśla", a w drugiej połowie lat 50. w tygodniku „Stolica". Został też opublikowany w zbiorze Tadeusza Szewery „Niech wiatr ją poniesie" (Łódź 1970 i 1975). Oto jego słowa:

Bez oznak, bez szarży, lecz szary nasz strój,
Żar maszyn nam tylko przyświeca,
Robotnik jak żołnierz gotowy na bój!
Na bój! Elektrowni forteca!
Robotnik jak żołnierz, gotowy na bój!
Na bój! Elektrowni forteca!
Na pierwszej reducie kominów trwa rząd,
Do pracy nas twardej podnieca,
To walka straszliwa, ogniowy nasz front
Nasz front – Elektrowni forteca!
To walka straszliwa, ogniowy nasz front
Nasz front – Elektrowni forteca!
Dla Ciebie, Warszawo, dla ran twych i łez
To hasło żar w sercach nam wznieca,
Dla Ciebie, Warszawo, wytrwamy po kres!
Nasz front – Elektrowni forteca!
Dla Ciebie, Warszawo, wytrwamy po kres!
Nasz front – Elektrowni forteca!

Wbrew wcześniejszym oczekiwaniom emigracyjnego kierownictwa politycznego oraz dowództwa AK przedwojenna Polska nie powróciła. Czy „Marsz robotników elektrowni" był oczekiwaniem na ludową ojczyznę? Zapewne jeszcze nie. Ale odrzucał on porządek społeczny II RP.

Jacek Woźniak

eprasa.pl bc8ef8ba4f

przed wyjściem, że uśmiechnęła się i otarła łzy. Nie miała wątpliwości, że wracam do szkoły. Po egzaminie maturalnym przyszła pod szkołę z kwiatkami dla mnie.

•

Chociaż jako dzieci czasami się tłukliśmy, to jako dorośli nigdy nie poróżniliśmy się między sobą. Nasze spotkania rodzinne zawsze wyglądały tak samo: przez większość czasu zastanawialiśmy się, kto zamordował naszego tatę i gdzie jest jego ciało, a na końcu żartowaliśmy z siebie nawzajem.

Pojechałam kiedyś z mamą na Podlasie, bo trzeba było załatwić jakieś sprawy urzędowe. Mama znała wielu mieszkańców Sterdyni i rozmawiała z nimi. Podchodzili wtedy do nas również nieznajomi, przedstawiali się i mówili: „Ja znałem pana Badurkę". Czułam, że dla nich znajomość z tatą była ważna. Siostra taty opowiadała, że wszyscy znajomi zazdrościli jej takiego brata. Nazwisko Badurka było znane w okolicy i nieraz nam w życiu pomogło. A jednak nikt nie chciał nam ujawnić zabójców taty.

Kiedy przeszliśmy z mężem na emeryturę, postanowiliśmy przenieść się z Warszawy na prowincję. Zaczęłam wtedy intensywnie szukać informacji o okolicznościach śmierci taty. Znajoma z Łazowa podpowiedziała mi, że nad samym Bugiem mieszka staruszek, który może coś wiedzieć. Odnalazłam go i powiedziałam, że jestem córką Feliksa Badurki. Ten stary, schorowany mężczyzna natychmiast się ożywił i niezwykle ciepło, serdecznie wspominał tatę. Podał nowe dwa nazwiska zabójców, których nie znałam, ale nie wiedział, co z tatą zrobiono po śmierci.

W 2013 r. w „Tygodniku Siedleckim" ukazał się mój artykuł zatytułowany „Gdzie leżysz, Tato?". Przeczytał go kolega, z którym chodziłam w Łazowie do jednej klasy. Mieszka teraz we Wrocławiu. Zadzwonił do mnie i powiedział: „Ja wiem, gdzie leży twój tata. Przyjadę na Podlasie i pokażę ci to miejsce". Pochodził z Seroczyna, pasał z kolegami krowy na łąkach w okolicy Bugu. Kiedyś na grobli zauważyli wzruszoną ziemię i domyślili się, że ktoś tam został zakopany. To było po wojnie i na takie miejsca nieraz można było natrafić. O wszystkim opowiedzieli swoim rodzicom, a oni zabronili o tym wspominać. Szeptem mówiono w Seroczynie, że to pewnie Feliks Badurka, ale chłopcy milczeli.

Ten kolega wkrótce przyjechał i poszliśmy nad Bug. Pokazał miejsce, gdzie prawdopodobnie pochowano tatę. Ze zdumieniem odkryłam, że to zaledwie kilkadziesiąt metrów od naszej łąki. W latach 40. był tam mały zagajnik, teraz, po 70 latach, rosną już wielkie drzewa. Nie można podejść. Żadne urządzenia też by niczego nie wykryły. Tatę rozebrano, a jego ubranie sprzedano na targu w Ciechanowcu.

Niezależnie od rozmów z mieszkańcami podlaskich wsi jeździłam do archiwum IPN w Warszawie i przeglądałam dokumenty z lat powojennych. Na tej podstawie ustaliłam, że po zebraniu w Sterdyni na ojca czekała furmanka. Siedziało na niej trzech uzbrojonych jego byłych kolegów z Armii Krajowej. Oni nie złożyli broni po rozwiązaniu AK, tylko przeszli do oddziału Narodowych Sił Zbrojnych. Zawieźli tatę do Seroczyna, do domu Piekarskich i tam odczytano mu wyrok śmierci. Dwóm sąsiadom nakazali odwieźć tatę do Sewerynówki, gdzie czekała na niego banda „Sokolika". Po pierwszych torturach w nocy przewieziono go nad Bug i przekazano następnym bandziorom, tym razem z oddziału „Rekina". Zabójcy nie wrzucili ciała do rzeki. Bali się, że może wypłynąć i zacznie się drobiazgowe śledztwo. Zakopali je w dole koło Seroczyna. Świadków zbrodni zabili, innych pobili, a całą wieś zastraszyli.

Na honorowym miejscu w Sterdyni stoi dziś pomnik „Sokolika" – jednego z największych bandytów Podlasia, któremu władze państwowe i kościelne składają hołdy jako bohaterowi, patriocie i obrońcy wiary katolickiej.

Bronisław Komorowski jako prezydent Rzeczypospolitej ustanowił dzień 1 marca świętem tych bandytów – tzw. żołnierzy wyklętych, a tym samym do rangi cnoty podniósł ich zbrodnie dokonywane na ludziach, którzy stanęli do odbudowy kraju.

Heroizm matek, samotnie wychowujących osierocone przez ojców dzieci, nie jest w Rzeczypospolitej dostrzegany. Uważam, że w hołdzie im powinien powstać pomnik MATKOM TAMTYCH LAT!

Siedziałam w jednej ławce z dziewczynką, która też nie miała ojca. Mój tata zginął z rąk zbrojnego podziemia, a jej tata dostał wyrok śmierci od władzy ludowej za pomoc zbrojnemu podziemiu. Jej mama wychowywała samotnie dwie córki. Ten pomnik, jak żaden inny, mógłby łączyć naród.

Krystyna Badurka-Rytel

eprasa.pl bc8ef8ba4f

Supermeni za trzy tysiące netto

Nigdy nie czułem się bogiem czy bohaterem, ale kiedy wracałem z dyżuru z przekonaniem, że dzięki mnie siedem osób nadal żyje, czułem pewien rodzaj spełnienia

Rozmawia Dominika Tworek

JAROSŁAW SOWIZDRANIUK
– doświadczony ratownik medyczny, wykładowca Uniwersytetu Medycznego we Wrocławiu, nauczyciel akademicki roku z Dolnego Śląska w plebiscycie organizowanym przez Polska Press.

Świat zza szyb karetki diametralnie różni się od oglądanego przez okno Starbucksa?

– Szczególnie odczuliśmy to podczas pandemii. To były dwa światy, jak w Matriksie. My – zamknięci w karetkach, ubrani w kombinezony – walczyliśmy o życie kogoś, kto był na pokładzie. Potem wchodziliśmy do szpitali, które wyglądały jak stacje kosmiczne. Wszędzie ochronne śluzy, folie czy znaki, że wirus zabija. Wszyscy w maskach, niektórzy w takich nurkowych. Mimo że znaliśmy się od wielu lat, nie było wiadomo, kto jest kim. W tle słyszeliśmy komunikaty, że jedzie pacjent z covidem i należy uciekać. I nagle jechaliśmy przez miasto, gdzie ludzie spokojnie spacerowali, pili winko, palili papieroski i mówili, że pandemii nie ma. Przechodnie patrzyli na nas jak na wariatów. My w kombinezonach, oni w krótkich spodenkach.

Jak wtedy się czuliście?

– Jak w przypowieści o królestwie, w którym wszyscy pili wodę z jednego zatrutego źródła i stali się szaleni. Tylko król miał inne ujęcie. I w pewnym momencie zobaczył, że wszyscy są ogarnięci szaleństwem. Miał dwa wyjścia: albo być jedynym, który nie jest szalony, albo napić się z tego samego źródła, co reszta społeczeństwa. I to był ten poziom abstrakcji – człowiek sobie myślał, że może rzeczywiście tej pandemii nie ma, może oni mają rację, może to jest przesadzone. A potem oglądał się za siebie, gdzie dusił się człowiek. Mój synek po tygodniu od narodzin zachorował na COVID-19 i dwa tygodnie leżał pod respiratorem. Ledwo z tego wyszedł. W takich chwilach człowiek podejmuje decyzję, że jednak nie będzie pił z tego zatrutego źródła.

Jakie to uczucie, gdy uratowało się komuś życie?

– Piękne. To uczucie olbrzymiej dumy. Nigdy nie czułem się bogiem czy bohaterem, ale kiedy wracałem z dyżuru z przekonaniem, że dzięki mnie dzisiaj siedem osób nadal żyje, czułem pewien rodzaj spełnienia.

A co się dzieje, gdy pacjent umiera?

– To trudne doświadczenie. Każdy, kto prowadzi reanimację, do końca wierzy, że to się uda. Staje na głowie, żeby to nastąpiło. A gdy pacjent umrze, jest poczucie porażki. Wiąże się ono z uczuciem smutku, czasem rozbicia, a bywa, że i z wściekłością. Ta ostatnia pojawia się zwłaszcza wtedy, gdy umierają młodzi ludzie. Zdarzają się sytuacje, że podczas reanimacji próbujemy robić różne rzeczy i nie potrafimy znaleźć rozwiązania zagadki – klucza, który

eprasa.pl bc8ef8ba4f

odwróciłyby tę sytuację. Wtedy człowiek zadaje sobie pytanie, czy aby na pewno zrobił wszystko, co powinien, czy czegoś nie przeoczył. Tego co prawda nie da się cofnąć i naprawić, ale można się przyjrzeć, czy popełniło się jakiś błąd, do którego nie powinno dojść następnym razem.

Jak poradzić sobie z ciężarem psychicznym błędu, który kosztuje ludzkie życie?

– Mnie pomagała rozmowa o własnych trudnościach czy błędach w gronie ratowniczym. Ale też zamknięcie drzwi karetki po wyjściu z pracy. By te wszystkie emocje tam zostawiać.

Znajoma ratowniczka medyczna opowiadała mi, że ostatnio mieli tak ciężki dyżur, że choć generalnie cały zespół radzi sobie z trudnymi emocjami, tego wieczoru każdy z nich skończył dzień z kieliszkiem wina, kuflem piwa czy drinkiem.

– To bardzo niebezpieczne. Zrozumiałe jest używanie alkoholu dla przyjemności i zabawy. Natomiast jeśli po dyżurze sięga się po butelkę, to o ile na początku nie ma w tym nic złego, o tyle bardzo szybko te granice się zacierają i łatwo wejść w nałóg. Także z racji tego, że ratownicy medyczni nie mają otwartego dostępu do psychologa. Strażacy po ciężkiej akcji mogą porozmawiać z psychologiem, a ratownicy mają jechać do następnego zdarzenia. „Ale ja jeszcze nie umyłem karetki po ostatnim wyjeździe", rzucają. „Jedź, jedź, bo mamy 15 oczekujących zleceń", słyszą w odpowiedzi. Ratownicy mają być supermenami, którzy radzą sobie ze wszystkim.

Przez 13 lat pracował pan jako ratownik medyczny, dziś poświęca się przekazywaniu wiedzy studentom i popularyzowaniu nauki. Dlaczego trzy lata temu zrezygnował pan z pracy w zawodzie?

– Ze względu na duże obciążenie. Praca ratownika to noce, weekendy i święta w pracy. Jestem tatą czwórki dzieci i w pewnym momencie zauważyłem, że muszę się zatrzymać i przewartościować życie. Odkryłem, że mogę z czegoś zrezygnować, a potrzebę dzielenia się sobą realizować na uczelni. Chociaż przyznam, że w pandemii nie wytrzymałem i wróciłem na dyżury.

A co przez kilkanaście lat trzymało pana w tym zawodzie?

– Choć jako pierwsza odpowiedź nasuwa się adrenalina – jazda na sygnale, ratowanie życia i cała paleta wiążących się z tym emocji – mnie najbardziej pociągała nieprzewidywalność. Bo każdy pacjent jest inny i każdy dom, do którego wchodzimy, jest inny. Jeździłem karetką po wrocławskim Śródmieściu, przez to poznałem także ciemną stronę miasta. Mam poczucie, że znam Wrocław od podszewki. Obserwowałem też, jak zmieniał się w ciągu tych kilkunastu lat. Bo architektonicznie każdy widzi, jak miasto się zmienia. Ja ujrzałem przemianę społeczną. Na przykład kiedyś bardzo niebezpieczna była dzielnica Nadodrze, dzisiaj jest świetnym miejscem spotkań i domem dla niszowych rzemieślników.

Każdy, kto prowadzi reanimację, do końca wierzy, że to się uda.

Zdarzało się, że znaleźliście się w nieodpowiednim miejscu o nieodpowiednim czasie i mierzyliście się z realnym niebezpieczeństwem?

– Nasza praca właśnie na tym polega, że wzywa się nas w momencie, kiedy wszyscy inni krzyczą: „Ratunku, pomocy!", a potem uciekają. I wtedy pojawiamy się my. To często były jakieś rozboje czy ataki z bronią w ręku. Ale też bardziej prozaiczne momenty, kiedy ludzie w sytuacji zagrożenia swoich bliskich czują się mocno niepewnie i nagle czas dojazdu karetki z faktycznych pięciu minut zamienia się tym osobom w trzy godziny. Wtedy rodzi się agresja i zdarzają się pogryzienia, pobicia, popychania. Standardem są przepychanki słowne, dla ludzi mieszkających w Śródmieściu język agresji to język codzienności. To nasze zadanie, by nauczyć się z nimi komunikować. Oczywiście szalenie ważne jest dbanie o swoje bezpieczeństwo. Nie trzeba za wszelką cenę być bohaterem, ale czasami trzeba wejść w ten świat. Ja np. uwielbiałem pacjentów psychiatrycznych.

Jak wchodzi się w świat osób chorych psychicznie?

– Proszę sobie wyobrazić, że w środku nocy dostaje pani wyjazd do ogrodu, w którym mężczyzna ubrany jedynie w slipki (a jest środek zimy) biega z bronią w ręku, bo jest agentem FBI. Oczywiście na początku brygada antyterrorystyczna i policja musi go obezwładnić, ale później, żeby dogadać się z tym pacjentem, nie ma innej możliwości, jak zostać agentem służb wywiadowczych. Mówię mu, że ja jestem z CIA i mamy wspólną misję. Pytam, co już udało mu się zrobić. I on mi wszystko mówi. Jeśli dopytam, od ilu nocy nie śpi, a on odpowie, że od tygodnia, dla mnie to jest wartość kliniczna, a dla niego wymiana doświadczeń pomiędzy dwoma agencjami. Potem zabieram go do schronu w karetce, który przygotowałem z folii termicznej. I na tym poziomie można wielu rzeczy się dowiedzieć. Czasami ratownicy chcą uzyskać te informacje łopatologicznie – technicznie i na siłę. Moim zdaniem nie tędy droga.

Ratownicy medyczni nie mają otwartego dostępu do psychologa. Strażacy po ciężkiej akcji mogą z nim porozmawiać, ratownicy mają jechać do następnego zdarzenia.

A łatwo wyłapać, że pacjenci podają nieprawdziwe informacje? Słyszałam, że w czasie pandemii nagminne stało się zatajanie przed ratownikami objawów COVID-19, bo pacjent nie chciał skazywać siebie i całej rodziny na kwarantannę.

– Daleko nie trzeba szukać i tutaj prym wiodą mężczyźni. Proszę zapytać jakiegoś mężczyznę, na co choruje. Na nic! Przecież jest samcem alfa,

FOT. DOMINIKA TWOREK

eprasa.pl bc8ef8ba4f

któremu nic nie dolega i nigdy nie był u lekarza. Wtedy prosimy takiego pana, żeby pokazał leki, które bierze, i nagle na stoliku pojawia się pełen koszyczek medykamentów.

W tej nieprzewidywalności naszej pracy, o której wcześniej wspominałem, jest jeszcze element CSI. Bo np. przyjeżdżamy do nieprzytomnej osoby i nie mam zielonego pojęcia, dlaczego straciła przytomność. I czasami doprowadzą nas do tego badania objawów, a czasem to kwestia przeszukania całego pokoju i znalezienia jakichś tabletek. Pamiętam również wyjazdy do kilkudniowych czy tygodniowych zgonów. Wtedy trzeba ustalić mniej więcej, kiedy do tego doszło, co trudno stwierdzić na podstawie rozkładających się zwłok, więc musimy np. zajrzeć do lodówki i zobaczyć, kiedy robione były ostatnie zakupy. I naklejka z datą ważenia wędliny pomaga nam oszacować ten czas.

Czyli dobry ratownik medyczny jest równocześnie psychologiem, socjologiem, aktorem i detektywem. Czego dowiedział się pan w tej pracy o człowieku?

– Że ludzie mają granice oraz że ich nie mają.

To znaczy?

– Niektórzy mają granice bólu, intymności, wchodzenia w kontakt z drugim człowiekiem. Ale są i ci, którzy tych granic nie widzą. Mam na myśli alkoholików, narkomanów czy kryminalistów. Widziałem też ludzi, którzy byli tak zdesperowani, że nie dostrzegali innej strategii, jak tylko targnąć się na swoje życie. Oraz tych, którzy bardzo dobrze widzą tę granicę, bo przewlekła choroba wyznacza termin ich życia. Ktoś ma 35 lat i zostały mu dwa tygodnie życia, często w niesamowitym bólu. My – ratownicy medyczni – jesteśmy wszędzie. Wchodzimy znienacka w życie tych ludzi. I to, jak w tym się odnajdziemy i zachowamy, będzie rzutowało np. na to, w jaki sposób dana rodzina przeżyje żałobę. Bo nasze słowa zostaną z nimi na zawsze.

Nigdy nie zapomnę bardzo wzruszającej sytuacji, kiedy byliśmy u pacjentki, która w wieku trzydziestu paru lat chorowała na nowotwór. Pani miała jakąś duszność i po jej braku reakcji na leczenie stwierdziliśmy, że to jest jej koniec. Powiedzieliśmy jej mężowi i dzieciom, że mają kilkanaście minut na to, żeby się z nią pożegnać. Te 15 minut to był dla nich wspaniały czas. Ta kobieta odeszła w bezpiecznych warunkach, przytulona do swoich najbliższych, a oni z tym czasem zostali. Gdybyśmy podjęli inną decyzję i zabrali ją w otoczeniu mnóstwa kabli, wenflonów i kroplówek, ta pani umarłaby na schodach lub w karetce i oni w ten sposób zapamiętaliby jej koniec.

Zdarzają się pogryzienia, pobicia, popychania. Standardem są przepychanki słowne.

Do podjęcia takich decyzji potrzeba empatii. Bez czego w tej pracy nie można się obejść?

– Bez czarnego humoru. Bo kto nie potrafi śmiać się ze śmierci, bardzo szybko się wypali. Ważna jest także umiejętność szybkiego łączenia faktów, rozwiązywania trudnych problemów, kontaktowość i zrozumienie potrzeb drugiego człowieka. Ja zawsze myślałem sobie, że nawet najbardziej prozaiczne wezwanie, do bólu brzucha czy głowy, wynika jednak z tego, że ci ludzie czuli się wtedy zagrożeni. Choć one są dla nas strasznie frustrujące, bo obciążają system.

Wynikają z potrzeby bycia zaopiekowanym?

– Oczywiście, wiele jest potrzeb osobistych, ale głównym problemem jest brak dostępu do podstawowej opieki zdrowotnej i specjalistów. Kiedy pojawiamy się u pacjentek z zaostrzeniem chorób przewlekłych i pytamy, dlaczego dana pani nie poszła do lekarza, ta odpowiada, że dzisiaj nie było miejsc, a ona czuje się fatalnie. Albo gdy pytamy, dlaczego nie poszła do kardiologa, słyszymy, że ma termin za dwa lata. My – młodzi – gdy coś nam się dzieje, korzystamy z prywatnej opieki zdrowotnej, a ci ludzie zwyczajnie nie mają do niej dostępu. Dlatego dzwonią na pogotowie. Ale są tacy, którzy lubią kontakt z pogotowiem. Na przykład kobiety, które dzwonią w celach matrymonialnych.

Ratownictwo medyczne to rzeczywiście praca na półtora etatu?

– Tak. Dlatego że to wciąga. Bo na dyżurze jest fajnie, bo dużo się dzieje, bo są ludzie, którzy cię rozumieją. A na dodatkowych dyżurach można zarobić większe pieniądze, a skoro są większe pieniądze, to ludzie np. biorą auto w leasingu. A skoro mam fajne auto, to muszę na nie zarobić. I tak zaciska się pętla. Niektórzy ratownicy mówili kiedyś, że jak dostaną tyle pieniędzy, że będą mogli pracować na jednym etacie, to będą tak robić. Dzisiaj ich oczekiwania z tamtego czasu są spełnione, nawet z górką. A oni i tak ciągną dwa albo trzy etaty. Bo to uzależnia.

Ratownicy to grupa zawodowa, która boryka się z ogromnym problemem wypalenia zawodowego.

– Kiedyś o wypaleniu mówiło się po 20 czy 30 latach pracy. Dziś po roku albo dwóch.

Skąd ta zmiana?

– Studenci już na pierwszym roku idą na praktyki i wszędzie słyszą, że ratownictwo to najgorszy zawód świata, fatalnie płatny, bez sensu. Starsi koledzy mówią im: „Ratownictwa nie ma, będziesz jeździł do bólu brzuszka". Oni to chłoną i z takim nastawieniem wchodzą w ten świat. Dlatego wytrzymują maksymalnie dwa lata. Ja czuję wielką odpowiedzialność wobec moich studentów. Razem z słuchaczami pierwszego roku stanęliśmy w kole. Kazałem im popatrzeć na swoje ręce. Trochę się śmiali, a ja powiedziałem im, że za trzy lata w tych rękach będzie ludzkie życie. Dla nich to było „wow". Dziś widzę, że dostrzegają w tym wszystkim sens.

Czy pandemia zmieniła rolę ratownika medycznego?

– Bardzo, to widać nawet po większej liczbie zgłoszeń na studia. W badaniach zaufania społecznego ratownicy medyczni zyskują dziś 80%. W naszym środowisku nie jest to odczuwalne, ale patrząc obiektywnie, ludzie nie oczekują już,

eprasa.pl bc8ef8ba4f

że w karetce przyjedzie lekarz. Wiedzą, że ratownik medyczny to człowiek wykształcony, że pomoże. Ja z kolei nie jestem pewien, czy sami ratownicy są gotowi na rolę, którą społeczeństwo nam daje. Zwłaszcza ci starsi często myślą, że są tymi, którzy powinni pomagać lekarzowi. Nie do końca chcą wziąć na siebie całą odpowiedzialność. A to jest konieczne, ponieważ system ratownictwa medycznego w Polsce bazuje na ratownikach, w pogotowiu jest bardzo mało lekarzy. Czasami mam wrażenie, że jesteśmy dziś kimś takim jak kiedyś felczer. Lekarzami bez uprawnień. Podobnie jak znachor, który trochę poratuje, trochę poleczy, coś poradzi i wysłucha.

Co kryje się za decyzją o podjęciu tego zawodu? Poczucie misji? Bo na pewno nie motywacja finansowa. Według Ogólnopolskiego Badania Wynagrodzeń ze stycznia 2022 r. ratownik medyczny w Polsce średnio zarabia na rękę niewiele ponad 3 tys. zł miesięcznie.

– Kiedyś sondowałem moich znajomych, dlaczego zostali ratownikami. Wskazywali potrzebę dzielenia się sobą z innymi. To wynika z chęci pomocy, która realizowała się najpierw przez różne wolontariaty, grupy ratownicze typu PCK czy WOPR, i na tym budowała się droga do bycia ratownikiem medycznym. To zazwyczaj nie jest przypadkowe. Chociaż część ludzi chciała być lekarzami, a że im się nie udało, zostali ratownikami. U nich czasami przejawia się kompleks lekarza. Choć myślę, że generalnie jest on coraz mniej widoczny.

Ratownictwo medyczne to bardzo ciężka praca. Zarówno psychicznie, jak i fizycznie.

– Jest ogromnie obciążająca. Po tych kilku latach od mojego odejścia spotykam czasem kolegów i widzę, jak strasznie się postarzeli. Bo ta praca polega na tym, że w momencie kiedy nasz organizm chce odpocząć, potrzebuje snu, jest nagle wybudzany i dostaje kopa adrenaliny, bo trzeba jechać na wezwanie. I dlatego ludzie w moim wieku czasem wyglądają o wiele starzej. A w ich oczach widać zmęczenie.

Jakie inne problemy polskiego ratownictwa zna pan z własnego doświadczenia?

– Na pewno przydałoby się usankcjonowanie naszego zawodu. Bo ciągle nie ma ustawy o zawodzie ratownika medycznego. Legislacja pomogłaby w tym, aby zawód ratownika stał się w naszym poczuciu prawdziwym zawodem medycznym. Nie dopisanym, nie innym zawodem medycznym. To zwiększyłoby pewność siebie ratowników i sprawiło, że chcieliby wziąć na siebie większą odpowiedzialność. Dobrą motywacją byłyby wyższe wynagrodzenie i większe możliwości rozwoju. Niestety, edukacja podyplomowa ratowników kręci się wokół tych samych nudnych tematów. Powinno być tak, że jeśli się rozwijasz, masz wyższy stopień ratownictwa. Hierarchię, jak w straży pożarnej czy w policji, która daje możliwość rozwoju kariery. Bez tego nie ma żadnej motywacji – i dobry, i zły ratownik zarabia tyle samo.

Dominika Tworek

Greta błaga o pomoc!

Greta musi zniknąć. Taki wyrok zapadł. Nie żeby ktoś nad tym długo myślał. To raczej normalne. Kulawe konie nie robią biznesów. A dla większości koni życie albo musi być biznesem, albo po prostu - gdy przystają „się opłacać" znikają nagle i gdy nikt nie widzi. I nigdy nie wracają.

Gretę ktoś kupił na targu. Była grzeczna, posłuszna, ułożona. Miała wszystko co taki biznesowy koń powinien mieć. Natychmiast poszła do rekreacji. Czyli klient za klientem. Czyli szarpanie, klepanie i kopanie. Bo Greta była czołowym koniem rekreacyjnym. Ogromna, przeogromna. I nadzwyczaj zgodna. Dzieci ją uwielbiały, dla jej zguby. Bo Greta, przez to uwielbienie, musiała wyrabiać trzy normy. Gospodarz śmieje się, że czasem pracowała tak długo, że szkoda było chować ją do stajni. Bo o świcie stała już kolejka.

Greta nie narzekała. Była silna. Była pełna spokoju. Wszystko rozumiała. Taki świat. Cieszyła się, że ma pracę. Bo koń bez pracy nie ma racji bytu.

I chodziła pełna pokory, wkoło swojego placu, którego znała każdy metr. Gospodarz mówi, że nigdy nie miał tak dobrego konia. Ale wszystko co dobre kiedyś się kończy.

Greta kilka tygodni temu okulała. I zrobił się wkoło niej hałas. Dzieci chciały jeździć, Greta nie była w stanie się podnieść i ustać na nodze. Gospodarz odczekał chwilę licząc, że samo przejdzie. Gdy minęło kilka dni wezwał wiejskiego speca od koni. Ten podobno popatrzył, wymierzył Grecie kilka mocnych batów by wstała, potem kilka kopniaków. Greta chwilę się rzucała, nawet jakby wstała, ale za moment znowu się położyła.

Diagnoza specjalisty była bezlitosna - wymienić konia! Absolutnie i pilnie, bo zaraz sezon w pełni. Greta wypada z biznesu.

No i jak to w „nie-bajkach" bywa, po Gretę za moment wyruszy ciężarówka. Specjalnie po nią. Specjalnie dla niej opadnie trap, po którym wgonią ją w akompaniamencie batów i krzyków. A jak będzie trzeba, to wciągną na linach. Nic nie stanowi problemu, gdy trzeba pozbyć się darmozjada. Bo Greta właśnie tym się stała w zaślepionych biznesem oczach gospodarza. Darmozjadem. Właśnie dlatego nie zasłużyła nawet na weterynarza. A tam gdzie ją zabiorą jej kulawizna nie ma już znaczenia. Tam biorą wszystkie konie. Olbrzymia Greta ważąca 800 kg tym bardziej idealnie pasuje.

Taki jest los wielu koni rekreacyjnych. Oczywiście, są ośrodki które są wyjątkami i dają swoim koniom życie do samego ich kresu, takiego naturalnego, ze starości. Jednak w większości z nich na próżno będziecie szukać starych koni, albo tych którym zdrowie przestało dopisywać. Gdy przychodzi sezon, a one nagle znikają, powstają legendy o tym, gdzie pojechały. Albo prywatny nowy właściciel, albo wiecznie zielone pastwiska wśród jezior. No różne są te baśnie. Gospodarz od razu uprzedza, że nie wolno nam podawać skąd Greta pochodzi. On już też wie, co powie turystom w lipcu, gdy otworzy biznes na całego, ustawi budkę z kurczakami i stragan z pamiątkami.

Opowie o chorobie Grety i soczystych trawach, które rozpościerają się teraz pod jej kopytami. Greta to przemilczy. Bo Grety już dawno nie będzie. Ludzie też nie będą za bardzo pytać. Wolą nie wiedzieć. W końcu to lato. Czas radości i odpoczynku. Kto chciałby zanurzać się wtedy w ponurych historiach niechcianych, wysłużonych koni, które chwilę temu roześmiane, rumiane dzieci wygłaskiwały małymi rączkami? A te konie tak stały pokornie i patrzyły. Bo tylko tyle było im wolno. I były częścią tego wakacyjnego krajobrazu. Lepiej nie psuć krajobrazów..

Mamy mało czasu. Greta ma go mało. Zaledwie kilka dni. Do 27 maja musimy zebrać 13 600 zł aby opłacić wykup Grety i jej transport do nas. Bez Ciebie Greta zostanie tylko wspomnieniem minionego lata. Dołączysz do akcji? Dla niej liczy się każdy grosik.

Jeśli chcesz i możesz pomóc, prosimy dokonaj darowizny z tytułem GRETA na konto 15 1020 5226 0000 6002 0220 0350.

Możesz też pomóc wysyłając SMS o treści GRETA na numer 7412 (koszt SMS 4,92 zł z VAT), 7910 (koszt SMS 11,07 zł z VAT) lub 91950 (koszt SMS 23,37 zł z VAT) i kupić tapetę.

Fundacja Centaurus
ul. Wałbrzyska 6-8, 52-314 Wrocław
tel. 518 569 487, tel. 518 569 488

www.centaurus.org.pl

Akcja prowadzona w ramach Kampanii Kochaj. Mądrze Regulamin: http://centaurus.org.pl/kkm

eprasa.pl bc8ef8ba4f

Cisowe tajemnice

Wykorzystania cisa w walce z rakiem zaczęło się od kawałka kory

Anne Sverdrup-Thygeson

Cis uratował wiele istnień dzięki lekowi onkologicznemu taxol, którego nazwa pochodzi od łacińskiej nazwy rodziny cisowatych: *Taxaceae*. Drzewo to ma również długą i skomplikowaną historię – pojawia się w naszych mitach i literaturze, jest też wykorzystywane w praktyce.

Cofnijmy się najpierw o 400 tys. lat. Przenieśmy się na angielskie wybrzeże, dwie godziny jazdy samochodem na wschód od Londynu, do obszaru, na którym dziś leży miasto Clacton-on-Sea. W tym okresie – jednym z interglacjałów epoki kamiennej – była to żyzna dolina, częściowo otwarta, częściowo porośnięta lasem, w którym dominowały drzewa liściaste. Mieszkali tu też ludzie. Nie z naszego gatunku, nie wiadomo jednak na pewno, którzy z naszych bliskich krewniaków się tu osiedlili. Wiadomo natomiast z pewnością, że żyli wśród wielu różnych wielkich zwierząt, których my niestety nie spotkamy. Archeolodzy znaleźli tutaj resztki kości mamuta stepowego, słonia leśnego, jelenia olbrzymiego, dwóch gatunków nosorożca, dzikich koni, turów i żubrów. Stąd również pochodzi najstarsze na świecie drewniane narzędzie: zaostrzony koniec dzidy. A wykonano go z cisa.

Drewno cisa ma szczególne właściwości. Jest mocne, ale jednocześnie elastyczne. Długo po tym, jak większość zwierząt z Clacton-on-Sea wymarło i zniknęło z terenu Europy, cisa nadal używano do wytwarzania broni. Ötzi, człowiek lodu sprzed 5 tys. lat, miał ze sobą niedokończony cisowy łuk, a także miedzianą siekierę z trzonkiem z tego drewna.

Potężne długie łuki z cisa przesądziły o losach wielu bitew i niewątpliwie wpłynęły na europejską historię, w tym historię Anglii. Podczas bitwy pod Azincourt 25 października 1415 r., w czasie wojny stuletniej między Anglią a Francją, strzały angielskich łuczników zasypały o wiele większą armię francuską z piorunującym skutkiem, co zdecydowało o wyniku walki. Dzień ten uważany jest za najbardziej krwawy w całej historii wojen stoczonych do tego czasu.

Cisowe łuki były używane również w Norwegii: na archipelagu w okręgu Hordaland wykorzystywano je do uśmiercania płetwali karłowatych, uwięzionych w odgałęzieniach fiordu, aż do XX w.

Historia nowoczesnego wykorzystania cisa w walce przeciwko rakowi zaczęła się w latach 60. Amerykański instytut onkologiczny National Cancer Institute razem z ministerstwem rolnictwa USA zainicjowały ogromne przedsięwzięcie, którego celem było znalezienie w przyrodzie nowego leku na raka. W ciągu 20 lat pobrano i przebadano próbki z ponad 30 tys. gatunków.

Pewnego ciepłego sierpniowego dnia 1962 r. jeden z botaników uczestniczących w tym projekcie znalazł się w chronionym obszarze leśnym w stanie Waszyngton, pod pokręconym, mierzącym 8 m cisem pacyficznym. Jako że drzewo było 1645. rośliną, z której pobrał próbkę, nadał mu prostą i elegancką nazwę B-1645.

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl bc8ef8ba4f

Próbki wysłano do analizy. W korze B-1645 znaleziono paklitaksel, substancję, która powoduje, że komórki rakowe przestają się dzielić. Jego droga do pacjentów okazała się jednak długa i wyboista. Tę pochodzącą z cisa substancję zatwierdzono do stosowania w przypadkach raka jajników i piersi dopiero w latach 90., a później również do leczenia innych form raka. Do dziś środek ten należy do najbardziej ekonomicznych leków przeciwrakowych, jakie kiedykolwiek produkowano: globalny rynek paklitakselu w roku 2017 dał dochód w wysokości niemal 80 mln dol., a oczekuje się podwojenia tej kwoty do roku 2050, ponieważ popyt rośnie. A wszystko zaczęło się od kawałka kory.

Sukces bywa jednak mieczem obosiecznym. Cis pacyficzny wcześniej traktowany był jak drzewo bezwartościowe, niemal jak leśny chwast. Można by oczekiwać, że odkrycie ważnej substancji, jaką zawiera, zmieni sytuację i zapewni temu gatunkowi właściwą ochronę. Problem polega jednak na tym, że aby uzyskać paklitaksel z kory, należy ją zdjąć z drzewa. Można ją zdjąć z żywego, stojącego cisa (który następnie umrze), w praktyce jednak drzewa ścinano. W dużych ilościach. Aby wyizolować jeden kilogram taksolu, potrzeba 10 ton cisowej kory. To odpowiada 3 tys. drzew – a mimo to pokrywa zaledwie drobny ułamek światowego zapotrzebowania. Jeśli dodamy do tego fakt, że cis pacyficzny rośnie wyłącznie w starym, naturalnym lesie na północno-zachodnim wybrzeżu USA, w rozproszeniu i nielicznie, a przy tym jest jednym z najwolniej rosnących drzew na świecie – zobaczymy pełny obraz problemu.

Gdy taksol stał się lepiej znany, a jego stosowanie się upowszechniło, nasiliły się protesty przeciwko wycince lasów na zachodnim wybrzeżu Stanów Zjednoczonych i Kanady. Również dlatego, że lasy te tworzą bogaty i jedyny w swoim rodzaju ekosystem obejmujący oprócz cisa pacyficznego także wiele innych gatunków. Stało się jasne, że trzeba koniecznie znaleźć inne sposoby wytwarzania taksolu. W latach 90. najpierw pojawiła się technika otrzymywania paklitakselu z igieł cisa europejskiego, innego i bardziej pospolitego gatunku. Później przemysł farmaceutyczny opracował czysto laboratoryjne techniki produkcji. Wciąż jednak zarówno cis pacyficzny, jak i wiele azjatyckich gatunków cisów pozostają na globalnej czerwonej liście Międzynarodowej Unii Ochrony Przyrody (International Union for Conservation of Nature, IUCN).

Aby wyizolować jeden kilogram taksolu, potrzeba 10 ton cisowej kory. To odpowiada 3 tys. drzew.

W Norwegii cis europejski rośnie w szerokim pasie rozciągającym się wzdłuż wybrzeża od Østlandet do Agder i w górę wzdłuż regionu Vestlandet. Nie znajduje się na globalnej czerwonej liście, ale w Norwegii uważany jest za zagrożony i wpisano go na listę krajową. Miasto Molde znane jest z róż i jazzu, a także z królewskiej brzozy – drzewa, pod którym uwieczniono króla Haakona i księcia Olafa, gdy szukali schronienia przed niemieckimi bombami w kwietniu 1940 r. Gmina ta może również jednak poszczycić się innym drzewem – najdalej na północ dziko rosnącym egzemplarzem cisa. Często jest tak, że populacje rosnące w pobliżu zewnętrznych granic zasięgu gatunku mają szczególnie ciekawe właściwości genetyczne. Jest to dodatkowy argument przemawiający za tym, by w Norwegii ściślej chronić ten gatunek. Kiedy trafisz na jedno z tych rozłożystych, niskich drzew, warto pamiętać, że każda jego część, nie licząc pięknych czerwonych osnówek nasion, jest trująca. Dla ludzi i wielu zwierząt. Granica między trucizną a lekiem bywa cienka jak włos.

Może właśnie przez te trujące właściwości cis był uważany za drzewo śmierci. Ciemne, wiecznie zielone, stare cisy często można zobaczyć na cmentarzach. A w literaturze Szekspir każe trzem wiedźmom z „Makbeta" dodawać cis do ich zabójczego wywaru.

Drzewo to może jednak również symbolizować życie i odrodzenie i reprezentować przejście między życiem a śmiercią. W czasach przedchrześcijańskich Celtowie uważali cis za święte drzewo i uważali, że potrafi on przenosić do naszego świata głosy zmarłych w formie szeptu. To właśnie o tych szeptach mówią wersy wiersza „Środa popielcowa" angloamerykańskiego poety T.S. Eliota: „To czas napięcia między skonaniem a narodzeniem / To miejsce samotności u zbiegu trzech snów / Wśród błękitu skał / Lecz gdy strząśnięte z cisu głosy porwie wiatr w pustkowie / Niech inny cis otrząśnie się odpowie".

Cisy mogą być również bardzo długowieczne – jeden z osobników rosnących na cmentarzu w szkockiej miejscowości Fortingall ma prawdopodobnie od 2 do 3 tys. lat – a gałęzie opadające ku ziemi mają zdolność zakorzeniania się i tworzenia nowych pni. Jest coś symbolicznego w tym, że substancje uzyskiwane właśnie z tego drzewa opisuje się jako najlepsze roślinne środki, jakimi dysponujemy w walce z rakiem. Dzięki paklitakselowi cisowa rodzina dała wielu ludziom nowe życie. Kto wie, jakie jeszcze tajemnice cisy z całego świata wyszepczą nam do ucha, jeśli zadbamy o ich ochronę?

Drewno cisa ma szczególne właściwości. Jest mocne, ale jednocześnie elastyczne.

Anne Sverdrup-Thygeson, *Ekipa do naprawy świata. Jak dziesięć milionów gatunków staje na głowie, by uratować ci tyłek*, tłum. Witold Biliński, Znak, Kraków 2022

eprasa.pl bc8ef8ba4f

Europejska turystyka liczy na Polskę

Jak, gdzie, dlaczego? Letnie wojaże w czasach wojny

Chrystian Ślusarczyk

Rosyjska agresja na Ukrainę wywołała gigantyczne perturbacje w sektorze usług turystycznych. Odpadł, przynajmniej teoretycznie, znaczący gracz na globalnym rynku – Rosja. Jako pierwsza odczuła to w marcu Tajlandia – Phuket czy Pattaya to ulubione miejsca Rosjan. Ani rosyjskie biura podróży, ani prywatni, zamożni turyści nie mogli korzystać z zablokowanych kart płatniczych. Tajscy właściciele hoteli i biur podróży na długo zapamiętają traumę, jaką była współpraca z Rosją w początkowym okresie wojny. Brak rosyjskich turystów odczuły też Egipt i Kuba.

W szczycie sezonu (lipiec i sierpień) w większym lub mniejszym stopniu dotknie to kraje basenu Morza Śródziemnego i Czarnego. Z powodu zakazów i blokad Rosjanie szukają dla siebie nowych kierunków wakacyjnych – poza Unią Europejską czy w ogóle spoza Starym Kontynentem. Południe Europy, które latem liczyło na bogatych rosyjskich, a także ukraińskich i białoruskich turystów, już wie, że musi zwrócić się z ofertą do przedstawicieli innych nacji.

Co prawda wojna w Ukrainie nie zagraża bezpośrednio turystyce żadnego europejskiego kraju, ale nie mniejszym problemem będą rosnące ceny energii (m.in. paliwa lotniczego) i ich wpływ na ceny usług turystycznych.

Turcja bez 15 mln Rosjan

W niezwykle udanym przedpandemicznym roku 2019 Turcja przyjęła aż 7 mln rosyjskich turystów. W tym roku spodziewano się tam – według różnych źródeł – od 13 do 15 mln Rosjan. Mogli zostawić co najmniej 10 mld dol., co dla kulejącej, niszczonej przez gigantyczną inflację gospodarki byłoby mocnym zastrzykiem. Już teraz wiadomo, że ta optymistyczna wizja się nie ziści. Bülent Bülbüloğlu, wiceszef TÜROFED, tureckiej organizacji hotelarzy, oświadczył, że z powodu mniejszej liczby Rosjan i Ukraińców turystyka zarobi 30% mniej, niż zakładano przed 24 lutego. Bülbüloğlu od kilku tygodni prowadzi akcje promocyjne w innych, rzadziej spoglądających na Turcję krajach, m.in. w Wielkiej Brytanii czy USA. Z danych publikowanych przez serwis Travelplanet wynika, że turecką turystykę wspomogą Polacy. Kraj ten cieszy się największą popularnością wśród kupujących wycieczki na lato 2022 (36,8%). Turcy zdecydowali się latem wpuszczać Polaków na dowód osobisty (wcześniej wymagany był paszport). Aby zminimalizować straty, pracują też nad rozwiązaniami ułatwiającymi Rosjanom dokonywanie płatności w rublach. Jak, ile i czy w ogóle tureckie podmioty na tym zarobią, trudno ocenić.

Grecka sinusoida, cypryjskie straty

W roku 2021 Grecję odwiedziło 15 mln turystów, prawie 97% więcej niż w roku 2020. Spory odsetek gości stanowili Rosjanie i Ukraińcy, mogący przyjeżdżać do Grecji bez wiz. Grecy szacują, że od 24 lutego do początku maja z zakupionych biletów lotniczych zrezygnowało 850-900 tys. obywateli Rosji, Ukrainy i Białorusi. – To pokazuje, że ten sezon może przynieść spore straty, nawet jeśli część tych turystów zdecyduje się jednak do nas przylecieć – nie ukrywa pesymizmu przedstawiciel Stowarzyszenia Właścicieli Hoteli w Heraklionie na Krecie. Ale portal informacyjny iefimerida.gr obawia się także, że mniej turystów przyjedzie z Polski i Rumunii. – Mieszkańcy obu tych państw przyjęli miliony uchodźców. Wiąże się to ze sporymi nadprogramowymi wydatkami. Wielu Polaków i Rumunów nie będzie z tego powodu stać na wakacje w Grecji – uważa wiceprezydent Greckiego Stowarzyszenia Hotelarzy Christina Tetradi.

Cypr, zarówno dominująca powierzchniowo część grecka, jak i turecka, przyciągał wielu turystów z Rosji i w nieco mniejszym stopniu z Ukrainy. Rosjanie w latach 2020 i 2021 stanowili ponad 20% odwiedzających wyspę. Niektóre hotele w Famaguście współpracowały jedynie z klientami rosyjskimi. W Nikozji szacują, że tego lata (a na Cyprze sezon trwa aż do 31 października) kraj odwiedzi 25-30% mniej turystów rosyjskich. Kim ich zastąpić? Na celowniku są turyści z Francji i Polski.

Bułgaria liczy na Polaków

Bułgarskie plaże od dziesięcioleci są ulubionym kierunkiem wakacyjnym Polaków. Podobnie na Bułgarię patrzyli Rosjanie. Ci jednak z pewnością mniej licznie będą się opalać w Słonecznym Brzegu czy Złotych Piaskach. Po 24 lutego bułgarskie społeczeństwo w dużym stopniu zmieniło stosunek do „wielkiego brata" i „wyzwolicieli". Przejawy wsparcia dla Ukraińców i niechęci

Bez certyfikatu

Kraje, które tego lata nie wymagają przedstawienia certyfikatu szczepienia przeciw covidowi:

Albania, Austria, Bułgaria, Chorwacja, Czarnogóra, Czechy, Dania, Grecja, Holandia, Irlandia, Islandia, Norwegia, Rumunia, Serbia, Słowacja, Słowenia, Szwajcaria, Szwecja, Węgry, Wielka Brytania, Włochy (od 1 czerwca możliwy wjazd także dla osób niezaszczepionych). W niektórych krajach (np. Albanii i Portugalii) wymagane jest wypełnienie internetowego druku wjazdowego/formularza lokacyjnego. W praktyce władze bardzo rzadko sprawdzają ten dokument.

eprasa.pl bc8ef8ba4f

Portugalia, przylądek Cabo da Roca.

Plaża w Czarnogórze.

do Rosjan to dziś w Bułgarii postawy coraz częstsze. Warto pamiętać, że niespełna siedmiomilionowa Bułgaria przyjęła prawie 200 tys. uchodźców z Ukrainy. W połowie maja duża ich część wciąż mieszkała w pustych w tym okresie hotelach na riwierze. 24 maja, w dniu św. Cyryla i Metodego, tradycyjnie rusza tu sezon. Władze do tego dnia powinny znaleźć Ukraińcom nowe lokum. Bułgarzy są przekonani, że mimo odpływu rosyjskich i ukraińskich turystów ten sezon będzie nad Morzem Czarnym udany. Ceny w porównaniu z latem 2021 r. w zasadzie nie wzrosły. Bułgaria liczy na turystów z byłych krajów socjalistycznych i na Francuzów. Wierzy, że z dobrodziejstw piaszczystych plaż i ciepłego morza skorzysta więcej Polaków niż rok temu.

Nie będzie enoturystyki

Sąsiedniej Rumunii Rosjanie raczej nie odwiedzali. Rumuni liczyli jednak, że zachodni turyści tłumnie odwiedzą tajemniczy Siedmiogród oraz wspaniałe, malowane klasztory Bukowiny. Wiele osób obawia się jednak podróży do kraju frontowego, jakim stała się Rumunia, i albo odwołało podróż, albo wciąż nie podjęło ostatecznej decyzji.

Ogromne straty poniesie turystyka Mołdawii – na jej terytorium znajduje się Naddniestrze, dokąd w każdej chwili może przenieść się wojna. Od kilku lat kraj przyciągał turystów, także z Polski, dzięki rozwijającej się enoturystyce (zwiedzanie winnic, degustacje, wizyty w klasztorach). Letni sezon roku 2022 można już w Mołdawii uznać za stracony.

Natomiast ceniona przez naszych turystów Chorwacja nie przejmuje się zbytnio wojną w Ukrainie. Ani bowiem Rosjanie, ani Ukraińcy nie wybierali wcześniej chorwackich plaż czy zabytków Splitu. Chorwacja od lat okupowana była przez gości z Europy Środkowo-Wschodniej.

Inaczej wygląda sytuacja w Czarnogórze. Ten nienależący wciąż do Unii Europejskiej, prawosławny kraj przyciągał bogatych Rosjan. O tym, że latem rosyjscy turyści raczej nie pojawią się w Kotorze, świadczyły nerwowe ruchy w tamtejszych marinach. Rosyjskie jachty już kilka dni po wybuchu wojny uciekały jak najdalej od europejskich organów ścigania. Wielu zadomowionych w Czarnogórze Rosjan schroniło się ze swoimi jachtami m.in. na Malediwach.

Włoskie lęki, Francja na swoim

Przyciągające wspaniałymi zabytkami i kilometrami plaż Włochy już na przełomie zimy i wiosny (brak rosyjskich narciarzy w luksusowych stacjach) sygnalizowały, że straty spowodowane sankcjami i wojną latem ich nie ominą. Telewizja RaiNews podała, że mniejsza liczba turystów z Rosji i Ukrainy (przyjedzie ich o 300 tys. mniej niż w roku ubiegłym) skutkować będzie stratami w wysokości 180 mln dol. Ciekawe i zaskakujące są rezultaty sondażu Demoskopika. Wynika z niego, że z powodu wojny i wciąż obecnych pandemicznych lęków za granicę latem nie wyjedzie 11 mln Włochów.

Tymczasem Francja, która od lat przyciąga najwięcej turystów na świecie (w 2019 r. 90 mln), wydaje się nie odczuwać braku Rosjan. Świadczą o tym wyniki z Wielkanocy. Dwa największe regiony turystyczne, Paryż i Riwierę, w dniach 15-19 kwietnia odwiedziło 20% więcej turystów niż w analogicznym okresie roku 2019. Wymownym wskaźnikiem jest światowy symbol turystyki – wieża Eiffla. W kwietniu w jednym dniu zwiedziło ją aż 22 tys. turystów. To – mimo braku Rosjan i turystów

FOT. CHRISTIAN ŚLUSARCZYK (2)

eprasa.pl bc8ef8ba4f

z niektórych krajów Azji (covid) – wynik bliski rekordu! Wiosenne dane pozwalają Francuzom z optymizmem wyglądać lata.

Hiszpania droga, tłumy w Portugalii

Hiszpańska branża turystyczna również nie obawia się braku rosyjskich czy ukraińskich turystów (w rankingach plasowali się zawsze daleko). Ale szacuje się, że w tym sezonie ceny noclegów mogą być nawet 40% wyższe niż w ubiegłym. Taki wzrost może odstraszyć tradycyjnie odwiedzających ten kraj Anglików czy zamożnych Skandynawów, nie mówiąc już o Polakach czy turystach z naszej części Europy. Koszty transportu szczególnie podwyższą ceny pakietów turystycznych na oddalonych od kontynentalnej Europy Wyspach Kanaryjskich.

Na udany letni sezon może z pewnością liczyć sąsiednia Portugalia, najbardziej oddalona od wojny w Ukrainie. Anglicy i Niemcy w czerwcu tłumnie pojawią się na plażach Algarve. Szczególnie że ceny w Portugalii w tym roku wzrosły nieznacznie. Tłumy na lotnisku w Lizbonie już w kwietniu, tłok w tamtejszym metrze i kolejki do muzeów w stolicy to jasny znak, że ten piękny kraj w najmniejszym nawet stopniu nie ucierpi z powodu wojny.

Kierunek Katar

Po 24 lutego w Rosji coraz większą popularnością cieszy się Katar, który dla mieszkańców zamożnej Moskwy czy Sankt Petersburga może się stać turystycznym hitem roku. Jak informuje przedstawiciel Inturistu – biura działającego jeszcze w czasach radzieckich – Katar jest całkowitą nowością dla rynku rosyjskiego. Rosjan przyciągają niezbyt wygórowane ceny (w porównaniu ze Zjednoczonymi Emiratami Arabskimi czy Omanem) oraz turystyczna „dziewiczość" tego miejsca i mała szansa na spotkanie z turystami z Ukrainy czy Polski. Zachęcająco brzmią tygodniowe pobyty w czterogwiazdkowych hotelach z wyżywieniem za 550-570 dol. od osoby. Należy jednak pamiętać, że lipiec i sierpień to w Katarze okres ekstremalnych upałów (temperatura nie spada poniżej 40 st.) i czasami wyjście z klimatyzowanych hoteli może się okazać walką o przetrwanie. Dla wielu Rosjan liczy się też to, że na przełomie listopada i grudnia (ze względu na letnie upały) w Katarze odbędą się finały piłkarskich mistrzostw świata. Nie lada atrakcją będzie zapewne zwiedzanie najnowocześniejszych na świecie, wręcz kosmicznych obiektów sportowych – aren finałów, z których dumny jest cały arabsko-muzułmański świat.

Im bardziej od nas oddalony kraj, tym większe są obawy tamtejszych władz i turystów przed przyjazdem do Polski.

Co z Polską?

Czy wojna w Ukrainie wypłoszy z Polski zagranicznych turystów? Część na pewno tak. Z zagranicy dochodzą bowiem niepokojące sygnały, że Polska, sąsiad Ukrainy, postrzegana bywa przez podróżnych jako kraj potencjalnie niebezpieczny. Dotyczy to również Litwy, Łotwy i Estonii. W praktyce jednak Polska nie znajduje się na żadnej oficjalnej liście państw niebezpiecznych, a według amerykańskiej agencji CDC jedyne niebezpieczeństwo dla turystów to nadal pandemia, a nie wojna tuż za granicą.

Paradoksalnie im bardziej od nas oddalony kraj, tym większe obawy tamtejszych władz i turystów przed przyjazdem do Polski. W USA za strefę konfliktu uważa się całą Europę Środkowo-Wschodnią. Może to latem oznaczać straty dla Krakowa czy Zakopanego. Z kolei bliższe rynki turystyczne okazują mniej obaw. I to nimi najprawdopodobniej trzeba będzie zastąpić przyjazdy z USA, Kanady i Azji. Turyści z tej ostatniej, na skutek zakazu lotów nad Rosją, mają spory problem z dotarciem do naszej części Europy.

Pojęcie dywersyfikacji, używane przez ekonomistów i polityków w odniesieniu do problemów z węglowodorami, tego lata ma zastosowanie także w turystyce. Komu uda się zdywersyfikować ruch turystyczny w sposób sprawny i przemyślany, ten odniesie latem sukces. Kto nie, już może liczyć straty.

Chrystian Ślusarczyk

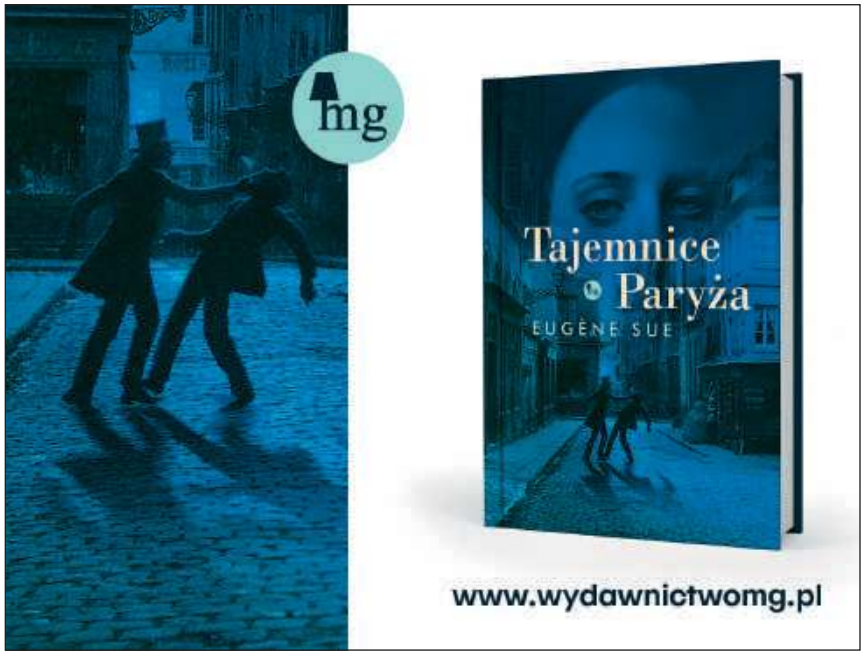

eprasa.pl bc8ef8ba4f

Ambasador, czyli usta władzy

A teraz, drodzy państwo, krótki kurs dyplomacji. Czy można pomstować na ambasadora obcego państwa? Oczywiście, że można, zwłaszcza w Polsce. Najnowszy przykład to ambasador Rosji Siergiej Andriejew, którego winą jest, że dał się oblać farbą na cmentarzu. Ale są i inne. Poprzednik Marka Brzezinskiego, chargé d'affaires ambasady USA w Polsce, Bix Aliu, był regularnie obrażany przez polską prawicę, a były szef MSZ Witold Waszczykowski nazwał go publicznie oszołomem.

Obrażany był też ambasador Niemiec Arndt Freytag von Loringhoven, i to jeszcze zanim został ambasadorem. Wypominano mu ojca, który był adiutantem Hitlera. Z tego powodu przez wiele miesięcy Polska zwlekała z udzieleniem mu agrément.

A teraz pytanie numer 2: czy ambasador albo szef Instytutu Polskiego może prowadzić politykę placówki dostosowaną do wrażliwości panującej w danym kraju? Nic z tych rzeczy. Zwłaszcza odkąd PiS zdobyło władzę.

PiS władzę zdobyło, MSZ przejął Witold Waszczykowski i natychmiast zapowiedział zmiany. „Dla obecnego kierownictwa MSZ ważne jest jak największe angażowanie Polaków mieszkających za granicą w swoje działania. Chcemy, by Polacy i Polonia byli ambasadorami polskich spraw, także w wymiarze dyplomacji publicznej i kulturalnej. Szczególny akcent zostanie położony na dyplomację historyczną", mówił i była to zapowiedź zmian działania Instytutów Polskich. W ramach „nowego" jeden z instytutów dostał do przetłumaczenia ok. 90 stron tekstów do aplikacji dla pielgrzymów przyjeżdżających na Światowe Dni Młodzieży, m.in. książeczkę „Miłosierdzie w pytaniach i odpowiedziach", przewodnik po sakramencie pokuty oraz komentarz do Koronki do Miłosierdzia Bożego.

Pouczano też z centrali, że lepiej się skupić na promowaniu takich postaci jak Kopernik, Chopin, Jan Paweł II albo Lech Kaczyński, a nie zajmować się „głównie promocją LGBT, czyli środowisk homoseksualnych, transwestytów, i wieczorami z Feminoteką". Bądź, jak suflowano na prawicy, filmów obrażających Polskę, takich jak „Ida".

Minister Waszczykowski zabrał się również do budowy nowego korpusu ambasadorów. Żeby ten korpus bronił polityki PiS. Andrzej Przyłębski, którego wysunął na ambasadora w Niemczech, zaczął urzędowanie od pouczania gospodarzy, że nie rozumieją Polski. A potem rzucił się w wir promowania filmu „Smoleńsk". Na początku miał pecha, bo kino w Berlinie odmówiło mu pokazu. Ale to go nie zraziło. Stwierdził, że będzie wyświetlać film także w innych niemieckich miastach. „Impreza nie jest adresowana głównie do Polonii, tylko przede wszystkim do korpusu dyplomatycznego oraz polityków Bundestagu, urzędników MSZ i innych ministerstw", tłumaczył swoje zamiary. Chyba obłudnie, bo nikt poważny pokazu nie zaszczycił, a rychło film stał się obiektem kpin jako gniot roku.

Obowiązek wyświetlania „Smoleńska" spadł też na inne placówki, z czego ich szefowie byli rozliczani. No to wyświetlano. Jedni palili się ze wstydu, drudzy przeciwnie, wypinali przy tym pierś do orderów. Pisowski ambasador w Stanach Zjednoczonych Piotr Wilczek zajmował się wyświetlaniem „Smoleńska" w różnych miastach USA. To nic, że rozrywka była głównie dla przedstawicieli Polonii, i to starszej generacji. Bo mógł napisać w depeszy do Warszawy, że na pokaz „przyszły tłumy".

Wierzył w to ktoś? A jakie to miało znaczenie?

Attaché

Ayam Cemani to rzadka rasa kur z Indonezji. Czarne są nie tylko ich pióra, ale też mięso, kości i krew. Nz. dumny posiadacz z New Delhi.

FOT. AFP/EAST NEWS

eprasa.pl bc8ef8ba4f

JOLKA

1	2	3	4	5	6	7	8	9

10	11	12	13	14

15	16	17	18	19	20	21

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadywanych wyrazów. Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery O ujawniono. Litery z pól ponumerowanych od 1 do 21 utworzą końcowe hasło.

- wchłanianie substancji przez inną
- rynek za czasów Sokratesa
- kamień golibrody
- „Bitwa o...” z Henrym Fondą
- gaz szlachetny w żarówkach dużej mocy
- malarka, rzeźbiarka lub piosenkarka
- szczególne względy, dawne zaloty
- nauka o roślinach
- lina mocująca statek do nabrzeża
- dosłowne przytoczenie
- Pruski z „Misia”
- o niewielkim utworze literackim
- wódka o smaku i zapachu jałowca
- ...z firmy Izydor Goldberg w skeczu Dudka
- w projekcyjnej kinooperator
- lok, pukiel
- wspólne nauczanie obu płci
- pańskie oko go tuczy
- na równi z arbuzem i czarną polewką
- straganiarz
- szetlandzki lub feliński
- płacą nią Chorwaci
- ciężka karoca, niezgrabny pojazd
- był własnością „Diabła” Stadnickiego
- indris, palczak albo wyrak
- …Polo, podróżnik i kupiec
- można czuć ją do kogoś
- do przewozu kilkunastu osób
- „…na zagładę Wenecji” Iwaszkiewicza
- od podporucznika wzwyż
- biskup zarządzający diecezją
- ...rowerowy: licznik, manetki, przerzutki itd.
- miasto ze Świerkiem
- była Generalna, jest Krajowa (Ziobrowa)
- w dłoni pingpongisty
- jaskrawozielona żabka drzewna
- najbliższa okolica
- Bartosz Kurek lub Wilfredo León
- stale w konfesjonale
- Teatr... Krzysztofa Jasińskiego
- chirurgiczny wykonywany katgutem
- męstwo, odwaga lub kontenans
- miasto z osiedlem Jeziorany
- zespół przekonań, ideałów
- profanator
- klatka piersiowa, tułów
- myśliwy jak Hugh Glass
- uszkodzony, zatopiony statek
- ocalił od nieszczęścia
- imię aktora Cybulskiego
- domowe urządzenie ze stopą

KUPON JOLKI „Przeglądu”

hasło: .....

.....

imię i nazwisko: .....

.....

adres: .....

.....

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie”, opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość .....

czytelny podpis .....

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać na adres redakcji w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru, z dopiskiem: „JOLKA-1066”. Do rozlosowania DVD „Powrót do tamtych dni” ufundowane przez Kino Świat. Rozwiązanie można też wysłać, pisząc SMS: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. Należy stosować litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia, w miejsce XXX wpisać numer krzyżówki. Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysyłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 29 maja 2022 r.

Rozwiązanie „JOLKI-1063” z nr. 19: *Cisza ma własny głos.*
Nagrody otrzymują: Zbigniew Grzegorzewski ze Śremu, Elżbieta Putowska z Lublina, Piotr Walla z Żor.

eprasa.pl bc8ef8ba4f

PENETRACJE

DUŻY FORMAT

DOMINIK LESAGE,
MISTRZ MASOŃSKI

W pierwszym artykule konstytucji Wielkiego Wschodu Francji jest napisane, że przywiązuje on podstawową wagę do konceptu laickości – tu jest państwo, a tu jest Kościół. I to jest to, czego absolutnie pilnujemy. Żeby Kościół nie miał jakiejkolwiek władzy w instytucjach państwowych. Zresztą podobnie państwo nie powinno się wtrącać do spraw religijnych. Jakich religii? Wszystkich. Nie jest tak, jak twierdzą nasi zażarci wrogowie, że dążymy do likwidacji Kościoła katolickiego. To jest absolutna nieprawda. Każdy ma swobodę myślenia i sumienia. W naszych lożach jest bardzo dużo osób wierzących, są też przypadki, również w Polsce, np. we Wrocławiu jest ksiądz, który należy do masonerii.

TYGODNIK ANGORA

WALTER CHEŁSTOWSKI,
REŻYSER I PRODUCENT TELEWIZYJNY

To, co się działo w TVP przed i po dojściu PiS do władzy w 2015 r., to nie jest przepaść, to nie jest nawet Rów Mariański. Telewizja publiczna przez lata była lepsza, gorsza, ale była zrównoważona w poglądach. A w tej chwili jest to putinowska telewizja, chamska, brutalna i już. Oczywiście politycy pchają się do mediów, ponieważ dzięki telewizji wygrywa się wybory. Ale nie może mówić do milionów Polaków każdy. Takim negatywnym przykładem jest np. Ryszard Czarnecki. Złapano go za rękę na tylu przekrętach finansowych, że głowa mała, a on ciągle występuje w mediach, jest zapraszany, goszczony. No nie! Szanujmy się!

na szczycie

MONIKA WITKOWSKA,
HIMALAISTKA

Sprawdziłam facebookowe profile swoich górskich znajomych z Rosji. Większość z nich temat wojny postanowiła omijać szerokim łukiem. Ale pozytywne wyjątki się trafiły. Aleksander Abramow, szef agencji Seven Summits Club, Rosjanin, z którym poznałam się na wyprawie na Mount Vinson (najwyższy szczyt Antarktydy), w swoim poście napisał: „Zawsze wierzyliśmy, że góry są z dala od polityki. (...) To, co się stało, jest tragedią naszych krajów. To jest polityka, której nie rozumiem. (...) Nie wiem, dlaczego ta wojna się rozpoczęła. Mam nadzieję, że szybko się zakończy". Z kolei Nastya Runova, Rosjanka, z którą tego samego dnia stanęłam na szczycie Lhotse, a rok temu spotkałam się na wyprawie na Broad Peak, napisała: „Nie ma żadnego usprawiedliwienia dla tego, co się stało! Jesteśmy przeciwko wojnie. Ukraińcy – trzymajcie się!".

Zimorodek podczas zasłużonego posiłku.

FOT. MEDIA DRUM/EAST NEWS

Aby język giętki...

PROF. ANDRZEJ LEDER
O LUDOWEJ HISTORII POLSKI

Fascynująca jest historia chłopskiej wdzięczności. Na przykład pomnik cara Aleksandra pod Częstochową, który powstał z chłopskich składek. Z wdzięczności za wyzwolenie.

OLIVER KAHN
O ROBERCIE LEWANDOWSKIM

Odrzucił naszą ofertę, to jego prawo. Ale ma z nami kontrakt, który wypełni. Basta.

JANUSZ GAJOS
O REZYGNACJI Z GRY W TEATRZE

Podczas jednego ze spektakli wyleciało mi jedno słowo, drugie. Poczułem dyskomfort i niepokój. Zrozumiałem, że muszę dać sobie z tym spokój.

JACEK NIZINKIEWICZ
O PAWLE KUKIZIE

Były muzyk jest zaprzepaszczoną szansą na odbetonowanie polityki i politykiem, który poszedł na współpracę z tymi, których zwalczał.

KRZYSZTOF BARANOWSKI
O NOWYM JACHCIE

Potrzebuję 10 mln dol., żeby powstał żaglowiec według projektu Tomka Głowackiego z Nowej Zelandii, tak potrzebny polskiej młodzieży ze „Szkoły pod żaglami".

NATALIA PRZYBYSZ
O ŻYCIOWYM MOTTO

Więcej przygód i więcej przyrody. Czuję, że wszystkim wyjdzie to na dobre.

MARCIN MAMOŃ
O KORESPONDENTACH WOJENNYCH

Bardzo wielu traktuje wojnę jako permanentny lans, zwłaszcza w mediach społecznościowych. W ich relacjach mało jest informacji, głównie są oni sami.

JOANNA KULIG
O MĘŻU MACIEJU BOCHNIAKU

Jestem dość krucha, emocjonalna, a on jest taką solidną ramą, którą ja wypełniam.

eprasa.pl bc8ef8ba4f

MEMY BEZ ŚCIEMY

ŚWIAT SIĘ KRĘCI

Ale wymyślili!

Algorytm opracowany przez naukowców z brytyjskiego University of Greenwich podpowiada, z czego uwarzyć piwo o oczekiwanych właściwościach: zawartości alkoholu, poziomie goryczy czy barwie. Program najpierw generuje przypadkowe receptury, a następnie ocenia je i przedstawia najlepsze. Co więcej, gdy w browarze zabraknie jednego ze składników, potrafi podszepnąć zmianę przepisu umożliwiającą otrzymanie trunku jak najbardziej zbliżonego do oryginału. Badacze nie wykluczają, że nauczą algorytm także projektowania napojów o określonej konsystencji piany, zadanym smaku i aromacie. Nadchodzi era lagera z komputera?

Zabrakło rezerwy

Rezerwowy bramkarz Pogoni Szczecin nie wystąpił w żadnym meczu świeżo zakończonego sezonu Ekstraklasy, co nie przeszkodziło mu w zarobieniu… czterech żółtych kartek. W meczu z Lechią Gdańsk 24-letniemu Jakubowi Bursztynowi udało się nawet otrzymać dwie takie kary, za dyskusję z arbitrem z ławki rezerwowych. Krewki golkiper ma wkrótce zmienić pracodawcę, ale coś nam mówi, że nie porzuci swojego zawodowego kredo: czy się stoi, czy się siedzi, sędzia ze mną się nabiedzi!

Megafon i ulotki? To już było!

Trwa zażarta rywalizacja aktywistów o uwagę mediów, czego spektakularne przykłady miały właśnie miejsce w Nowym Jorku. 22-letni Maison Des Champs bez żadnych zabezpieczeń wdrapał się na 228-metrowy wieżowiec, by zamanifestować sprzeciw wobec przepisów zezwalających na przerywanie ciąży. Z kolei aktor James Cromwell wraz z innymi działaczami na rzecz praw zwierząt przykleił się do lady w jednym z lokali sieci Starbucks, by nagłośnić problem wysokich cen kaw z wegańskimi zamiennikami mleka. Z lekkimi obawami czekamy na odpowiedź sufrażystek i obrońców zieleni miejskiej…

Jak wpienić chomiczka

Badacze z Uniwersytetu Stanu Georgia metodami inżynierii genetycznej nieoczekiwanie uzyskali… wściekłe chomiki syryjskie. – Spodziewaliśmy się, że gdy wyeliminujemy aktywność wazopresyny, zmniejszymy u tych zwierząt zarówno poziom agresji, jak i intensywność komunikacji z innymi osobnikami. Ale stało się odwrotnie – poinformował jeden z liderów eksperymentu, prof. H. Elliott Albers. Ustalenia amerykańskich naukowców mogą nas przybliżyć m.in. do lepszego poznania biologicznego podłoża mechanizmów społecznych u ludzi. A wtedy już tylko krok będzie nas dzielił od opracowania terapii genowej wpieniania się!

Się gra, się ma (wpływ)

Jak pokazać urzędnikom, że się mylą? Na przykład z wykorzystaniem gry komputerowej. Pan Piotr, pasjonujący się rozwojem infrastruktury drogowej, użył symulatora budowania miasta, „Cities: Skylines", by udowodnić, że budowa węzła Kraków-Mistrzejowice w planowanym kształcie oznaczać będzie wieczne korki. Jakiś czas

eprasa.pl bc8ef8ba4f

Dzikie wydry powracają do Singapuru.

później okazało się, że do bardzo podobnych wniosków doszli autorzy analizy zamówionej przez Generalną Dyrekcję Dróg Krajowych i Autostrad. Dyrekcja postanowiła, że problematyczny węzeł zostanie przeprojektowany, a skądinąd wiadomo, że umieszczony na YouTubie film pana Piotra miał pewien wpływ na tę decyzję. Graczu, możesz odkorkować szampana!

Osiem razy NIE

Eksperci i aktywiści z całego świata sprzeciwiają się powstaniu na Wyspach Kanaryjskich pierwszej na świecie komercyjnej fermy ośmiornic. Regionalne władze otrzymały pismo ostrzegające przed inwestycją, w którym zwrócono uwagę, że firma Nueva Pescanova, która chce produkować ponad 3 tys. ton mięsa głowonogów rocznie, nie przewidziała „zabezpieczeń w celu ochrony lokalnego środowiska i zdrowia publicznego społeczności lokalnej". Podniesiono także problem cierpienia, na jakie narazi ośmiornice hodowla przemysłowa. Podsumowując, nie można powiedzieć, by ten pomysł na biznes miał ręce i nogi.

FOT. SEKCJA GIMNASTYCZNA, DONALD.PL, PIS NA KSIĘŻYC, PIC NA WODĘ FOTOMONTAŻ, NUR PHOTO/EAST NEWS

ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa,
ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przegląd@tygodnikprzegląd.pl

tygodnikprzegląd.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański
e-mail: j.domanski@tygodnikprzeglad.pl
Pierwszy zastępca redaktora naczelnego:
Paweł Dybicz **e-mail:** p.dybicz@tygodnikprzeglad.pl
Zastępcy redaktora naczelnego:
Roman Kurkiewicz **e-mail:** r.kurkiewicz@tygodnikprzeglad.pl
Robert Walenciak **e-mail:** r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl
Zastępca redaktora naczelnego – sekretarz redakcji:
Joanna Wielgat **e-mail:** j.wielgat@tygodnikprzeglad.pl
Sekretarz redakcji: Agata Gogołkiewicz
e-mail: a.gogolkiewicz@tygodnikprzeglad.pl
Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko
e-mail: a.panko@tygodnikprzeglad.pl

ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:
Julian Bartosz (Wrocław), Tomasz Borejza (Kraków), Marek Czarkowski, Regina Dachówna (Zielona Góra), Paweł Drąg, Jakub Dymek, Beata Dżon-Ozimek, Jakub Katulski, Leszek Konarski (Kraków), Marek Książek (Olsztyn), Helena Leman (Malbork), Maja Marklowska-Dzierżak, Mateusz Mazzini, Tomasz Miłkowski, Lech Miodek, Marcin Ogdowski, Jan Ordyński, Rafał Pikuła, Maciej Polkowski, Eliza Sarnacka-Mahoney, Michał Sobczyk, Małgorzata Szczepańska-Piszcz (Bydgoszcz), Konrad Szelest, Bronisław Tumiłowicz, Krzysztof Wasilewski, Andrzej Werblan, Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska, Artur Zaborski, Beata Znamirowska-Soczawa (Bielsko-Biała)

Stali felietoniści: Tomasz Jastrun, Wojciech Kuczok, Bronisław Łagowski, Andrzej Romanowski, Andrzej Szahaj, Jan Widacki, Agnieszka Wolny-Hamkało
Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May
Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbelka, Anna Rosiak, Daria Słowińska-Kettner
Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska
Fotoedytorzy: Magdalena Głuska, Rafał Pyznar
Fotoreporter: Krzysztof Żuczkowski

Dyrektor ds. wydawniczych i reklamy:
Anna Banaszek **e-mail:** a.banaszek@tygodnikprzeglad.pl
Wicedyrektor ds. wydawniczych i reklamy:
Agata Mierzejewska **e-mail:** a.mierzejewska@tygodnikprzeglad.pl
Koordynator ds. innowacji i mediów społecznościowych:
Sandra Zawadzka **e-mail:** s.zawadzka@tygodnikprzeglad.pl
Sekretariat fundacji i redakcji:
Izabela Strupiechowska
Dział Kolportażu:
tel. +48 22 635 84 10 wew. 120
e-mail: kolportaz@tygodnikprzeglad.pl
Wydawnictwa książkowe:
tel. +48 22 635 84 10 wew. 111
e-mail: sklep@tygodnikprzeglad.pl

Sprzedaż elektroniczna: sklep.tygodnikprzeglad.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada.
Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w PRZEGLĄDZIE bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy.
Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.
07-200 Wyszków, ul. Pułtuska 120
WYDAWCA:
Fundacja Oratio Recta
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
NIP: 951-19-67-251, REGON: 016275090
KOD SWIFT: WBKPPLPP, **IBAN:** PL
Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821

FUNDACJA ORATIO RECTA

eprasa.pl bc8ef8ba4f

Zofia Błażko

MALARSTWO

Marta

Klaudia i Kasia

Poranek

Artystka zabiera nas w podróż do barwnego, kobiecego świata utrzymanego w konwencji art déco. Jej obrazy pokazują, jak wiele odczuć towarzyszy procesowi twórczemu. Im więcej spotkań, podróży, historii i zdarzeń, tym więcej elementów do scalenia na płótnie. Zofia Błażko to jedna z najciekawszych malarek młodego pokolenia. Po ukończeniu nauki, zafascynowana życiem i twórczością malarzy francuskich, wyjechała do Paryża, gdzie tworzyła w prestiżowej pracowni Chez Robert Électron Libre. Jako pierwsza Polka w historii uzyskała możliwość zaprojektowania i zrealizowania dekoracji fasady sześciopiętrowego budynku przy rue de Rivoli, który stanowi kolebkę bohemy współczesnego Paryża.

V.A. Gallery Poland
Poznań Wysogotowo, ul. Wierzbowa 162
do 31 maja

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Katarzyna i Aleksandra

eprasa.pl bc8ef8ba4f

NOWY FILM TWÓRCÓW

„DOBRZE SIĘ KŁAMIE W MIŁYM TOWARZYSTWIE"

(Nie)DŁUGO i SZCZĘŚLIWIE

Ambra ANGIOLINI · Luca BIZZARRI · Carolina CRESCENTINI · Claudia GERINI · Paolo KESSISOGLU · Filippo NIGRO · Claudia PANDOLFI · Fabio VOLO

PREMIERA NA vod.pl 27 MAJA

Co-funded by the Creative Europe MEDIA Programme of the European Union

MFF W ZURYCHU NAJLEPSZY FILM ZAGRANICZNY

MFF W SZTOKHOLMIE NAJLEPSZY SCENARIUSZ

QUINZAINE DES RÉALISATEURS CANNES

EUROPA CINEMAS LABEL QUINZAINE DES RÉALISATEURS CANNES 2021

EFF W SEWILLI NAJLEPSZY REŻYSER

MFF LISBON & ESTORIL NAJLEPSZA AKTORKA

CHIARA

MAFIJNE POWIĄZANIA, RODZINNE SEKRETY

REŻYSERIA

JONAS CARPIGNANO

(TRYLOGIA KALABRYJSKA: „CIAMBRA", „MEDITERRANEA")

W KINACH OD 27 MAJA

AURORA

Kreatywna Europa MEDIA

eprasa.pl:bc8ef8ba4f